

GRAHAM MASTERTON

Krwawe rytuały,
w których tracą życie
niewinne osoby.

Walka na śmierć
i życie z piekielnymi
siłami zła.

OGRÓD
ZŁA

ALBATROS

GRAHAM
MASTERTON

OGRÓD
ZŁA

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ

WIESŁAW MARCYSIAK

ALBATROS

WYDANIE ELEKTRONICZNE

Spis treści

Strona tytułowa

Autor

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

PEŁNA DEMONICZNEJ TRWOGI POWIEŚĆ Z JIMEM ROOKIEM,
BOHATEREM OŚMIU KSIĄŻEK BRYTYJSKIEGO MISTRZA HORRORÓW.

Nauczyciel w college'u w Los Angeles potrafi nawiązywać kontakt nie tylko ze swoimi uczniami, ale również... ze zmarłymi.

Czy tym razem ta niesamowita zdolność okaże się przywilejem, czy raczej... straszliwą klątwą?

Pierwszego dnia po wakacjach anglista Jim Rook odkrywa w jednej ze swoich klas coś przerażającego. Do sufitu została przybita gwoździami naga młoda dziewczyna, pomalowana białą farbą, z twarzą zwróconą w dół i szeroko rozpostartymi rękami i nogami. Wokół niej przytwierdzono w ten sam sposób osiem kotów perskich.

Ofiara zostaje zidentyfikowana przez policję jako owoc związku nauczyciela sprzed dwudziestu lat. Córka, o której istnieniu nawet nie wiedział. Wszystko wskazuje na to, że to on miał być odbiorcą makabrycznej inscenizacji. Gdy w krwawych obrzędach giną kolejne niewinne osoby, Rook czuje, że do college'u wkroczyło Zło, i domyśla się, że jego źródłem jest jeden z uczniów, Simon Silence, syn pastora Kościoła Bożego Podboju. Kiedy Rook zaczyna wykorzystywać swoje zdolności parapsychiczne, rozpętuje się istne piekło. I tylko on może powstrzymać nadchodzącą Apokalipsę.

GRAHAM MASTERTON

Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w „Mayfair” i brytyjskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów – w tym 11 kryminałów z cyklu Katie Maguire – oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem **Manitou** (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 100 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy. O popularności Grahama Mastertona w Polsce może świadczyć choćby to, że w 2021 roku w sierpniu stanie we Wrocławiu przed Art Hotel jego „krasnal” – Mastertonek.

Tego autora

Sagi historyczne

WŁADCY PRZESTWORZY

IMPERIUM

DYNASTIA

Katie Maguire

BIAŁE KOŚCI

(książka wcześniej ukazała się pt. KATIE MAGUIRE)

UPADŁE ANIOŁY

CZERWONE ŚWIATŁO HAŃBY

UZNANI ZA ZMARŁYCH

SIOSTRY KRWI

POGRZEBANI

MARTWI ZA ŻYCIA

TANĆZĄCE MARTWE DZIEWCZYNKI

ŚWIST UMARŁYCH

ŻEBRZĄC O ŚMIERĆ

DO OSTATNIEJ KROPLI KRWI

Beatrice Scarlet

SZKARŁATNA WDOWA

SABAT CZAROWNIC

Rook

ROOK

KŁY I PAZURY

STRACH

DEMON ZIMNA

SYRENA

CIEMNIA

ZŁODZIEJ DUSZ

OGRÓD ZŁA

Wojownicy Nocy

ŚMIERTELNE SNY

POWRÓT WOJOWNIKÓW NOCY

DZIEWIĄTY KOSZMAR

Manitou

MANITOU

ZEMSTA MANITOU

DUCH ZAGŁADY

KREW MANITOU

ARMAGEDON

INFEKCJA

Inne tytuły

STUDNIE PIEKIEŁ

ANIOŁ JESSIKI

STRAŻNICY PIEKŁA

DEMONY NORMANDII

ŚWIĘTY TERROR

SZARY DIABEŁ

ZWIERCIADŁO PIEKIEŁ

ZJAWA

BEZSENNI

CZARNY ANIOŁ

STRACH MA WIELE TWARZY

SFINKS

WYZNAWCY PŁOMIENIA

WENDIGO

OKRUCHY STRACHU

CIAŁO I KREW

DRAPIEŻCY
WALHALLA
PIĄTA CZAROWNICA
MUZYKA Z ZAŚWIATÓW
BŁYSKAWICA
DUCH OGNI
ZAKŁĘCI
ŚPIĄCZKA
SUSZA
DOM STU SZEPTÓW

Tytuł oryginału:
GARDEN OF EVIL

Copyright © Graham Masterton 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Wiesław Marcysiak 2013

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Zdjęcie i ilustracje na okładce: 80's Child/Shutterstock (*postać*);
CsaboPhoto/Shutterstock (*pentagram*); OHishiapply/Shutterstock (*skrzydła*)

ISBN 978-83-6775-812-3

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Ossowska

woblink

woblink.com

Rozdział 1

Smog był tak gęsty, że Jim do ostatniej chwili nie zobaczył ciemnej postaci zbliżającej się po podjeździe przed szkołą. Musiał z całej siły wcisnąć hamulec i ostro skręcić w lewo, aby nie uderzyć w przechodnia. Samochód wpadł w poślizg, a opony zapisały się przenikliwie panicznym chórem.

Przez kilka kolejnych sekund siedział za kierownicą z walącym sercem. Z odtwarzacza CD nastawionego na maksymalną głośność nadal płynęły dźwięki *V Koncertu fortepianowego* Beethovena, ale kanapka z pastrami i serem szwajcarskim wylądowała Jimowi na kolanach.

– Jezu – wyszeptał. Wiedział, że prawdopodobnie jechał za szybko, że powinien mieć włączone światła i zwracać większą uwagę na to, co ma przed sobą, a nie na jedzoną kanapkę. Na swoje usprawiedliwienie miał tylko to, że postać, która pojawiła się na samym środku jezdni, ubrana była całkowicie na czarno.

Jim pozbierał kromki chleba żytniego, ser, pastrami i ogórki konserwowe, które wylądowały na jego granatowych dżinsach. Wsiadł z samochodu i rozejrzał się. Postać znikła we mgle, co Jim uznał za bardzo dziwne. Bo jak Ciebie ktoś nieomal przejedzie, to co robisz? Albo krzyczysz na niego, wrzeszczysz i oskarżasz, że jeździ jak pierdolony wariat, albo mówisz mu, że wyminął Cię o centymetry, ale nic Ci nie jest. Nigdy jednak tak po prostu nie odchodzisz, jak gdyby nic się nie stało.

– Halo! – zawołał Jim. – Halo! Wszystko w porządku?

Żadnej odpowiedzi. I ani śladu człowieka. Tylko dławiąca ściana żółtawego smogu, który tłumiał nieustanny szum pojazdów na San Diego Freeway.

– Hejże! Halo! Przepraszam, jeżeli pana przestraszyłem! Chcę tylko się upewnić, że jest pan cały!

Głos był bezbarwny i zupełnie się nie niósł, jakby Jim krzyczał w dźwiękoszczelnej kabinie. Znowu żadnej odpowiedzi. Rzucił w trawę fragmenty rozwalonej kanapki, otrzepał dłonie i wrócił do samochodu. Włączył silnik i ruszył powoli uliczką, zgarbiony nad kierownicą, wpatrując się uważnie przed siebie, na wypadek gdyby postać wciąż szła środkiem.

Dotarł na szczyt wzniesienia, gdzie podjazd przechodził w duży plac do zawracania przed głównym wejściem do szkoły. Budynki college'u stopniowo wyłaniały się ze smogu niczym jakiś zamek widmo. Było jeszcze wcześniej, około siódmej trzydzieści, i tylko kilkoro uczniów chodziło tam i z powrotem, choć ponad dwadzieścioro z nich zebrało się pod wielkim cyprysem przed budynkiem, który był ulubionym miejscem spotkań, aby poplotkować, pośmiać się i poflirtować przed zajęciami.

Jim przejechał obok nich bardzo powoli, przyglądając się każdemu po kolei, ale nikt nie przypominał ciemnej postaci, której omal nie przejechał. Co najmniej kilkoro z nich było ubranych w czarne swetry lub czarne koszulki, ale wszyscy nosili dżinsy lub luźne spodnie do pół łydki. Czterech uczniów miało bejsbolówki, a trzech torby sportowe przewieszane przez ramię, wypchane książkami. Poza tym większość była zbyt przysadzista, a ciemna postać na podjeździe była wysoka i bardzo szczupła – jak rozciągnięty cień.

Jim zrezygnował z poszukiwań i przejechał na parking dla pracowników. Jak zwykle wmanewrował swojego zielonego mercury'ego marquisa na miejsce zarezerwowane dla Roystona Denmana, szefa matematyków. Mercury miał pięć i pół metra długości i metr osiemdziesiąt szerokości, a miejsce Roystona Denmana przylegało do wjazdu i było znacznie większe od pozostałych.

Wysiadł, wyjął teczkę z bagażnika, a następnie podszedł do uczniów pod cyprysem.

– Czy ktoś z was widział mężczyznę, który siedł podjazdem przed kilkoma minutami? Cały ubrany na ciemno.

– Szedł? – odezwał się jeden z uczniów.

– Tak, no wiesz. To wtedy, kiedy stawiasz jedną stopę przed drugą, a to cudem przenosi cię z jednego miejsca w inne.

Prawie wszyscy pokręcili przecząco głowami.

– Jezus, zauważyłbym kolesia, który idzie do college'u.

– Dobra – powiedział Jim. – Tylko pytam. Ktoś z was tutaj jest w klasie drugiej specjalnej?

Trzech podniosło ręce – bardzo wysoki czarnoskóry chłopak w workowatym szarym dresie, ładna blondyneczka o postrzępionych lokach w obcisłym różowym T-shircie mieniącym się srebrnymi cekinami i rudowłosy chłopiec wygolony na zapałkę, o wybujalym czerwonym trądziku, ubrany w jaskrawozieloną bluzę.

– Dobrze. Nazywam się Rook i prowadzę zajęcia uzupełniające w waszej klasie. Więc zobaczymy się później, gagatki.

Właśnie wtedy na schodach prowadzących do głównego wejścia dostrzegł Sheilę Colefax. Podbiegł, aby się z nią zrównać. Sheila uczyła hiszpańskiego w sali obok Jima. Była drobną, dziarską brunetką, ale zawsze nosiła okulary w ciężkich oprawkach, bluzkę zapiętą aż pod szyję i zabezpieczoną broszką, a do tego obcisłą spódnicę do kolan. Odkąd Jim po raz pierwszy ją spotkał, nawiedzała go fantazja, w której Sheila ma na sobie pod tym oficjalnym strojem czarny gorset i czarne pończochy, a kiedy już zdejmuje okulary i rozpuszcza włosy, tygrysić w łóżku.

– Cześć, Sheila! *Cómo está usted?*

– Bardzo dobrze, dziękuję, Jim.

– *Cuál es le precio de la salchicha hoy?*

Sheila nawet nie spojrzała na niego, ale nadal pospiesznie wchodziła po schodach.

– Przypuszczam, że to ćwicyłeś – rzuciła ostro.

– No tak, przynaję. Hiszpański to faktycznie nie jest mój drugi język.

Dotarła na szczyt schodów i stanęła przed nim.

– Jim, czasami nie wiem, czy jesteś ignorantem, czy nieletnim, czy prostakiem, a może wszystkim naraz. Pytaniem, ile kosztuje kiełbasa, nie uwodzi się kobiety.

– Żartujesz! To właśnie to znaczy? Myślałem, że to był komplement. Coś w rodzaju... „Dla mnie, moja kochana, jesteś cenniejsza od szafirów”.

Przez moment Jim poważnie myślał, że Sheila ma zamiar go spoliczkować. Ale potem mocno zacisnęła usta, aby powstrzymać się od śmiechu, a jej oczy rozpozodziły się za okularami. Pokręciła głową.

– Jesteś naprawdę jedyny w swoim rodzaju, co? „Cenniejsza od szafirów”. Chyba ani przez chwilę nie myślałeś, że to właśnie to znaczy, mam rację?

– Nie – przyznał Jim. – Ale to cię rozśmieszyło, prawda? I mógłbym cię tak rozśmieszać cały wieczór, gdybyś mi pozwoliła.

Pchnęła drzwi do budynku, Jim podążył za nią, ale wtedy jego teczka utknęła w drzwiach obrotowych. Musiał ją szarpnąć i pękła rączka.

– Cholera – zaklął.

Sheila odwróciła się i powiedziała:

– Mam taką żelazną zasadę, Jim. Żadnych randek z kolegami z pracy; pod żadnym pozorem, nigdy. Przykro mi.

– Ehrlichman nie musi wiedzieć.

– To nie o to chodzi. Spotkała mnie nieprzyjemność, kiedy uczyłam w San Luis Obispo. Nieważne, jak bardzo jesteś dyskretny, to zawsze kończy się płaczem.

– Sheila...

– Nie, Jim.

To powiedziawszy, odeszła korytarzem w stronę pokoju nauczycielskiego, a jej obcasy stuknęły po wypolerowanym PCV. Jim stał sam przez chwilę z teczką w jednej ręce i oderwaną rączką w drugiej. Minęło go trzech uczniów, obdarowując głupawymi uśmiechami. Spojrzał na nich ostro i rzucił:

– Czego?

Wciąż tam stał, kiedy dyrektor, doktor Ehrlichman, wypadł ze swojego gabinetu. Ehrlichman był niski i przygarbiony, z łysiną łuszczącą się od opalania, wyłupiastymi zielonymi oczami i nosem, który Jim zawsze miał ochotę nacisnąć niczym staroświecką trąbkę w samochodzie. Jim

pomyślał, że gdyby Ehrlichman nie został mianowany dyrektorem West Grove Community College, mógłby z łatwością znaleźć alternatywne zatrudnienie jako klaun.

– Jim! Ciebie szukam!

– O, pan dyrektor. Jak minęły wakacje? Pojechał pan na Bora-Bora, prawda, czy raczej do Boliwii?

– Do Bułgarii. Moja żona ma krewnych w Sofii. Było bardzo kulturalnie. Cóż, prawdę mówiąc, mogło być bardzo kulturalnie. Ale krewni żony są nieco prości, jeśli to właściwe słowo.

– Prości. Tak, wiem, co ma pan na myśli. Mam prostego wujka w San Francisco. Wujek Ned. Klnie jak szewc, pije jak smok, ale zawsze trafia zwycięzców na wyścigach w Golden Gate Fields, to muszę mu przyznać. Nie musi zarabiać na życie jak pan i ja.

Doktor Ehrlichman podniósł skoroszyt, który trzymał w ręce, i przerzucił trzy kartki.

– Ach, jest tutaj. Masz dodatkowego ucznia w drugiej specjalnej. Simona Silence’a.

– Silence? Co to za nazwisko?

– To syn pastora Johna Silence’a.

– Nigdy o takim nie słyszałem.

– No cóż, ja też nie, aż do dziś.

Doktor Ehrlichman przewertował kolejne dwie lub trzy kartki i powiedział:

– Tak, tu jest. Wielebny John Silence jest głównym pastorem Kościoła Bożego Podboju. Lookout Mountain Avenue osiem tysięcy sto trzydzieści sześć w Laurel Canyon.

– Mimo to nigdy o nim nie słyszałem. Ani o Kościele Bożego... czegoś tam.

– Podboju.

– Obojętnie. Ale dobrze. Jaką ma historię ten dzieciak?

– Najwyraźniej był nauczany w domu, aż do teraz, kiedy to wielebny Silence zapragnął, aby miał kontakt z rówieśnikami i stał się trochę

bardziej obyty w świecie.

– W świecie? Dostanie dużo światła w tej klasie, mogę to obiecać.

Doktor Ehrlichman podniósł owłosioną rękę i spojrział na swojego ciężkiego złotego rolexa.

– Apel dla wszystkich o ósmej trzydzieści. Postarasz się przyjść, co? Nie tak jak w ostatnim semestrze... i przedostatnim? Mam bardzo ważne komunikaty.

– Hej... ale imponujący zegarek – powiedział Jim. – Ile panu teraz płacą?

– Ten zegarek kosztował pięćdziesiąt bułgarskich lewów na pchlim targu przed soborem Świętego Aleksandra Newskiego w Sofii. To około trzydziestu pięciu dolarów.

– Dobra, doktorze E. Wierzę.

Jim poszedł korytarzem, aż dotarł do drzwi klasy drugiej specjalnej. Były świeżo pomalowane na szaroniebieski mat, aby pokryć graffiti, które pojawiło się pod koniec ostatniego semestru: UWAGA, TUMANY! Chwytał za klamkę, ale z jakiegoś powodu, który nie do końca był dla niego jasny, zawahał się, zanim je otworzył. Pomyślał: jestem tutaj, na początku kolejnego semestru. Jak długo to robię? Ile jeszcze razy mam to robić? Czy tak ma wyglądać całe moje życie, otwieranie drzwi rok po roku i mierzenie się z kolejną klasą opóźnionych i próżniaków, którzy po prostu nie mogą zrozumieć, dlaczego „może” i „morze” pisze się inaczej, i nigdy tego nie rozumieją, do końca życia.

Wahał się jeszcze przez chwilę, a potem otworzył drzwi i wszedł do środka. W klasie intensywnie pachniała lawendowa pasta do podłogi, a przez okna Jim widział, że smog stopniowo się podnosi i prześwieca przez niego słońce. Przed szkołą uczniowie szli przez połączaną mgłę niczym duchy.

Przed nim stało szesnaście ławek, cztery rzędy po cztery. Przeszedł powoli między nimi tam i z powrotem. Za godzinę będzie tu siedzieć czternastu uczniów – białych, czarnych, Chińczyków, Latynosów, kto wie? Czternaście zdezorientowanych i niechętnych młodych umysłów, które miał wyciągnąć z niedoli półanalfabetyzmu, SMS-owania i slangu. Nie

spodziewał się, że będą pisać jak Walt Whitman czy Emily Dickinson, żeby tylko potrafili wypełnić podanie o pracę. Chociaż od czasu do czasu udawało im się go zaskoczyć.

Jim wrócił do biurka, otworzył teczkę i wyjął z niej plik papierów z wydrukiem pierwszej lekcji dnia. Była to lista dwudziestu zdań dla całej klasy, w których uczniowie mieli podkreślić wszystkie niepoprawne gramatycznie lub zawierające literówkę słowa. „Grom w baseball jutro z moimi przyjaciółmi”. „Razem z Kim poszłem na cheeseburgery w Burger King”. „Tata poszedł na ryby i złapał łosia”. „Biegłem przez tłum ludzi, szukając mamy”.

Przeszedł ponownie między ławkami, kładąc po jednym arkuszu na każdej z nich. W oddali usłyszał dzwonek i odgłos trzaskających drzwi, pisk i szuranie wielu trampek, gdy uczniowie wlewali się do wnętrza. Za kilka minut spotka tegoroczną klasę drugą specjalną, twarzą w twarz. Gdybym wierzył w Boga, pomyślał, tobym się teraz przeżegnał. Okulary, jądra, zegarek i portfel.

Wrócił na przód klasy, aby wyjąć listę uczniów. Jednak gdy to zrobił, usłyszał głośne „kap!”, jakby kapłała woda. Potem kolejne. Rozejrzał się i zobaczył, że na arkuszu papieru, który właśnie położył na trzeciej ławce od przodu, w drugim rzędzie, pojawiły się dwie karmazynowe plamy, nieomal tak duże jak maki.

Wrócił tam, podniósł arkusz i zmarszczył czoło. Dwie plamy były mokre, jakby to była farba albo krew. Powąchał je. Nie pachniały farbą, więc zaczął przypuszczać, że to krew. Ale skąd, do diabła, się wzięła?

W tym momencie kolejna kropla wylądowała mu na grzbiecie dłoni, ciepła i lepka, i kolejna, niemal równocześnie, na rękawie jego jasnobłękitnej, płóciennej marynarki. Wtedy spojrział w górę i zobaczył, co zostało przybite do sufitu.

Otworzył i zamknął usta, ale nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Nie rozumiał, jak mógł wejść do klasy i nie zauważyć tego od razu. Może był zbyt zajęty rozkładaniem ćwiczeń i myślami o tegorocznych uczniach? Poza tym to zostało zamocowane pomiędzy dwiema długimi

jarzeniówkami, które zwisały około pół metra od sufitu, więc kiedy stał z przodu klasy, praktycznie było niewidoczne.

Pośrodku sufitu twarzą w dół, z rękami i nogami szeroko rozpostartymi została przybita naga dziewczyna. Gwoździe zostały wbite w jej dłonie, łokcie, uda, kolana i kostki. Cała była pomalowana na białą farbą klejową, przez co trudniej było Jimowi ją zobaczyć, kiedy wszedł do klasy. Powieki miała zamknięte, a jej sztywne włosy rozłożono w wachlarz. Wyglądała bardziej jak kamienny posąg niż istota ludzka, ale z jej częściowo otwartych, pękniętych ust kapłała krew.

Dookoła niej przymocowano osiem białych jak śnieg kotów perskich, każdy z co najmniej czterema gwoździami wbitymi w ciało; także zwierzęta miały nogi rozciągnięte jak dziewczyna. Cała ta makabryczna instalacja z dziewczyny i kotów wyglądała jak rytualny symbol czarnej magii.

Ale na suficie? W klasie college'u? Przed nowym semestrem szkoła była remontowana i sprządana. Jim nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak ktoś mógł to zrobić – ani kiedy – żeby nikt go nie zobaczył ani nie usłyszał. I, na litość boską, dlaczego?

Stał, wpatrując się w dziewczynę i koty przez prawie pół minuty. Czuł się jak sparaliżowany. Widział w życiu wszelkiego rodzaju zjawy i duchy, ale nigdy czegoś takiego.

Bardzo powoli poszedł tyłem w kierunku drzwi, jednocześnie wyciągając telefon komórkowy z wewnętrznej kieszeni marynarki. Gdy dotarł do drzwi, te nagle otworzyły się z rozmachem i dziewczyna o postrzępionych włosach w różowym T-shircie wpadła do środka.

– To ta klasa, tak? Druga specjalna?

Jim natychmiast odwrócił się i wypchnął dziewczynę z powrotem na korytarz, aż zderzyła się z przyszczatym, rudowłosym chłopakiem, który znalazł się tuż za nią.

– Wyjść! – polecił im. Mówił znacznie głośniej, niż zamierzał, nieomal krzyczał.

– Co? Kazali nam wejść i znaleźć klasę!

– Wyjdźcie! Coś się stało. Nie możecie wejść. Wyjdźcie na chwilę i poczekajcie na mnie, wtedy porozmawiamy.

- Co się stało? Co?

- Nie wiem, prawdę mówiąc. Zupełnie nie mam pojęcia.

Pchnął dziewczynę w ramię po raz ostatni, zdecydowanie, ale delikatnie, a potem zamknął drzwi i przekreślił klucz. Widział, jak chudy czarny mężczyzna zagląda przez okrągłe okienko w drzwiach, rozplaszczając nos o szybę.

- Nie wiem, co się stało - powtórzył pod nosem, a potem wykręcił 911 i spytał: - Policja?

Rozdział 2

– Porucznik Harris mówił mi o panu – powiedział detektyw Brennan z głośnym kichnięciem. – Pamięta pan porucznika Harrisa? Teraz jest na emeryturze. Prowadzi sklepik na polu golfowym. Dziewięć dolarów za wiadro piłek.

– Jak mógłbym o nim zapomnieć?

– Wie pan, co mi powiedział? „Jeśli coś naprawdę dziwnego wydarzy się w West Grove Community College, możesz postawić własną dupę, że pierwsze nazwisko, które się pojawi, to Rook”. Takie dokładnie były jego słowa.

– Mam nadzieję, że nie próbuje pan sugerować, że w ogóle miałem z tym coś wspólnego.

Jim siedział w pokoju nauczycielskim przy stole zawalonym papierami. Sekretarka doktora Ehrlichmana, Rosa, przyniosła mu kubek mocnej czarnej kawy, ale nadal był cały roztrzęsiony. Cały czas miał przed oczami alabastrową twarz martwej dziewczyny, ze strużką krwi powoli ciekącą z kącika ust.

Policja przybyła piętnaście minut po wezwaniu. Teraz na szkolnym parkingu zrobiło się tłoczno z powodu parkujących tam pięciu czarno-białych radiowozów, dwóch humvee i czterech różnych furgonetek należących do okręgowego CSI, koronera z Los Angeles i Wydziału Opieki nad Zwierzętami, a także wozów telewizyjnych KABC i Fox 11 News.

Wszystkich pięciuset sześćdziesięciu uczniów i większość pracowników odesłano do domu. Na miejscu został doktor Ehrlichman, z frustracji chodzący tam i z powrotem po korytarzu, pomniejszy król bez królestwa, jak Lord Farquaad w *Shreku*.

– Nie widział pan w pobliżu nikogo, kto nie miał prawa tu przebywać oficjalnie? – pytał detektyw Brennan. Był to duży mężczyzna o woskowej

cerze, jakby nigdy nie wychodził na światło dzienne. Miał kępkę szpakowatych włosów między dużymi zakolami i błyszczące oczy ze zbieżnym zezem, co sprawiało, że wyglądał, jakby stale kogoś o coś podejrzewał. Ubrany był w pomięty garnitur khaki, spod za krótkich spodni wystawały porozciągane beżowe skarpetki. Brzuch zwiisał mu nad paskiem.

Jim odstawił kubek kawy i pokręcił głową.

– W ogóle nie widziałem nikogo oprócz pani Colefax. I spójrzmy prawdzie w oczy, nikt samodzielnie nie mógł przybić tej dziewczyny do sufitu. Nie mówiąc już o tych wszystkich kotach. Potrzeba by co najmniej dwóch lub trzech chłopaków i jakiegoś rodzaju platformy.

– Pewnie coś pomoże, jak ją zidentyfikujemy – powiedział detektyw Brennan. Wyjął zmiętą chusteczkę i skrupulatnie zaczął ją rozwijać.

– Może tak, może nie. Ja na pewno jej nie rozpoznałem.

Detektyw Brennan wydmuchał nos, a następnie na powrót złożył chusteczkę.

– Nienawidzę tego upiornego gówna. Nie wie pan, jak bardzo. Kilka tygodni temu mieliśmy telefon z hotelu Szepczących Palm. Pokojówka weszła do jednego z pokoi, aby pościelić łóżka, i znalazła na poduszkach dwie głowy. Dwie głowy, mężczyzny i kobiety. Nadal nie wiedzą, do kogo należały i gdzie jest reszta ciał.

Przerwał i wykonał gest w stronę sufitu.

– Ale to... to jest sto razy bardziej upiorne. Nienawidzę tego gówna.

Jim nic nie powiedział. On bardziej chciał zrozumieć, dlaczego dziewczyna i koty zostały w ten konkretny sposób przybite do sufitu, a nie jak tego dokonano. Był pewien, że ich ułożenie jest symboliczne, chociaż zupełnie nie miał pojęcia, co by mogło symbolizować. Widział pentagramy, spirale i odwrócone krzyże. Ale dziewczyna pokryta warstwą białej farby i otoczona ośmioma białymi kotami?

Właśnie wtedy rozległo się ciche pukanie do drzwi pokoju nauczycielskiego.

– Proszę! – zawołał detektyw Brennan. Ale drzwi pozostały zamknięte i nikt nie odpowiedział.

Po chwili znowu usłyszeli kolejne stuknięcie. Także ciche, ale uporczywe.

Detektyw Brennan przeszedł przez pokój i otworzył drzwi.

– Tak? – powiedział.

Na zewnątrz stał wysoki, chudy chłopak. Miał długie blond włosy związane z tyłu w kitkę i bardzo bladą, kanciastą twarz. Był całkiem przystojny, na modłę hippisowską, jakby pozbawiony krwi, wybielony. Miał na sobie luźną białą koszulę, niezapiętą pod szyją, z podwiniętymi rękawami, a do tego luźne spodnie z białego płótna i rzemieńne sandały. Przez ramię przerzucił sobie biały worek jutowy.

– Przepraszam pana – odezwał się. – Szukam klasy drugiej specjalnej. – Jim określiłby jego akcent na Luizjanę albo Missisipi... głębokie Południe w każdym razie. Cichy, jak jego pukanie do drzwi, ale drażniący.

– Szkoła jest dzisiaj zamknięta, synu – oznajmił detektyw Brennan. – Nikt ci nie powiedział, jak wchodziłeś? Ktoś powinien.

– Zamknięta?

– Był wypadek. Hm, zobaczysz to wszystko w wiadomościach telewizyjnych.

– Nie mamy telewizora. Mój ojciec nie pochwała tego.

– Och. Cóż, możesz przeczytać o tym w gazetach.

– Nie dostajemy żadnych gazet. Mój ojciec...

– Twój ojciec też nie pochwała gazet. Rozumiem. Cóż, brak wiadomości to dobra wiadomość, jak to mówią, ale nie widzę nic złego w komiksach.

– Poczekaj – odezwał się Jim. – Niech zgadnę. Jesteś Simon Silence, prawda? A twój ojciec to wielbny John Silence.

– Tak jest, proszę pana. Właśnie tak.

Jim wstał i podszedł do drzwi.

– W takim razie zapraszamy do wspaniałego świata edukacji masowej. Powinniśmy spotkać się jutro rano, o ile policja zakończy szukanie

w szkole dowodów sądowych. Nazywam się Rook, a druga specjalna to moja klasa.

– Miło mi pana poznać. Nigdy wcześniej nie chodziłem do szkoły. Hm, nigdy nawet nie byłem w szkole. Ojciec mnie uczył, przeważnie, chociaż miałem korepetytorów z fizyki i matematyki. Na pewno mi się spodoba.

– Tak myślisz? To dobrze. Cieszę się wobec tego. Ale zanim popadniesz w zbytnią ekstazę, poczekaj, aż spotkasz swoich kolegów. Nawet ja ich jeszcze nie poznałem.

– Idź, chłopcze – rzekł detektyw Brennan. – Pędź do domu i wróć jutro. Simon Silence zignorował go i powiedział:

– Mogę zadać tylko jedno pytanie, proszę pana?

– Tak, śmiało. O co chodzi?

– Wiem, że uczy pan angielskiego.

– Prowadzę zajęcia wyrównawcze z angielskiego, mówiąc dokładnie. Angielski dla uczniów, którzy nie widzą nic złego w mówieniu: „Ta pizza jest dobra, ale ta jest dużo dobra, a tamta jeszcze lepsza od wszystkich, jakie jadłem”.

Simon Silence uśmiechnął się blado do Jima.

– Tak naprawdę chciałem pana zapytać, czy daje pan klasie jakieś duchowe wsparcie.

– Duchowe wsparcie? Jakiego rodzaju? Masz na myśli religię? Nie uczę religii, Simon. Czasami rozmawiamy o życiu i śmierci, ale tylko wtedy, gdy dotyczy to wiersza lub eseju, albo jakiejś historii, którą omawiamy.

Nie mogłam stanąć i czekać na Śmierć –

Ona sama mnie podwiozła – uprzejma –

Bryczka zmieściła nas dwie –

*I jeszcze Nieśmiertelność...**

– Omów cytat – polecił Jim.

– Nie chodziło mi o taki rodzaj duchowego wsparcia. Chciałbym wiedzieć, czy kiedykolwiek klasa ma korzyść z pańskiego... – Urwał, a prawą ręką robił kółka, jakby nie potrafił znaleźć słowa.

Jim czekał cierpliwie, aż w końcu powiedział:

– Tak? Korzyść z mojego...?

– Przepraszam. Powinienem już iść, prawda?

– Nie, Simon. Korzyść z mojego... czego?

Simon Silence spojrział na niego. Resztki smogu ustępowały i nagle promienie słońca oświetliły chłopaka, wpadając przez okno do pokoju. Światło było tak jaskrawe, że wydawało się, jakby jego twarz była całkowicie pozbawiona rysów. Tylko bladoniebieskie oczy i jasne brwi. Mógł być akwarelą, na którą ktoś wylał wodę do płukania pędzla i wszystkie kolory się zmyły.

– Ojciec mówi, że wszyscy mają dar, proszę pana, każdy z nas. Tylko sposób, w jaki wykorzystujemy nasze talenty, robi różnicę. Wiem, że ma pan dar. Rzadki i wspaniały. Dlatego mój ojciec przysłał mnie tutaj. Pytałem po prostu, jak swobodnie dzieli się pan nim z uczniami.

Detektyw Brennan położył rękę na ramieniu Simona.

– No, chłopcze. Wystarczy. *Vamos*. Przyjdź jutro.

Simon Silence stał chwilę w drzwiach, wciąż patrząc na Jima tymi bladoniebieskimi oczami, jakby był gotów czekać na odpowiedź tak długo, jak trzeba. Smog znów na chwilę przysłonił słońce, a gdy w pokoju zrobiło się ciemno, rysy twarzy chłopaka stały się wyraźniejsze. Jednocześnie zaczęły się subtelnie zmieniać i niewinny wygląd ustąpił przebiegłemu.

– Jest tylko jeszcze jedna rzecz – powiedział Simon, zdejmując płócienną torbę z ramienia; poluzował sznurek i zaczął grzebać w środku.

– Naprawdę powinienes już iść do domu, Simon – powiedział mu Jim.
– Cokolwiek to jest, może poczekać do jutra.

Detektyw Brennan zaczął zamykać drzwi. Ale zanim zdążył to zrobić, Simon wyciągnął rękę z worka. Trzymał w niej błyszczące różowo-zielone jabłko.

– To dla pana – powiedział. – Mamy sad w pobliżu Bakersfield i sami je hodujemy.

– Jabłko dla nauczyciela? – spytał Jim. – To nie jest szkoła podstawowa, wiesz.

– Mój ojciec mówi, że jeśli ktoś daje ci prezent, należy zawsze dać mu coś w zamian. To jest mój podarunek jako podziękowanie za podarunek od pana.

Jim wziął jabłko i powąchał je. Pachniało bardzo słodko i aromatycznie, ale wyczuwał też pewną kwaskowość... bardziej jak owoc tamaryndowca niż jabłko.

– To odmiana o nazwie *paradise* – powiedział Simon Silence. – W tym regionie rośnie tylko w naszym sadzie. Autobusem przywozimy włóczęgów i bezdomnych, aby je zrywali, i pozwalamy im jeść tyle, ile chcą. Następnie rozdzielamy je za darmo każdemu, kto przychodzi do naszego kościoła, aby się modlić.

– Dobrze, dzięki – odpowiedział mu Jim. – Może zobaczymy się rano.

Simon Silence po raz kolejny słabo uśmiechnął się do Jima, a potem odwrócił się i odszedł, kłapiąc sandałami o podłogę.

– Nie zazdroszczę panu nauczania takich świrów – odezwał się detektyw Brennan, zamykając drzwi.

Jim nic nie powiedział, kilkakrotnie podrzucił jabłko, które dał mu Simon Silence. Chłopiec niepokoił go z kilku powodów. Był całkowitym przeciwieństwem większości uczniów, których musiał uczyć w klasie specjalnej. Wydawał się sprytny i pewny siebie i choć miał silny akcent południowca, mówił gramatycznie i w ogóle bez slangu.

Zaniepokoiło go jeszcze to, co chłopak mówił o jego darze. Gdyby nie wspomniał o „wsparciu duchowym”, Jim może by pomyślał, że chodzi mu tylko o jego talent do nauczania opóźnionych półanalfabetów, jak zbudować mające sens, poprawne gramatycznie zdanie. Jednak było oczywiste, że Simon nie potrzebował wiele wsparcia w sztuce wyrażania siebie.

Kiedy Jim miał siedem lat, nieomal zmarł na zapalenie płuc. Wyzdrowiał, ale stopniowo docierało do niego, że po bliskim spotkaniu z tamtym światem pozostała mu zdolność widzenia duchów, zjaw i wszelkiego rodzaju innych nadprzyrodzonych bytów, od poltergeistów po demony. Widział je i mógł również z nimi rozmawiać, gdy się pojawiały.

Teraz był pewien, że to jest właśnie ten dar, o którym mówił Simon. Ale skąd on o tym wiedział? Jim nauczył się z tym żyć, a czasem korzystając z tej umiejętności, aby pomóc ludziom, których nękały mściwe lub złe duchy. Jednak nie mógł zrozumieć, jak syn kaznodziei o tym usłyszał i dlaczego tak bardzo się tym interesował.

Znowu rozległo się pukanie do drzwi; tym razem była to kobieta z CSI w jaskrawobiałym kombinezonie, o policzkach zaczerwienionych od kasku ochronnego.

– To wszystko, detektywie. Skończyliśmy. Powinniśmy mieć dla was wstępne raporty do końca tygodnia. Ale na tym etapie nie sądzę, żeby dużo z nich wynikło.

– Jakies sugestie, jak to zostało zrobione?

Agentka CSI potrząsnęła blond lokami.

– Jak dotąd żadnych. Brak odcisków palców, brak śladów butów, nic. Mamy oczywiście te gwoździe i będziemy próbowali wyśledzić, skąd pochodzą; pobierzemy również próbki białej farby, którą ofiara została pokryta. Wydział Opieki nad Zwierzętami sprawdzi koty. Wszystkie wyglądają na rodowodowe, więc prawie na pewno mają mikrochipy.

– Dobrze, to powinno nam pomóc – stwierdził detektyw Brennan. – Nie codziennie ktoś idzie do hodowcy kotów i kupuje osiem białych persów. Albo je kradnie.

– Nadal nie mam pojęcia, jak dziewczyna i koty zostały przybite do sufitu – powiedziała agentka. – Jeśli sprawcy użyli rusztowania albo drabiny, na podłodze musiałyby zostać jakieś ślady. A tam nic nie ma. W ogóle brak jakichkolwiek wgnieceń.

– Czy kiedykolwiek widziała pani coś takiego? – spytał Jim. – Niekoniecznie na suficie. Ale podobny układ... kobieta z rozpostartymi ramionami i nogami, a dookoła koty? Albo coś choćby po części podobnego?

Agentka pokręciła głową.

– Nigdy. I wiercie mi, widziałam przeróżne ułożenia ciał. Głowa kobiety przyszyta do ciała mężczyzny i odwrotnie. Facet, którym wypchano konia wyścigowego, z głową wystającą spod ogona. Nigdy nie

dowiedzieliśmy się, kto to zrobił, ale chyba możemy odgadnąć, co chciał tym wyrazić.

- Dzięki, Moira - odezwał się detektyw Brennan. - Będę czekać na wiadomość od ciebie. Panie Rook, może pan wracać do domu, jak pan chce. Dał mi pan swój numer komórki, prawda? Może zadzwonię, jeśli pojawi się coś nowego.

- Dobrze - odparł Jim. Podniósł teczkę, wrzucił do niej jabłko i opuścił budynek. Na zewnątrz było teraz ciepło i jasno. Zazwyczaj, jeśli nieoczekiwanie dostał dzień wolny, udawał się do 26 Beach Restaurant w Venice, zamawiał piwo oraz burgera z prosciutto i przekomarzał się chwilę z ulubioną kelnerką, Imeldą.

Ale dzisiaj nie był w nastroju do niczego poza powrotem do domu. Chciał usiąść i spróbować zrozumieć, co tak naprawdę się stało. Wciąż nie mógł uwierzyć, że to, czego był świadkiem, rzeczywiście się zdarzyło.

Wsiadł do samochodu i z piskiem opon wyjechał z parkingu. Pojechał z powrotem podjazdem, wciąż myśląc o dziewczynie i kotach na suficie, i o ciemnej postaci, którą prawie przejechał w porannej mgle. Powiedział detektywowi Brennanowi o nim (lub niej, czymkolwiek mogła być ta postać), ale detektyw nie okazał zbytniego zainteresowania.

- Jak sam pan powiedział, żaden człowiek nie mógł tego zrobić w pojedynkę, bez pomocy.

Gdy przejeżdżał między brązowymi ceglanyimi filarami, które wyznaczały teren szkoły, jego wzrok przykuła biała plama wśród drzew, po lewej stronie. Zwolnił, a potem zatrzymał się, marszcząc brwi; cofnął samochód o dwadzieścia lub trzydzieści metrów i opuścił szybę, tak że widział biały kształt wyraźniej.

Obok drogi, w miejscu, gdzie skręcała od North Saltair Avenue w kierunku Sunset, znajdował się zagajnik cienistych dębów. Pod tymi dębami z rozpostartymi ramionami stał Simon Silence w szerokiej białej koszuli i luźnych białych spodniach. Był odwrócony do Jima plecami, więc trudno było dokładnie zobaczyć, co robi. Ale Jima przede wszystkim zaskoczył widok siedmiorga czy ośmiorga młodych ludzi, którzy siedzieli

wokół Simona w półkolu ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywali się w niego jak urzeczeni, jakby oczarował ich czymś, co mówił.

Z tego, jak byli ubrani, a także po sportowych torbach leżących obok nich na ziemi Jim domyślił się, że są to uczniowie. Cofnął się jeszcze kawałek i właśnie wtedy rozpoznał chudego czarnego mężczyznę, którego widział wcześniej tego ranka pod cyprysem, a także ładną blondynkę o postrzępionych włosach, w różowej koszulce.

Został tam przez chwilę, zastanawiając się, czy powinien iść i zapytać ich, co robią. Był świadom, że to, czym się zajmują poza szkołą, nie jest jego sprawą. Mogli sobie skakać na golasa albo palić skręty, albo jedno i drugie, i nic nie mógł z tym zrobić, chyba że zadzwonić na policję. Poza tym nie znał jeszcze ich nazwisk i nie wiedział, ilu z nich jest z jego klasy. Zdecydowanie nie chciał wyjść na sztywniaka, który się wtrąca do zabawy, jeszcze zanim ich poznał. Niczego ich nie nauczy, jeśli nie zdobędzie ich zaufania.

Mimo wszystko Simon Silence uruchomił jego paranormalną wrażliwość, jak włączony alarm przeciw włamaniowy w odległym magazynie, na który nikt nie reaguje. Coś tutaj było nie tak, chociaż nawet nie domyślał się, co to takiego. Coś bardzo nie tak.

Siedział tam jeszcze chwilę, kiedy nagle rozległ się ogłuszający dwutonowy klakson. Spojrzał w lusterko wsteczne i zobaczył, że tuż za nim stoi wielki czarny dodge ram i czeka niecierpliwie, aż on zjedzie ze środka drogi.

Pomachał przez okno ręką na przeprosiny i ruszył. Ale wtedy właśnie zobaczył, jak Simon Silence odwraca się z tym samym przebiegłym uśmiechem co wcześniej.

* Wiersz Emily Dickinson *Nie mogłam stanąć i czekać na Śmierć*, przekład Stanisław Barańczak.

Rozdział 3

Kiedy Jim zaparkował na stromym podjeździe przed swoim blokiem przy Briarcliff Road, zastał Ricky'ego Kaminsky'ego siedzącego na schodach, grającego na hiszpańskiej gitarze i palącego skręta.

– Hej, jesteś z powrotem superwcześnie – przywitał go Ricky, a papieros podskakiwał mu w ustach. – Nie mów mi... spojrzalesz tylko raz na nową klasę i totalnie się spietralesz?

Ricky był artystą mieszkającym na parterze. Przekroczył sześćdziesiątkę, miał dziką grzywę siwych włosów i obwisły siwy wąs. Jego pomarszczona twarz wyglądała jak skórzana podeszwa, którą stale wystawiał na słońce, deszcz i wiatr na wszystkich plenerowych koncertach rockowych od Woodstock po Altamont. Był ubrany tylko w skózaną kamizelkę i dżinsy, a na jego nagiej, kościstej i brązowej jak u wędzonego śledzia piersi spoczywało sześć lub siedem naszyjników z kolorowych paciorków.

– Mieliśmy pewne problemy z bezpieczeństwem – powiedział Jim.

– Problemy z bezpieczeństwem? Po co ten eufemizm?

– Znalazłem martwą dziewczynę w mojej klasie. I dodatkowo kilka martwych kotów.

Ricky zmrużył oczy, ale nie przestawał grać na gitarze.

– Cholera. O co w tym wszystkim chodzi?

– Sam chciałbym wiedzieć. Wyglądało to na jakiś rytuał.

– Kurwa, są na świecie dziwne typy, chłopie. Mówię ci. Kiedyś myślałem, że lata sześćdziesiąte były dziwne. Potem, że siedemdziesiąte. Ale dzisiaj... kurczę. Cały pieprzony świat jest dziwny. Masz...

Wyjął papierosa z ust i podsunął go Jimowi, kiwając głową dla zachęty.

– To dobre gówno, stary. Chcesz spróbować? Złagodzi twoje problemy, tak to działa.

Jim pokręcił głową.

– Nie, dzięki. Chyba i tak wystarczająco dużo dzieje się w mojej głowie bez tych rzeczy. Tak czy inaczej, dlaczego ty nie pracujesz? Myślałem, że masz skończyć to zlecenie dla biblioteki w Westwood.

– Pracuję nad tym, pracuję. Mam pewne trudności, to wszystko. Farba nie umie się zachować.

– Co to znaczy? Kupiłeś jakąś nieposłuszną farbę? Zabierz ją z powrotem do sklepu i zażądaj zwrotu pieniędzy.

Ricky przestał grać i oparł gitarę o stopień.

– Nie... mówię poważnie, chłopie. Chodzi o to... Sam pisujesz trochę poezji od czasu do czasu, co? Wiesz, jak to jest, gdy słowa nie zachowują się tak, jak od nich oczekujesz?

– Nie do końca.

– No to ci pokażę.

Ricky wstał i poprowadził Jima po schodach do swojego mieszkania. Wyblakłe czerwone drzwi frontowe były otwarte i z wnętrza dochodził silny zapach kadzideł i terpentyny. W dużym pokoju panował chaos. Trzy sztalugi stały pod różnymi kątami do siebie, a pod ścianami ustawiono dziesiątki niedokończonych płócien. Stół na kozłach pełen pędzli, gałganów i zaschniętych palet oraz dziesiątek do połowy wyciśniętych tub z farbą olejną wyglądał jak wielobarwne gniazdo wijące się od robaków.

Ściany wyłożone były indyjskimi dywanikami – czerwonymi, brązowymi i zielonymi, a z sufitu zwisały mosiężne lampy owinięte czerwonymi jedwabnymi szalami. W rogu zaś stała orientalna klatka z czerwoną papugą siedzącą na żerdzi.

– To obraz, który mam namalować dla biblioteki Westwood – powiedział Ricky. Skinął głową w kierunku sztalug po prawej stronie, z dużym płótnem przedstawiającym mężczyznę w białym płaszczu, siedzącego na krześle niczym na tronie, otoczonego przez małe dzieci. Na

kolanach miał grubą księgę oprawioną w skórę i najwyraźniej im coś czytał.

Jim spoglądał na obraz, długo nic nie mówiąc. Pomyślał, że błady mężczyzna jest niesamowicie podobny do Simona Silence'a, choć to musiał być przypadek. Nie mogło być inaczej. Albo zbieg okoliczności, albo parapsychiczny budzik Jima nadal cicho dzwonił w głębi jego umysłu.

– Kto to jest? – spytał.

– To ma być Gawędziarz. Kilka razy w miesiącu biblioteka organizuje gawędy dla maluchów i starszaków. Chcieli powiesić jakiś obraz w kąciaku, gdzie będzie się im czytać.

– Nie... miałem na myśli, kogo użyłeś jako modelu?

– Właśnie, kurwa, w tym sęk. To jest model. – Ricky podszedł do sztalug i podniósł kolorowe zdjęcie mężczyzny z pozaginanymi rogami. Wręczył je Jimowi i dodał: – Tak miał wyglądać Gawędziarz.

Człowiek na zdjęciu miał okrągłą twarz i wyglądał jowialnie, prawie jak Święty Mikołaj bez brody. Policzki miał czerwone, a oczy skrzyły się humorem; do tego uśmiechał się szeroko i radośnie.

– Tak naprawdę facet nazywa się Morton Toft i prowadzi Brouhaha Bar na Wilshire. Specjalnie go wybrałem, bo zawsze opowiada niestworzone historie i ma twarz przyjazną dzieciom.

– Więc... co się stało? Twój Gawędziarz wygląda zupełnie inaczej.

– Nie umiem go namalować inaczej, to dlatego. Szkicuję jego rysy, mieszam farby, a on zawsze tak wychodzi. Ta twarz, na którą patrzysz, to, kurwa, trzecia, jaką namalowałem, jedną na drugiej.

Jim podszedł do obrazu i spojrział Gawędziarzowi w oczy. Nie było wątpliwości: był niesamowicie podobny do Simona Silence'a, tylko że co najmniej dwadzieścia lat starszy. Miał rzadsze włosy i kurze łapki wokół oczu.

– Możesz to wyjaśnić? – spytał Ricky. – Bo ja na pewno nie. Myślę, że to ma coś wspólnego z farbą.

Jim usłyszał grzechot, jakby rozsuwano zasłonę z koralików, a potem rozległ się kobiecy głos:

– To wiadomość ze świata duchów. Powtarzam to Ricky’emu na okrągło, ale on mi nie wierzy.

– Och, na litość boską, kobieto! Wiadomość ze świata duchów, posrać się można! Nie no, kurwa, nie ma świata duchów, inaczej twój były spałby co noc między nami, żeby nas rozdzielić!

Do pokoju weszła bardzo chuda kobieta z białymi włosami ściętymi na pazia. Miała na szyi srebrny naszyjnik Indian Nawaho, na rękach kilka srebrnych bransolet, a poza tym była naga do pasa. Jej małe i płaskie piersi miały wydatne, brązowe sutki przebite srebrnymi kolczykami. Nosiała zwiewne brunatne szarawary i orientalne kapcie z zawiniętymi noskami. Palila papierosa w długiej czarnej cygarniczce.

– Cześć, Nadine – przywitał ją Jim. – Jak idą wróżby?

– Och, daję sobie radę. Klienci to głównie biznesmeni, którzy chcą wiedzieć, kiedy nadejdzie następny krach.

– Tak więc... Gawędziarz... twoim zdaniem to wiadomość ze świata duchów?

Nadine przysunęła się do Ricky’ego i objęła go w pasie.

– On nie chce mi wierzyć, ale co jeszcze mogłoby to być? Dobra, nie jest z niego Norman Rockwell, ale potrafi namalować twarz, co, króliczku?

– To farba – upierał się Ricky. – To ma związek z farbą, jestem tego pewien. Kiedy wyschnie, traci całą pigmentację.

Nadine wydmuchała długą strużkę dymu.

– Przecież sam nie wierzysz w to, co mówisz. Po prostu nie chcesz się przyznać, że są na tym świecie siły, których nie można wytłumaczyć. Jim wie o nich wszystko, prawda, Jim?

Jim celowo nie odpowiedział na to pytanie.

– Jak myślisz, co to oznacza w takim razie? – zapytała Nadine. – Ta twarz zawsze różni się od tej, którą Ricky chce namalować.

– Myślę, że to dawno zmarły krewny desperacko stara się z nim skontaktować za pośrednictwem nośnika, w którym się najbardziej

wyspecjalizował... farby olejnej.

– Ach tak? Dlaczego nie przez muzykę? Albo dlaczego po prostu z nim nie porozmawia?

– Bo przez większość czasu jest na haju i by zapomniał. Ale jeśli zawrze wiadomość w obrazie, Ricky nie będzie mógł zapomnieć. Musi dowiedzieć się, kto to jest, ten Gawędziarz, a wtedy odkryje coś bardzo dla niego korzystnego.

– Nadine, możesz dać spokój? Nie wierzę w żadne bzdury z wróżbami!

– Ale możesz stać się bogaty, nie wiedząc o tym. Ten człowiek mógł ci zostawić niewypowiedziany majątek, króliczku, a wtedy moglibyśmy żyć w luksusie przez resztę życia!

Ricky odwrócił się do Jima i rozłożył szeroko ramiona.

– Wierzysz w te bzdury? To właśnie muszę znosić każdego dnia. Zostawiam fusy po kawie na ściance kubka i to oznacza, że sprzedam jeden z moich obrazów za rekordową cenę. Nie sprzedałem, kurwa, żadnego obrazu od miesiący, nawet za grosze.

Jim spojrział na zegarek.

– Słuchajcie... lepiej będzie, jak zostawię was oboje w spokoju. Mam mnóstwo pracy, muszę się przygotować na jutro.

– Zostań na herbatę rumiankową – błagała Nadine, chwytając go za ramię i tuląc je do płaskiej piersi. – Mamy tak mało gości, nie, Ricky?

– Naprawdę muszę iść – odparł Jim. – Muszę zabrać kota na spacer.

Gdy odwrócił się, by wyjść, czerwona papuga nagle nastroszyła pióra i wydała ostry, piskliwy wrzask:

– *Silence!* – krzyczała. – *Silence!**

– Kurwa, zamknij się, ptaku! – warknął Ricky. Potem zwrócił się do Jima – *Silence...* to jedyne słowo, jakie zna. Próbowałem nauczyć ją kilku dobrych, staroświeckich przekleństw, ale ona powtarza tylko to: *silence!*

– *Silence!* – wrzasnęła papuga na niego. – *Silence!*

• • •

Kiedy przechodził korytarzem obok mieszkania numer dwa, drzwi nagle się otworzyły i wyszła Summer. Udało jej się zgrać wyjście prawie co do sekundy. Była blondynką, wysoką i uderzająco piękną, o ogromnych niebieskich oczach i małym, kształtnym, lekko zadartym nosie oraz naturalnie obfitych wargach.

Dziś rano ubrana była skromniej niż zwykle – w różowy sweter z golfem i z krótkimi rękawami, który nawet nie sięgał do pępka, oraz w parę białych szortów z mankietami.

– Jimmy! Myślałam, że będziesz w szkole!

Jim pocałował ją w oba policzki.

– Jak leci, Summer? Jak praca na rurze?

– Och, nie mówiłam ci? Odchodzę. Zjawił się facet z agencji modelek Starstruck i zaoferował mi znacznie lepsze pieniądze za pracę modelki. Mam pierwszą sesję w poniedziałek.

– Myślałem, że lubiłaś taniec na rurze.

– Jest w porządku, ale to o wiele bardziej męczące, niż myślisz. I ci okropni starcy... nigdy nie potrafią utrzymać łap przy sobie. Dlaczego nie jesteś w szkole?

– Och... pojawił się pewien problem dotyczący zdrowia i bezpieczeństwa. Prawdopodobnie jutro wrócimy do normalności.

Summer sięgnęła do włosów i okręciła lok wokół palca.

– Skoro... nie robisz nic po południu, to może zabrałbyś mnie na plażę albo gdzieś?

– Summer... wiesz, jak bardzo cię lubię, i myślę, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek znałem. Ale niech tak zostanie, dobrze? Wiesz, bądźmy przyjaciółmi.

– Przyjaciele mogą iść razem na plażę, może nie?

– Widziałem twoje bikini, kiedy się opalałaś. Jak długo, twoim zdaniem, zostalibyśmy tylko przyjaciółmi, gdybyś miała je na sobie?

– Daj spokój, Jimmy. Zaledwie wczoraj kupiłam brazylijskie bikini. Nie miałam okazji go jeszcze przymierzyć.

Jim pocałował ją kolejny raz.

– Zejdź mi z oczu, szatanie. Zobaczymy się później, dobrze? Około ósmej? Może uda nam się wypić drinka w Barney's Beanery i coś przekąsić, jeśli będziesz głodna.

– Ciebie jestem głodna, Jimmy. Wiesz o tym.

– Przestań mnie drażnić, Summer. Jestem po prostu zmęczonym, starym nauczycielem w college'u.

Jim wszedł na ostatni odcinek schodów prowadzących do jego mieszkania. Otworzył drzwi, a Tibbles natychmiast zeskoczył z kuchennego stołu, jakby został przyłapany na gorącym uczynku.

Podszedł do Jima i otarł się o jego nogi, wydając przy tym dwa lub trzy przymilne miauknięcia.

– Co robiłeś, że czujesz się taki winny? – zapytał Jim.

Wszedł do salonu i otworzył przesuwane drzwi balkonowe. Poniżej w ogrodzie ciepły wiatr szumiał wśród juk, a ogrodnik Santana pochylał się nad rabatami, próbując wykopać z nory goffera. Spojrzał w górę, kiedy Jim zaszurał jednym z krzeseł na balkonie, i pomachał postrzępionym słomkowym kapeluszem. Santana był młody i bardzo przystojny, jak na meksykańskiego ogrodnika przystało.

– *Hola, Señor Rook!*

– *Por que trabajo tan duro?* Dlaczego tak ciężko pracujesz? – zawołał Jim.

– *Se volveran solamente!* One i tak wrócą!

– *No cuida!* Nie obchodzi mnie to! *Todavía consigo pagado!* Nadal mi płacą!

Jim wrócił do kuchni i otworzył teczkę. Przynajmniej będzie miał szansę, aby do końca przygotować lekcję o poezji Rachel X. Speed. Wysypał zawartość teczki na blat i wraz ze wszystkimi jego skoroszytami i folderami potoczyło się jabłko odmiany *paradise*, które podarował mu Simon Silence, i prawie spadło na podłogę.

Złapał je i powąchał ponownie. Jego róż i zieleń znaczyły delikatne paski, jak na cukierku, a aromat był bardzo kuszący. Zaniósł je do zlewu i umył, a potem sięgnął po teczkę z Rachel X. Speed i wrócił na balkon, wgryzając się w jabłko.

Usiadł, otworzył skoroszyt i rozłożył kartki w wachlarz. Rachel X. Speed była bardzo kontrowersyjną, trudną poetką, ale pomyślał, że jej wiersze trafią do klasy wychowanej na rapie, dubstepie i grime.

Ugryzł kolejny kęs jabłka. Było pyszne, słodkie i kruche, ale z pewną ostrością, która przypominała mu coś, czego nie mógł całkiem dokładnie określić. Raczej osobę niż smak. Osobę i miejsce. Czy to nie dziwne? Jabłko, które przywoływało wspomnienia.

Jeszcze czytał i jadł, kiedy Tibbles wyszedł na balkon. Kot zamiauczał, potem jeszcze raz miauknął i otarł się o jego kostki.

– Tibbles, na miłość boską, dopiero co zjadłeś śniadanie!

Wtedy Tibbles wskoczył mu na kolana, zgniatając wszystkie papiery.

– Tibs... co ty wyprawiasz?

Jim podniósł kota, żeby postawić go na podłodze, ale wtedy zauważył postać stojącą na końcu balkonu. Tę samą ciemną, mroczną postać, którą widział w smogu tego ranka i której omal nie przejechał.

Może powstała z czarnego dymu albo czarnej gazy. Zdawała się unosić w strzępach na wietrze. Tibbles wykradł się powoli do tyłu, jeżąc futro, a Jim poczuł mrowienie w krzyżu.

– Czego? – zapytał. – Kim, do diabła, jesteś? – Starał się brzmieć stanowczo, choć jego głos był znacznie słabszy, niż tego chciał. – Czego tu chcesz?

Nastąpiła chwila przerwy, a mroczna postać zdawała się falować niczym poszarpana czarna peleryna rzucona na morze.

Wtedy odezwała się głębokim, drżącym głosem:

– *Przyszedłem po ciebie. Przybyłem po was wszystkich. Tym razem nikt mi nie ucieknie.*

Jim nie był pewien, czy rzeczywiście słyszał te słowa, czy ten dźwięk to vibracje kości tej zjawy.

Mroczna postać zawirowała, a potem jakby popłynęła z balkonu w powietrze i znikła. Jim upuścił resztkę jabłka, które przetoczyło się przez krawędź balkonu i spadło do ogrodu.

Rozdział 4

Wychylił się przez balustradę i zawołał do Santany:

– *Usted vio eso?* Widziałeś to?

Ogrodnik spojrział znad łopaty i ponownie zdjął kapelusz.

– *Qué?*

– *Esa sombra...* ten cień.

Santana wydał dolną wargę i pokręcił głową.

– *Veo solamente la tierra, señor.* Widzę tylko ziemię.

Potem jednak przeszedł po starannie przystrzyżonym trawniku i podniósł do połowy zjedzone jabłko Jima.

– *Aquí, usted cayó su manzana**.

– Tu – zawołał Jim, wyciągając ręce. – Rzuć je do mnie, dobrze?

Santana zmarszczył brwi i odpowiedział:

– *Usted lo quiere realmente?* Naprawdę tego chcesz?

– Rzuć – powtórzył Jim. Ogrodnik wzruszył ramionami, zamachnął się i rzucił jabłko.

Jim poszedł do kuchni i je opłukał. Wątpił, czy istniał jakiś związek między jedzeniem jabłka a cieniem, który pojawił się na balkonie. Lecz słodko-kwaśny smak owocu prowokował takie dziwne uczucie, nieuchwytnie – po części radość, a po części żal, jak pieśń, która nieoczekiwanie wywołuje wzruszenie, a on bardzo chciał wiedzieć, co to jest.

Ugryzł je ponownie i żuł powoli. Tibbles podszedł, usiadł na podłodze i spojrział na niego z nieukrywaną niechęcią, jakby chciał powiedzieć: *Dlaczego nie mogę żyć normalnie, jak każdy inny kot, wypełnić brzuch krewetkami z kocięj puszki, a potem wylegiwać się na balkonie*

w popołudniowym słońcu, gdzie nie pojawia się nie wiadomo skąd żaden mroczny cień, od którego aż jeży mi się futro?

Jim skończył jabłko i wrzucił ogryzek do kosza pod zlewem. Zamknął na chwilę oczy, jednak wciąż nie wiedział, jakie wspomnienie go nawiedza. Wydawało mu się, że czuje ciepły wiatr i jakaś kobieta mówi do niego, z dala dochodzi muzyka, grana na organach parowych, ale to wszystko.

•••

Resztę popołudnia spędził na planowaniu lekcji o Rachel X. Speed i jej wierszu *Życie na ulicy*.

*Gdziekolwiek pójdę, tam każdy z nich
Odwraca się i skrywa wzrok.
Uliczna miłość? Nie, nie ma jej.
Tam tylko złość, miłości brak,
Tylko graffiti, złom, rdza i wrak.*

Nie zauważył nawet, jak zaszło słońce, lecz gdy niespodziewanie zadzwonił dzwonek do drzwi, uświadomił sobie, że jest prawie ciemno. Tibbles podniósł głowę i spojrzał na niego zmrużonymi ślepiami. *Nie otwieraj. To może być zjawą z cienia.*

Jim przeszedł na korytarz, włączając światło. Przez mrożone szkło w okienku w drzwiach widział bujne blond włosy z wplecionymi dwiema różowymi wstążkami, więc od razu wiedział, kto tam stoi.

Otworzył drzwi i powiedział:

– Summer... wejdz. Przyszłaś wcześniej.

– Wiem, Jimmy. Ale się nudziłam. Życie jest takie nudne czasami. Winię za to Boga.

– Obwiniasz Boga?

– Hm... On nie wymyślił dosyć rzeczy, aby nas zabawić, prawda? Odpoczywał siódmego dnia, kiedy powinien robić takie rzeczy, jak różne

śmieszne zwierzęta i tęcze obrócone do góry nogami, ptaki latające do tyłu.

– Nawet gdyby tak zrobił, Summer, to przywykłałabyś do nich i ciągle byś się nudziła. Jaki masz ładny strój. Bardzo nienudny. Ale my tylko idziemy do Barney's Beanery. Nie lecimy w kosmos.

Summer miała na sobie srebrną kurtkę z krótkimi rękawami, ze stójką i zamkiem błyskawicznym rozpiętym aż do pępka. Włożyła też obcisłe srebrne spodnie i krótkie srebrne botki z zawiniętymi cholewkami, na bardzo wysokich obcasach.

– To mi się w tobie podoba, Jimmy. Jesteś taki ikoniczny.

– Lakoniczny, kochanie. Ale dobra próba.

Usunął resztki poprzedniego krewetkowego obiadu Tibblesa i nalał do miski mleka. Włożył skórzaną kurtkę i razem z Summer zszedł do samochodu. Wieczór był wyjątkowo wilgotny, a nad górami Santa Monica widzieli migoczące niczym języki węży błyskawice.

– Miałam taki straszny sen dzisiaj – powiedziała Summer, gdy jechali na południe North Gower Street. Przysunęła się bliżej do Jima, a jej srebrne spodnie zapiszczały na winylowym siedzeniu. – Śniło mi się, że stoję w kolejce z setkami ludzi, a wszędzie dookoła nas jest ciemno. Przed nami jednak zobaczyłam pomarańczowe światło. Wyglądało zupełnie jak ognisko. I było też tak gorące jak ognisko. Może bardziej jak piec. Spytałam człowieka przede mną: „Dlaczego my wszyscy stoimy w tej kolejce? Nie chcę tu być. Chcę być w domu, w łóżku”.

– I co odpowiedział?

– „Musimy tu być. To koniec”. Więc spytałam: „Koniec czego?”. A on na to: „To koniec dla nas wszystkich. Właśnie nastał”.

Jim przyglądał się jej przez około dwie sekundy za długo i nieomal wjechał w tył toyoty prius na skrzyżowaniu z Hollywood Boulevard.

– To jakiś koszmar – powiedział do niej. – Może oglądałaś coś w telewizji, co to wyzwoliło? A może coś zjadłaś? Zawsze mam koszmary, kiedy jem *fajitas*.

Summer pokręciła głową.

- To bardziej przypominało scenę biblijną, jeśli wiesz, o co mi chodzi.
- Chyba tak. Jak Armagedon, koniec świata takiego, jaki znamy.

Jakby dla podkreślenia jego słów, błyskawice rozbłysły ponownie, tym razem znacznie bliżej, a oni usłyszeli dudnienie grzmotu jakby z głębi trzewi.

...

Zaparkowali przed Barney's Beanery na Santa Monica Boulevard i weszli przez podwójne drzwi. Chociaż było zaledwie wpół do ósmej, bar był zatłoczony, a muzykę nastawiono na maksymalną głośność. Skierowali się do dużej sali z tyłu i znaleźli sobie miejsce w rogu. Głowy odwracały się, gdy Summer przechodziła obok, a towarzyszył temu chór okrzyków i pełnych uznania gwizdów.

Każdy centymetr wewnątrz Barney's Beanery pokrywały reklamy piwa, tablice rejestracyjne oraz oznaczenia Route 66 i wycinki z gazet; znajdowały się nawet na suficie. Dwa stoły bilardowe zostały już zajęte, więc łoskot bil przeszkadzał im w rozmowie.

Jim zamówił drinka mimożę dla Summer, a dla siebie piwo Fat Tire i poprosił o podanie menu, które miało osiem stron, było formatu gazety, a na stronie tytułowej widniało wydrukowane wielkimi literami hasło: „Jeśli tego nie mamy, to ty tego nie chcesz”.

- Słuchaj... nie martwiłbym się tym koszmarem - powiedział do Summer. - Nie sądzę, żeby w najbliższym czasie nadciągał koniec świata. Nie za naszego życia, tak czy inaczej.

- No, nie wiem - odparła. - Nigdy nie miewam takich snów. Śni mi się głównie seks. I taniec.

Ilekcć Jim przychodził do Barney's Beanery, zwykle zamawiał strażackie chili, ale tego wieczoru z jakiegoś powodu w ogóle nie czuł się głodny. W zasadzie był syty, a nawet miał lekkie mdłości, jakby jadł i pił za dużo przez cały dzień. Poszedł do toalety i wetknął sobie palec w gardło.

Summer poprosiła o sałatkę śródziemnomorską oraz, oddzielnie, przyprawione frytki. Objęła piersi dłońmi i powiedziała:

– Nie mogę całkowicie zrezygnować z węglowodanów. Nie chcę być płaska jak deska.

– Summer, pustynia Mojave zamarznie, zanim ty będziesz płaska jak deska.

– Co jest?

– Nie wiem. Na razie nic.

Jimowi wydawało się, że rozmowy, śmiech i muzyka stopniowo robią się coraz głośniejsze. W końcu musiał krzyknąć do Summer, aby go usłyszała, a sam ledwo słyszał, co ona mówi do niego. Odczuwał coraz większe mdłości, a gdy wypił pierwszy łyk piwa z butelki, natychmiast cofnęło się, wypełniając mu usta, tak że musiał je przełknąć po raz drugi, nijakie, ciepłe i o wiele za słodkie.

Po jego lewej stronie siedział duży łysiejący mężczyzna w okularach w rogowej oprawie i jasnozielonym garniturze i bardzo głośno rozmawiał z przyjaciółmi.

– Ten scenariusz jest do dupy, tak mu powiedziałem. *Powtórne przyjsie Chrystusa?* Jezus pracuje jako mechanik w warsztacie samochodowym? Gdyby to był szatan i pracował w galerii handlowej, to mógłbym w to uwierzyć!

Summer zmarszczyła brwi i przyjrzała się Jimowi.

– Nic ci nie dolega, Jimmy? Kiepsko wyglądasz.

– Nic mi nie będzie. Coś mi leży na żołądku, to wszystko.

Jednak gdy to powiedział, coś przyciągnęło jego wzrok w stronę długiego drewnianego baru z przodu restauracji. Wszystkie dwanaście czerwonych skórzanych foteli było zajętych przez pijących; większość z nich się śmiała i opierała o ladę. Ale jeden, siedzący prawie na samym końcu, odwrócił się i popatrzył wprost na Jima.

Jim przyjrzał mu się uważnie. Nie miał wątpliwości – to był ten sam człowiek, którego twarz pojawiała się na obrazie Ricky'ego. Bardzo blade blondyn cały ubrany na biało – w białą płócienną koszulę, białe płócienne spodnie i sandały. Był bardzo podobny do Simona Silence'a, tylko starszy, w wieku Gawędziarza. Uśmiechał się do Jima, jakby z niego drwił.

Zjawiała się kelnerka z sałatką dla Summer i miską przyprawionych frytek.

– Przepraszę cię na chwilę, Summer, dobrze? – powiedział Jim. – Jest tu ktoś, z kim muszę porozmawiać.

– Jimmy... na pewno dobrze się czujesz? Jesteś taki podenerwowany.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Muszę porozmawiać z jednym facetem, to wszystko.

Lecz gdy wstał od stołu, wiedział już, że wcale nie czuje się dobrze. Poczł nagle gorąco i złość. Nigdy wcześniej nie był tak bardzo zły. Szturchnął łokciem dwóch klientów, aby usunąć ich z drogi do baru, a jeden z nich powiedział:

– Hej... uważaj, kogo trącasz, stary!

Jim zignorował go i ruszył prosto do mężczyzny w bieli.

Ten został na miejscu i wciąż się uśmiechał, spokojnie, szyderczo. Jim poszedł do niego i zapytał:

– Co jest?

– Przepraszam, przyjacielu – odparł mężczyzna. – Coś cię niepokoi? – Mówił z takim samym akcentem jak Simon Silence, wyraźnie południowym. Żrenice oczu miał jasne jak niebieskie kamyczki ze szkła, które przez lata obmywał ocean. Jim zauważył, że na szyi mężczyzny wisi kilka złotych łańcuszków z przyczepionymi medalionami i gwiazdkami. Największy medalion miał twarz kobiety o przenikliwym spojrzeniu.

Jim z trudem łapał oddech, jakby biegł całą drogę do restauracji. Przecież w ogóle nie znał tego człowieka. Wydał mu się znajomy, bo wyglądał jak Simon Silence, i równie dobrze mógł być jego ojcem, wielbny Johnem Silence'em. Jednak z jakiegoś powodu wywoływał w Jimie taką wściekłość, że z trudem mógł poprawnie wyartykułować słowa.

– Patrzyłeś na mnie – wysapał. Odwrócił się i wskazał stół, przy którym Summer właśnie rozpoczynała jeść sałatkę. Uśmiechnęła się do niego i pokiwała małym palcem. – Siedziałem tam, tak? A ty patrzyłeś na mnie.

Mężczyzna przecesał palcami rzadziejące blond loki.

– Myślę, że się mylisz, mój przyjacielu. Byłem daleko stąd. Patrzyłem w przyszłość, a nie na ciebie.

Jim schwycił mężczyznę za koszulę i skręcił ją, przyciągając go bliżej.

– Ty... kurwa... patrzyłeś... na mnie.

– W porządku – odparł mężczyzna – Przypuśćmy, że patrzyłem. To jest restauracja otwarta dla wszystkich. Nie ma prawa, które mówi, że klienci nie mogą na siebie patrzeć.

– Patrzyłeś na mnie! – Jim krzyknął do niego, prosto w twarz. – Nie udawaj, że nie patrzyłeś! Patrzyłeś na mnie, a ja chcę wiedzieć dlaczego!

– Hej, kolego – odezwał się barman. – Wystarczy. Wracaj na swoje miejsce i zamknij się, bo cię wyrzucę.

Jim odwrócił się do barmana i na niego też krzyknął.

– Co ty, kurwa, wiesz? Ten człowiek... ten człowiek tutaj... on jest na obrazie! Mój przyjaciel chce namalować Gawędziarza... i co się dzieje za każdym razem, kiedy próbuje namalować jowialnego staruszka? Wychodzi mu ten! On, z tą swoją przerażającą białą twarzą! I teraz ja tu sobie przychodzę na drinka i on znów tu jest, i patrzy na mnie! Skąd wiedział, że tu przyjdę? Zapytaj go! I jeszcze niech powie, dlaczego patrzy na mnie! Spytaj go!

Ciemnowłosy, gładko wyglądający mężczyzna w czerwonej koszuli pojawił się za Jimem i schwycił go bardzo mocno za ramię.

– W porządku, proszę pana, idziemy do wyjścia, dobrze?

Jim próbował się uwolnić, ale gładki mężczyzna był bardzo silny.

– Zapytaj go – nalegał Jim. Piers unosiła mu się z wściekłości i duszności. – Zapytaj go, dlaczego patrzy na mnie. No dalej!

– Przykro mi, proszę pana, ale nie wiem, o kim pan mówi. Teraz idziemy spokojnie, okay? Jestem pewien, że nie chce pan, żebym zadzwonił po policję.

Jim odwrócił się do mężczyzny w bieli, ale jego nie było. Stołek barowy stał pusty. Rozejrzał się po barze oszołomiony, a następnie spojrzął w kierunku wyjścia, aby sprawdzić, czy mężczyzna w bieli idzie ulicą. Ale

chodnikiem szła tylko kobieta o falujących pośladkach z nadmiernie przystrzyżonym pudłem.

– Nie widziałeś go? – spytał Jim. – Siedział tu, a ty go nie widziałeś?

– Chodźmy. Proszę.

Rozmowy i śmiech w restauracji zupełnie zamarły; ciekawscy klienci wyciągali szyje, aby zobaczyć, co się dzieje. Grała muzyka *Werewolves of London*. Summer najwyraźniej usłyszała krzyki i podeszła do niego, potykając się w swoich srebrnych botkach.

– Jimmy, co się stało? Jimmy?

– Ten pan właśnie wychodzi, proszę pani – powiedział ten gładki. Jego chwyt na ramieniu Jima był nieubłagany.

– Mówiłam mu, że kiepsko wygląda – dodała Summer.

Mężczyzna wyprowadził Jima na zewnątrz.

– Twoje zamówienie jest na koszt firmy – rzekł. – Jeszcze tylko jedna rzecz. Nigdy tu nie wracaj. Ani ty, ani twoja dziewczyna, ani twój wymyślony wróg.

Jim i Summer wrócili do samochodu. Jim nie uruchomił silnika. Siedział za kierownicą z pochyloną głową, próbując odnaleźć w tych niedawnych zdarzeniach jakiś sens. Summer głąskała go i ciągnęła za włosy na karku.

– Nic ci nie będzie, Jimmy. To tylko stres, to wszystko. Początek nowego semestru i cała reszta. Jesteś bardzo wrażliwym człowiekiem, za to cię uwielbiam. Nic nie poradzisz, jak ci odbije od czasu do czasu.

– O, dzięki – powiedział Jim. – Więc ty też go nie widziałeś? Tego człowieka w bieli, który siedział przy barze?

– Widziałam ciebie, nikogo więcej. Prawdę mówiąc, nie patrzyłam. Spadła mi oliwka za dekolt i próbowałam ją wyłowić.

Jim pojechał z powrotem na Briarcliff Road i odprowadził Summer do jej mieszkania. Z oddali, z gór nadal dochodziły grzmoty, ale burza przesunęła się teraz bardziej na wschód.

– Przykro mi, że zepsułem ci wieczór – rzekł. – Może masz rację, chyba wariuję.

– Zawsze mogę wpaść do ciebie na drinka – zaproponowała Summer.

Jim pocałował ją w policzek i powiedział:

– Nie dzisiaj, kochanie. Myślę, że dzisiejszej nocy trzeba zażyć peptobismol^{**} i puścić *Kanon D-dur* Pachelbela, w tej kolejności.

Summer objęła go i pocałowała w usta.

– Innym razem – szepnęła mu do ucha.

Jim z trudem wspiął się po ostatnich stopniach. Czuł się wyczerpany, jak gdyby przez cały dzień miał lekcje z hałaśliwą klasą. Nie odwrócił się, kiedy otwierał kluczem drzwi; gdyby to zrobił, ujrzałby mężczyznę w bieli stojącego po przeciwnej stronie ulicy, którego płócienne spodnie łopotały na wieczornym wietrze i który uśmiechał się do niego.

– Jestem bardzo, bardzo zadowolony z pana, panie Rook – powiedział pod nosem, choć może nie mówił wyłącznie do siebie. – Idzie panu znakomicie.

* Tutaj, upuściłeś swoje jabłko (hiszp.).

** Lek na niestrawność produkowany w Ameryce.

Rozdział 5

Następnego ranka obudził się jedenaście po siódmej, kiedy Tibbles skoczył mu z góry na pierś.

– Aaachhh! – krzyknął i zerwał się na równe nogi. Tibbles, ważący ponad trzy kilogramy, pozbawił go tchu nieomal całkowicie, ale przede wszystkim nagle wyrwał go ze snu.

Spacerował wokół szkolnego parkingu w gęstym, żółtym smogu, próbując odnaleźć swój samochód. Nie stał już na zwyczajowym miejscu – a raczej miejscu Roystona Denmana – ale Jim nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek chciał go przestawiać poza samym dyrektorem. Z drugiej strony Royston Denman zrezygnował z narzekania na ten temat już przed laty, zwłaszcza że ostatnio stał się fanatycznym wojownikiem o powstrzymanie zmian klimatycznych i zwykle przyjeżdżał do szkoły rowerem, w opływowym kasku na głowie.

Jim nie mógł też sobie wyobrazić, kto by chciał ukraść jego samochód. Mercury marquis rocznik 1971, zielony metalik? Mało kolekcjonerski wóz. Można było takiego znaleźć w internecie za mniej niż dwa i pół tysiąca dolarów.

Chciał się już właśnie poddać i zrezygnować z szukania, gdy usłyszał niskie zawrożenie silnika o pojemności 7,1 litra należącego do jego samochodu. Ktoś przestawił go, ale gdzieś blisko, jakby cierpliwie czekał, aż Jim go znajdzie.

Podążył za dźwiękiem silnika, gdy samochód powoli wyłonił się z mgły. Stał zaparkowany pod kątem blisko wjazdu na parking, a z rury wydechowej wydobywała się chmura spalin. Drzwi od strony pasażera były szeroko otwarte. To przypomniało Jimowi ludową historię irlandzkiego poety W.B. Yeatsa o powozie śmierci, który zjawia się przed twoim domem, gdy masz niedługo umrzeć, *cóiste bodhar*, i czeka na

zewnątrz z otwartymi drzwiami, aby cię zabrać, bo nie może wrócić pusty do podziemnego świata.

Jim podszedł do swojego samochodu. Pochylił się ostrożnie, żeby zobaczyć, kto siedzi za kierownicą. Gdy to zrobił, natychmiast poczuł, jak po głowie przechodzą mu ciarki, jakby miał wszy.

Była to ta sama mroczna postać, którą nieomal przejechał, a potem zjawiła się też na jego balkonie. Ten widok wywołał u niego szok, ale z jakiegoś powodu był teraz mniej przestraszony niż wczoraj. Zjawa wydawała się bardziej materialna, bardziej zdefiniowana, chociaż płaszcz na niej nadal zdawał się falować i marszczyć, jakby poruszał nim nieokreślony wiatr, a jej twarz skrywał głęboki, luźny kaptur. Lewa ręka w szarej zamszowej rękawiczce spoczywała luźno na górze kierownicy, a na serdecznym palcu widniał ozdobny srebrny pierścień, przypominający masę splecionych węży.

– *Dokąd mam pana zabrać, panie Rook?* – postać odezwała się dźwięcznym głosem. – *Człowiek z darem... może się udać, dokądkolwiek zechce, proszę mi wierzyć.*

– Kim jesteś? – zapytał Jim. – Czego chcesz? To mój samochód, Charlie, nie twój. Jak będę chciał gdziekolwiek pojechać, to sam poprowadzę, dziękuję.

– *Aha... ale nigdy nie pojedzie pan tam, gdzie ja mogę pana zabrać* – odparła zjawa. Lekko przekręciła głowę i wtedy Jim zobaczył dwoje błyszczących oczu wewnątrz ciemności kaptura.

Właśnie w tym momencie Tibbles wskoczył na kołdrę i Jim zerwał się przerażony.

...

Zadzwoił do Rosy, sekretarki doktora Ehrlichmana, i zapytał ją, czy szkoła będzie już dzisiaj otwarta.

– Oczywiście – odparła. – Ale nie wracasz do swojej sali, dopóki ludzie z ekipy kryminalnej nie skończą zbierać dowodów i wszystko nie zostanie posprzątane i odnowione. Przenieśliśmy cię do pracowni plastycznej numer cztery, na pierwszym piętrze.

- Do pracowni plastycznej numer cztery? Do pracowni plastycznej? Do czwórki? To przecież nic innego tylko zbędny kantorek.

- Przykro mi. Doktor Ehrlichman kazał ci powiedzieć, że szkoła w tym roku ma nadmiar uczniów i brakuje wolnych klas. Przy okazji, nie przegap apelu dziś rano, dobrze?

- Oczywiście, że nie.

- Przegapisz, Jim. Znam cię.

- Postaram się, Rosa. Ale zawsze byłem uczulony na inspirujące przemówienia Ehrlichmana. A także na jego akademickie wizje. Wywołują u mnie astmę, na którą nawet nie jestem chory. Nie umiem przewidzieć, co będę jeść na obiad, a co dopiero, jakie stopnie moi uczniowie dostaną za rok od teraz.

- Postaraj się, Jim, proszę. Dzięki temu będzie weselszy.

- Rosa... możesz być weselsza tylko wtedy, jeżeli już jesteś wesoła.

- No dobrze, masz rację. Dzięki temu będzie trochę mniej zrzędlawy.

Na śniadanie Jim zrobił sobie kanapkę z serem szwajcarskim i pomidorem. Wolałby zjeść pastrami, ale zużył je wczoraj i poza serem nie miał nic w lodówce. Chętnie podłączyłby się do obiadu Tibblesa – porcji indyka, która pachniała dość apetycznie. Ale Tibbles na niego nie spojrzał, nawet kiedy Jim wepchnął teczkę pod pachę, podszedł do drzwi i powiedział:

- Na razie, nieprzyzwoicie gruby kocie.

Tibbles miał głowę w misce i pożerał karmę.

Gdy Jim jechał do szkoły, nie mógł uspokoić myśli, aż zebrało mu się na mdłości. Nieustannie pojawiała się przed nim mroczna postać wirująca na jego balkonie niczym słupek dymu; i ta sama mroczna postać ze snu o samochodzie. Te oczy błyszczące spod kaptura. Ciągłe na nowo wracał też do koszmaru, który opisała mu Summer – o szeregach ludzi drepczących do ostatecznego ognistego pieca. Potem zobaczył bladą, zadowoloną z siebie twarz, która pojawiała się na portrecie Gawędziarza malowanego przez Ricky'ego, mimo wszystkich wysiłków, by namalować

go inaczej, i ten sam człowiek w bieli, siedzący w barze wczoraj wieczorem i drwiący z niego.

Nie chciał myśleć o tym, co stało się w restauracji, ponieważ było to zbyt krępujące. Trzeba było mieć mocno namieszane w głowie, żeby dostać zakaz wstępu do Barney's Beanery.

Mimo wszystko nie mógł powstrzymać się od konstatacji, że wszystkie te koszmary i wszystkie te incydenty były w jakiś sposób ze sobą powiązane, splątane jak węże na pierścieniu mrocznej postaci. Nie można było odróżnić, gdzie kończyły się sny, a zaczynała rzeczywistość. A może to nie były sny. Może wszystko było realne – mroczna postać i człowiek w bieli, i koszmar Summer o Armagedonie. A może nic z tego nie było prawdziwe, może to tylko zbieg okoliczności i Summer miała rację, że padał w obłąd.

Wymagało to trochę skomplikowanego manewrowania, ale udało mu się zaparkować samochód w miejscu oznaczonym J. ROOK. Jakoś nie chciało mu się kusić losu, parkując na miejscu Roystona Denmana. Poranek dzisiaj nie był mglisty, w przeciwieństwie do jego snu, ale nigdy nic nie wiadomo. Upewnił się, że zamknął samochód na klucz, bo nigdy nie zadawał sobie tego trudu. Nie miał ochoty wrócić na koniec dnia i zastać mroczną postać w kapturze siedzącą za kierownicą, oferującą mu przejażdżkę Bóg wie dokąd.

Oczywiście spóźnił się na zebranie u doktora Ehrlichmana, co częściowo spowodowane było ślimaczym tempem na Sunset, a częściowo faktem, że celowo opuścił swoje mieszkanie około dziesięciu minut za późno, aby zdążyć na czas.

Wspiął się po schodach na pierwsze piętro i poszedł do końca korytarza do pracowni plastycznej numer 4. Zebranie jeszcze się nie skończyło, więc budynek był pusty i kroki Jima niosły się echem.

Zanim otworzył poobijane, pomalowane niebieską farbą drzwi, zajrzał przez znajdujące się w nich małe okienko. Zamiast oddzielnych ławek dla klasy specjalnej stały tam cztery długie stoły, wszystkie pochłapane farbami i tuszami w każdym możliwym kolorze. Na ścianach wisiały dziesiątki obrazów i portretów – krajobrazów, sztuki abstrakcyjnej,

dziwnych zwierząt wykonanych przez uczniów, którzy najwyraźniej byli przekonani, że konie mają nogi cienkie jak kije do golfa, a tułowiu w kształcie nadmiernie wypchanej kanapy.

Po obu stronach pracowni wisiały półki wypełnione rzeźbami i ceramiką w różnych fazach realizacji. Większość postaci ludzkich była bryłowata i bezkształtna, bardziej podobna do trolli niż ludzi, a dzbany i misy wyglądały tak, jakby zostały uformowane podczas sceny z filmu *Uwierz w ducha*, kiedy Patrick Swayze przysiada się do lepiącej z gliny Demi Moore.

Jim zrobił jeszcze jedno, zanim otworzył drzwi. Wyciągnął szyję i spojrzał w górę w kierunku sufitu. Jeśli był tam ktoś przybity, z kotami lub bez, nie miał zamiaru wchodzić do środka. Zobaczył jednak tylko brudny otynkowany sufit z pęknięciami, małą jaszczurkę i dwie zwisające świetlówki.

Wszedł. Pracownia mocno pachniała farbą olejną, wyschniętą gliną i wilgotnymi ścierkami, więc przeszedł do okna i je otworzył. Z pierwszego piętra widział okna swojej klasy, drugiej specjalnej, i trzy postacie w białych kombinezonach ochronnych poruszające się w środku. Naprzeciwko wznosił się trawiasty stok, który dochodził do małego zagajnika – pięciu lub sześciu eukaliptusów i suchych liści u ich podnóża.

Ku jego zaskoczeniu pod tymi drzewami stał Simon Silence z szeroko rozpostartymi ramionami. Miał na sobie białą koszulę i białe płócienne spodnie, a do tego sandały, tak jak wczoraj, a jego biały płócienny worek leżał przy nogach. Trudno było Jimowi z tej odległości dojrzeć wyraźnie, ale wyglądało na to, że miał zamknięte oczy i nucił coś lub śpiewał.

Cokolwiek robił Simon Silence, on także opuścił apel prowadzony przez doktora Ehrlichmana, więc Jim pomyślał, że nie ma powodu, aby narzekać. Simon Silence był w końcu synem pastora. Może tak właśnie rozpoczynał swój dzień, modląc się i śpiewając hymny. Mimo że Jim uważał modlitwę do Boga za daremną, nie przeszkadzało mu, kiedy robił to ktoś inny. Był zdania, że kupno losów na loterii jest równie daremne, co nie znaczyło, że niektórym ludziom czasami nie sprzyjało szczęście.

Położył teczkę na biurku, otworzył ją i wyjął czternaście świeżo wydrukowanych egzemplarzy testów gramatycznych. Przewertował je, przygotowując do rozdania, ale wtedy rozmyślił się i schował je z powrotem do teczki. Skoro wczoraj widział przynajmniej niektórych ze swoich nowych uczniów, jak siedzieli poza terenem szkoły, słuchając Simona Silence'a, pomyślał, że może rozpocząć ten dzień inaczej i przeczyta im wiersz Rachel X. Speed. Nie bardzo rozumiał dlaczego, ale miał przeczucie, że może się więcej o nich dowiedzieć, wysłuchując ich reakcji na *Nowy język miłości*, niż gdyby patrzył, jak męczą się nad różnicą między „nie na żarty” i „nienażarty” – jak w „pewien żarłok nienażarty raz wygłodniał nie na żarty”.

Usiadł przy biurku. Był to sosnowy antyk – mały i kwadratowy, pokryty prawie taką ilością tuszu i farby jak cztery uczniowskie stoły. Jakiś znudzony nauczyciel plastyki nabazgrał na nim flamastrem bardzo szczegółowy wizerunek nagiej kobiety, którą oplatał duży zielony wąż. Kobieta miała zawiązane oczy, więc nie mogła zobaczyć, jak wąż triumfalnie i chępliwie na nią łąpie.

Poniżej autor napisał $\pi\epsilon\rho\alpha\sigma\mu\zeta\varsigma$, ale chociaż Jim znał parę słów po grecku, jak $\kappa\epsilon\mu\pi\lambda\acute{\alpha}\nu$ (które oznaczało „kebab”), nie miał pojęcia, co to znaczy. Strzeż się ślepych zakrętów?

Próbował otworzyć szufladę. Z początku nie poddawała się, ale udało mu się rozruszać ją z boku na bok i wreszcie się wysunęła. W środku była rolka taśmy klejącej, na wpół skończone opakowanie dropsów owocowych i egzemplarz „Hustlera” z osłimi uszami z czerwca 2009 roku.

Wertował właśnie rozkładówkę z piersiastą młodą kobietą podpisaną Alexis Ford, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i chwiejnym krokiem weszła drobna dziewczyna o czarnych kręconych włosach i wsuniętych w nie okularach, niosąc w ramionach ogromnego, brudnego, niegdyś białego misia z gwiazdą Dawida na koszulce. Sama dziewczyna miała na sobie zielony kardigan, a pod nim szaroburą sukienkę i do tego brązowe buty, które wyglądały prawie na trekkingowe.

Zatrzymała się, spojrzała na Jima i „Hustlera” i powiedziała głosem bardzo nosowym:

– Och, *zay moykhl!* Przepraszam. Chyba powinnam zapukać.

Jim wrzucił magazyn do szuflady, ale potem znowu musiał siłować się przez kilka sekund, aby zamknąć ją na powrót.

– Nawet o tym nie myśl. To były badania, to wszystko.

– Och, badania. No dobrze – rzuciła dziewczyna, mimo że wyraźnie mu nie uwierzyła. Potem dodała: – Nie przeszkadza panu, że przyniosłam Nudnika do klasy? Tylko na dzisiaj. Oddaję go wieczorem na aukcję na Lev LaLeva. Wie pan, to akcja charytatywna na rzecz osieroconych dziewcząt w Izraelu.

– Twój miś ma na imię Nudnik?

– Bo jest nudny. Mój dziadek tak go nazwał, bo do znudzenia się o niego potykał, przez to, że jest taki duży.

– Rozumiem. A jak ty się nazywasz?

– Rebecca Teitelbaum. Moi rodzice zginęli w katastrofie lotniczej w Izraelu, kiedy miałam trzy lata, więc wychowywali mnie dziadkowie. To są bardzo mili ludzie, ale ich angielski jest dość *schlecht*. Dlatego dali mnie do klasy specjalnej. Chcę prowadzić międzynarodową działalność charytatywną, więc muszę nauczyć się angielskiego naprawdę dobrze.

– To bardzo szczerne, Rebecco. Ty i Nudnik... znajdźcie sobie dwa miejsca, gdziekolwiek chcesz.

– A przeszkadzałoby panu, gdyby mówił pan do mnie Becky?

– Tak.

– Tak, przeszkadza, czy tak, może nazywać mnie pan Becky?

– Tak, przeszkadza.

Gdy szła usiąść, Jim zrobił minę smutnego klauna za jej plecami. Potem odsunął krzesło, podszedł do starej, zapyłonej tablicy na ścianie za biurkiem i zaczął pisać: *Rachel X. Speed, urodzona w 1981 w Schaumburgu, w stanie Illinois. Zdobywczyni Nagrody Poetyckiej imienia Ruth Lilly w 2007 roku.*

Zanim skończył, drzwi otworzyły się ponownie i grupa uczniów wpadła do środka, przekomarzając się i śmiejąc. Jim od razu rozpoznał wysokiego Afroamerykanina, którego widział na zewnątrz, pod cyprysem.

Dziś nie miał na sobie szarego obwisłego dresu, ale bladoniebieski obwisły dres. Wszedł posuwistym krokiem, machając rękami, jak gdyby w jego głowie rozbrzmiewał hip-hop. Miał niezwykle wysoką fryzurę, która wznosiła się niczym cylindryczny czarny komin.

– Dzień dobry – powitał go Jim. – Powiesz mi, kim jesteś?

– Oczywiście. – Chłopiec uśmiechnął się do niego. – Jak tylko ty mi powiesz, kim ty jesteś.

Jim uśmiechnął się przez zaciśnięte usta.

– Myślę, że już wiesz, kim jestem. Jestem człowiekiem, który może dać ci kopa, aż wylecisz z tej klasy tak szybko, że nawet nie zdążysz nauczyć się „a” jak „analfabeta”.

Chłopak wpatrywał się w niego bardzo długo, a potem powiedział:

– Okay. DaJon. DaJon Johnson.

– Idź sobie gdzieś usiąść, DaJon. Najlepiej z tyłu, gdzie twoja strzelista koafiura nie będzie kolidować z niczym polem widzenia.

– Moja... co takiego?

– Twoja fryzura, głupcze. Idź usiąść.

DaJon, ni to podskakując, ni to szurając nogami, powędrował na tył pracowni i wyciągając nogi, usiadł na drugim końcu czwartego stołu, jak najdalej od Rebecki Teitelbaum i Nudnika.

Chwilę później weszli pozostali uczniowie, a między nimi dziewczyna z postrzępionymi blond lokami, która dzisiaj miała na sobie jeszcze bardziej obcisłą koszulkę, tym razem turkusową, w błyszczący srebrny rzucik, oraz rudowłosy chłopiec z szalejącym trądzikiem. W sumie Jim naliczył ośmiu chłopców i pięć dziewcząt. Sprawdzi listę obecności później, ale zawsze i tak zapominał nazwiska uczniów, nawet gdy dowiedział się już, kto jak się nazywa. Przeważnie, dla swojej wygody, nadawał im pseudonimy, jak Krater, Usta Jolie, Clarissa Wielka Dupa czy Zyzol Samy, choć starał się nie używać ich otwarcie.

– Okay – powiedział, podnosząc rękę, by zapanowała cisza. – Czy ktoś z was tutaj wie, co to takiego jest *zythum*?

Prawie wszyscy uczniowie pokręcili głowami i wzruszyli ramionami, powtarzając: *Zythum? Zythum?* – aż w klasie zabrzęczało jak w ulu. Ale po kilku chwilach jeden chłopiec niepewnie podniósł rękę i rzekł:

– Tak, proszę pana. Ja wiem. – Nosił okrągłe okulary, sklezione plastrem na nosie, i bordowy T-shirt, który wyglądał, jakby został zaatakowany przez rój wygłodniałych moli.

– Naprawdę? – zdziwił się Jim. – To niesamowite. Jak się nazywasz, synu?

– Kyle Baxter Trzeci, proszę pana.

– W porządku, Kyle’u Baxterze Trzeci, jak brzmi odpowiedź?

– *Zythum* to rodzaj piwa słodowego, proszę pana, które kiedyś warzono w starożytnym Egipcie.

Jim był całkowicie zaskoczony.

– Skąd, do cholery, to wiesz, jeśli wolno mi zapytać?

Kyle Baxter zarumienił się i rozejrzał szybko wokół siebie, najwyraźniej nieszczęśliwy.

– Czytałem słowniki, proszę pana – odpowiedział, a jego głos przeszedł w mamrot. – Czytałem słowniki i nauczyłem się wszystkich słów.

– Czytałeś słowniki i nauczyłeś się wszystkich słów? Na pewno nie musisz się wstydzić z tego powodu, Kyle. Brawo. To świetnie. To niezwykle, przyznaję, i godne podziwu.

– Tak, proszę pana. Bardzo lubię słowa.

Jim poczekał, a potem powiedział:

– Ale? Musi być jakieś „ale”, Kyle. W przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj, w klasie specjalnej.

Kyle zaczerwienił się jeszcze bardziej i zaczął szarpać koszulkę.

– Znam słowa. Znam wszystkie słowa. Tyle że trudno mi je umieścić w odpowiedniej kolejności. Zwłaszcza gdy próbuję je zapisać.

– Hej, chłopie! – zawołał Latynos siedzący na końcu trzeciego stołu. – Mi jest trudno umieścić je w złej kolejności, a tak w ogóle, to nawet nie znam ich samych, nie tak jak ty!

Wszyscy się zaśmiali, a Jim powiedział:

– Nie martw się, Kyle. Pod koniec tego roku będziesz pisał jak Herman Melville.

– Herman kto? – spytała śliczna czarna dziewczyna, siedząca z przodu, o włosach obficie ozdobionych kolorowymi koralikami. – Czy to ten facet, który gotuje w telewizji?

Jim uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Herman Melville jest autorem klasycznej powieści pod tytułem *Moby Dick*.

– O czym to jest?! – zawołał jeden z chłopców. – *Moby Dick*? Brzmi jak nazwa choroby wenerycznej. Muszę iść do szpitala, człowieku, mam prawdziwego moby dicka*.

Jim nagle zorientował się, że Simon Silence jeszcze się nie pojawił. Ruszył powoli prawą stroną pracowni do okna, żeby zobaczyć, czy nadal jest na zewnątrz pod eukaliptusami.

Gdy szedł, powiedział do klasy, z roztargnieniem:

– Jeśli mam być szczery, to nie spodziewałem się, że ktoś będzie wiedział, co to jest *zythum*. W rzeczywistości sam nawet nie wiedziałem, że to coś w rodzaju piwa. Wiem tylko, że to ostatnie słowo w słowniku.

Dotarł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Nie było tam nikogo poza jednym z dozorców, który jeździł kosiarką.

– Ostatnie słowo – powtórzył, odwracając się i idąc z powrotem w stronę biurka. – To dlatego jesteście tu, w klasie specjalnej, żebyście mieli ostatnie słowo. Będziecie się uczyć nie tylko tego, jak się pisze słowa i jak się je układa w zdania, które brzmią poprawnie. Będziecie się uczyć, jak używać słów w taki sposób, aby nikt nigdy nie mógł was skrytykować za sposób mówienia czy pisania. Nie będziecie musieli wygrywać sprzeczek, wrzeszcząc głośniejsze niż ktokolwiek inny lub grożąc, że go pobijecie. Wygracie je, bo będziecie wiedzieli, jak jasno i stanowczo wyrazić swoje zdanie, i dobrze. Gene Kelly śpiewał *I Got Rhythm*. Mam zamiar dać wam „zythum”, wam wszystkim. Mam zamiar dać wam ostatnie słowo.

– Gene Kelly? – Siedząca w pierwszym rzędzie czarnoskóra dziewczyna skrzywiła się. – Kim ona jest?

Gdy Jim doszedł do biurka, drzwi otworzyły się i wszedł Simon Silence.

– Och, Simon – powiedział Jim. – Cieszę się, że dotarłeś do nas.

Lecz Simon Silence stanął w drzwiach z szeroko rozpostartymi ramionami, w ten sam sposób, jak stał pod eukaliptusami. Oczy miał jasne i rozbiegane, jakby wpatrywał się w dal, i uśmiechał się błogo. W białej koszuli, białych spodniach i sandałach wyglądał prawie jak Jezus.

Jim miał mu powiedzieć, żeby znalazł sobie miejsce i usiadł, kiedy czarna dziewczyna złożyła dłonie jakby do modlitwy i pochyliła głowę, aż prawie dotknęła stołu przed sobą. Wtedy, jeden po drugim, pozostali uczniowie zrobili to samo, nawet Rebecca Teitelbaum, jakby wszyscy składali hołd.

Jim patrzył na to wszystko i z niedowierzaniem. Potem odwrócił się do Simona, aby zapytać go, czy wie, co to, do cholery, znaczy.

Przez ułamek sekundy – ale trwało to tak krótko, że nie mógł mieć pewności, czy to nie było złudzenie optyczne – wydawało mu się, że stopy Simona unoszą się kilka centymetrów nad podłogą. Ale właśnie wtedy Simon Silence spojrział na niego i zrobił krok do przodu.

– Panie Rook – powiedział. – Przepraszam za spóźnienie. Musiałem pogadać z ojcem.

Jim odwrócił się do reszty klasy. Wszyscy siedzieli teraz wyprostowani albo rozwaleni w krzesłach, żuli gumy, jak gdyby nic się nie stało.

– Nie ostatnie słowo – dodał Simon Silence, wciąż się uśmiechając. – Nie nadszedł jeszcze czas na ostatnie słowo. Ale już wkrótce to się stanie. Szybciej niż pan myśli.

To powiedziawszy, zdjął biały worek z ramienia, sięgnął do środka i wyciągnął różowo-zielone jabłko.

– To dla pana. *Paradise*.

* Gra słów. *Dick* jest w języku angielskim wulgarnym określeniem penisa.

Rozdział 6

Przez chwilę Jim nie wiedział, czy powinien przyjąć jabłko, czy nie. Ale Simon nadal trzymał je przed nim, z tym dziwnym promiennym wyrazem twarzy, i Jim pomyślał: to tylko jabłko, na miłość boską. A poza tym bardzo ciekawiło go, czy ma ono taki sam słodko-kwaśny smak jak to, które zjadł wczoraj. Intrygowały go również skojarzenia, jakie przywoływał ten smak.

Kobieta mówi, wieje ciepły wiatr. Gdzieś z bardzo daleka dobiega dźwięk organów parowych. I z jakiegoś powodu uczucie nieskończonego żalu – żalu za czymś, co powinien był zrobić, ale nigdy nie zrobił.

– Dobrze, Simon, dziękuję – powiedział, biorąc jabłko i kładąc je na biurku. – Znajdź sobie miejsce, abyśmy mogli zająć się tym, po co wszyscy tu przyszli: nauczyć się angielskiego, bo nie są w nim zbyt dobrzy.

Simon Silence poszedł do trzeciej ławki od tyłu. Latynos, który siedział na końcu, natychmiast wstał, żeby Simon mógł przejść do środka ławki. Prawie geopolityczne centrum sali, pomyślał Jim. Wszyscy inni uczniowie odwrócili się, gdy Simon usiadł i otworzył swój worek, a potem łagodnie uśmiechnął się do każdego z nich po kolei.

– Czy ktoś z was mi powie, co to były za ukłony, kiedy Simon Silence wszedł do sali? – głośno spytał Jim.

Simon układał w zgrabny rząd różnokolorowe flamastry.

– To nie były ukłony, proszę pana. Oni po prostu okazywali mi swoją przyjaźń i szacunek.

– To nie jest centrum Kioto, Simon. To zachodnie Hollywood. W Hollywood okazujemy przyjaźń i szacunek poprzez uścisk dłoni, stuknięcie pięścią lub przybicie piątki. Nie wykonujemy pokłonu, zgadza się?

Simon Silence prawie niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

– Mój ojciec powiedział, że jeśli człowiek jest żywym uosobieniem wyższej mocy, proszę pana, to nie ma nic poniżającego w pochyleniu głowy. Kłaniają się przed większą mocą, a nie samą osobą, czy tak?

– Och, rozumiem. Więc myślisz, że jesteś żywym przedstawicielem siły wyższej, tak? A która to właściwie siła wyższa?

Simon Silence spojrział na kolegów. Wszyscy uśmiechali się do niego.

– Wczoraj rozmawiałem prawie ze wszystkimi moimi nowymi kolegami... w grupie i indywidualnie. Myślę, że większość już dzieli podobną wizję.

– Dobrze – powiedział Jim – dość tych duchowych bredni. W tej klasie, drugiej specjalnej, istnieje tylko jedna siła wyższa, a ta siła wyższa to ja. Nazywam się, dla tych, którzy jeszcze nie wiedzą, Jim Rook, a jeśli chcecie, abym wyraził mój cel w sposób duchowy, to w nadchodzącym roku szkolnym będę się starał jak najlepiej wyprowadzić was z dzicy ulicznego slangu i SMS-ów oraz ogólnego analfabetyzmu i doprowadzić do ziemi obiecanej rzeczowników, czasowników, przymiotników i zdań, które mają jakiś sens.

Ciemnoskóry chłopak siedzący naprzeciwko Simona uniósł rękę. Miał pociągłą twarz, wylupiaste oczy, odstające uszy i po co najmniej pół tuzina złotych kolczyków w każdym z nich.

– Przepraszam pana bardzo, ale to mi wygląda na cholernie dużo ciężkiej pracy za nic. Nikt nigdy nie miał problemu, żeby mnie zrozumieć. Mówię z wystarczającym sensem.

– Jak się nazywasz, synu? – spytał Jim.

– Jordy Brown.

– Czyją podobiznę masz na koszulce, Jordy?

– Snoop Dogga.

– Cóż, jego prawdziwe nazwisko brzmi Calvin Cordozar Broadus junior. Ale czy wiesz, z jakiego powiedzenia Calvin Cordozar Broadus junior jest najbardziej znany?

Jordy Brown uśmiechnął się szeroko.

– Tak, proszę pana, powiedział, że z Britney będzie lepsza prostytutka niż z Christiny, bo jest grubsza.

– Tak, tak powiedział. Ale powiedział też, że jeśli jedyna praca, jaką uda ci się dostać, to obracanie hamburgerów w McDonalddie, postaraj się, żebyś przynajmniej był najlepszym obracaczem hamburgerów na świecie. I to w całej historii obracania hamburgerów.

– Nie zamierzam obracać hamburgerów w McDonalddie, proszę pana. Nie, nigdy.

– Może nie. Ale nie licz na to. Pewne jest natomiast, że będziesz mówił i pisał po angielsku przez resztę swojego życia, więc upewnij się, że mówisz i piszesz po angielsku tak dobrze, jak tylko się da.

Jordy Brown obrócił się, aby popatrzeć na Simona, tak jak gdyby chciał zasięgnąć drugiej opinii, ale Simon Silence tylko uniósł jedną blond brew, niemal niewidoczną, i wzruszył ramionami. Jim pomyślał: Przynajmniej ktoś w tej klasie wie, że mówię z sensem, nawet jeśli sam mówię bez sensu.

– Dobrze – powiedział, odwracając się do tablicy. – Widzimy tu nazwisko Rachel X. Speed, wielokrotnie nagradzanej poetki, która wślawiła się, pisząc bardzo bezpośrednio wiersze. Takie, które wałą prosto między oczy. Pisała o rzeczach, o których poeci zazwyczaj nie piszą, jak utrata dzieci, zakochanie się w innych kobietach, zakochanie się w przeróżnych niewłaściwych mężczyznach. Ten wiersz nosi tytuł *Nowy język miłości*, a kiedy skończę go czytać, chcę, żebyście napisali, co o nim myślicie. Jedno zdanie wystarczy. Trzy zdania... będzie dużo, ale... hej... jeśli chcecie napisać więcej, nie powstrzymuję was. Możecie napisać całą książkę.

Otworzył cienki zbiór poezji Rachel X. Speed w czarnej oprawie i zaczął czytać.

Wróciłeś wczoraj wieczorem.

Kochany, moja miłości.

Wszedłeś po schodach, a ja otworzyłam drzwi na powitanie.

Uderzyłeś mnie.

Nie powiedziałeś ani słowa, nawet że mnie nienawidzisz.

Siedzę teraz i patrzę, jak śpisz.

Kochany, moja miłości.

Próbuję zrozumieć, co chciałeś mi powiedzieć.

Jest trzecia w nocy.

Po drugiej stronie pokoju wisi mój portret,

Owalny portret, który porusza się wraz ze mną.

I pisze, kiedy ja piszę.

Portret, na którym widać, co mi zrobiłeś, gdy biłeś tak mocno.

Oczy mam szkarłatne, jak u klauna, i wargi rozbite.

Kochany, moja miłości.

Zawsze wierzyłam, kiedy mówiłeś, że mnie kochasz,

Więc kiedy przestałeś do mnie mówić...

Kiedy zamiast tego zacząłeś mnie bić,

Co miałam myśleć?

Nie zostawiłeś mnie, więc musiałeś znaleźć

Nowy sposób, aby powiedzieć, co znaczę.

Nowy język miłości, który mówi „bij”.

Tak bardzo chcę się go nauczyć.

Kochany, moja miłości.

Ale proszę, daj mi czas.

Gdy uczysz się innych języków, tak nie płaczesz.

Jim zamknął książkę i rozejrzał się wokół. Niektórzy uczniowie najwyraźniej byli zbici z tropu. Niektórzy spoglądali zupełnie obojętnie, wpatrując się w sufit lub marszcząc brwi, studiując paznokcie, jakby naprawdę nie słuchali. Kilkoro z nich jednak wyglądało na zdenerwowanych. Ślicznej czarnej dziewczynie z koralikami we włosach,

która siedziała przed nim, błyszczały łyzy na długich sztucznych rzęsach i szukała chusteczki w torebce z koralików.

Jim przyciągnął swoje krzesło i usiadł blisko niej.

– Hej – powiedział. – Nie mieliście płakać przez ten wiersz. Jak masz na imię, kochanie?

– Jesmeka – odparła, osuszając oczy. – Jesmeka Watson. Och, niech to szlag, znowu ta cholerna rzęsa.

Jim czekał, aż dziewczyna starannie odklei lewą górną rzęsę, a następnie powiedział:

– No więc, Jesmeko... jakie uczucia wywołał u ciebie ten wiersz? Gdybyś miała napisać coś o tym, co byś napisała?

– To tak jak z moją siostrą Donishą i tym facetem, z którym mieszka, tylko że Donisha ma małego synka, którym musi się opiekować.

– Naprawdę?

Jesmeka skinęła głową i pociągnęła nosem.

– Co noc wraca do domu i albo jest na haju, albo pijany, albo jedno i drugie, i bije ją, jak ten facet w wierszu. I ona zawsze kończy tak samo, z rozciętą wargą i podbitymi oczami, a ja jej powtarzam: wykop, kurczę, tego gnoja, dziewczyno, albo wezwij na niego policję. Ale ona zawsze mówi, że on nic nie może na to poradzić, że jest przygnębiony, bo nie ma pracy, a jak ją bije, to pokazuje, że przynajmniej mu na niej zależy. Siostra mówi, że go kocha i nie zniosłaby, gdyby go straciła... albo jeszcze gorzej, gdyby ją ignorował, jak gdyby w ogóle nie istniała.

Jim położył rękę na jej dłoni i poklepał ją.

– Przykro mi, Jesmeko. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się jej ułoży. Nie chciałem, abyś tak się zdenerwowała. Jeśli kiedykolwiek będziecie potrzebowały pomocy, ty lub twoja siostra, zawsze tutaj jestem. Znam całe mnóstwo różnego rodzaju doradców i znam też wielu policjantów. Twardych policjantów z pałkami, którzy nieszczerólnie troszczą się o facetów bijących kobiety. Sami o sobie mówią Łaminosy.

Wstał i zaciągnął swoje krzesło z powrotem do biurka.

Rozglądał się po klasie przez chwilę, jakby szukając rozbitków na morzu, a potem wskazał chłopca, który siedział tuż za Jesmeką. Był biały i chudy, miał włosy w kolorze ciemny blond, postawione do góry, jak postać z kreskówki przestraszona przez ducha. Był też bardzo przystojny, wyglądał trochę jak zagłodzony James Dean. Wściekle żuł gumę i SMS-ował na iPadzie.

– Jak masz na imię? – spytał go Jim.

Chłopak nie przerywał pisania SMS-a, aż nagle uświadomił sobie, że w klasie zrobiło się cicho i że wszyscy patrzą na niego. Rozejrzał się i powiedział:

– Co?

– Mam nadzieję, że ta wiadomość ma istotne znaczenie dla kraju – rzucił Jim.

– Ta wiadomość?

– Ta wiadomość.

Jim obszedł stół i sięgnął po iPada. Na ekranie widniały słowa: „Nudy na śmierć. Dziś wieczorem w Rage jak najszybciej morze wypalimy zioło i znajdziemy jakąś ciupę”.

– Rozumiem – rzekł Jim, odkładając iPada. – Jesteś znudzony na śmierć, prawda?

Chłopak skrzywił się i odparł:

– Ten cały średnio zaawansowany angielski to nie był mój pomysł. Mój stary powiedział, że muszę, żeby nie skończył tak jak on.

– Zajęcia wyrównawcze z angielskiego – poprawił go Jim. – „Wyrównawcze” to znaczy dla uczniów, którzy nie potrafią odróżnić „może” od „morza” i myślą, że „mamy czegoś w brud”, i jeśli już o tym mowa, nie odróżniają „ciupy” od „cipy”.

Chłopak poprawił się na krześle i powiedział:

– Słuchałem wiersza.

– To dobrze. Dobrze, że słuchałeś. Słuchanie to zawsze pierwszy krok w nauce czegoś. Jak się nazywasz, synu?

– Rudy Cascarelli.

– Jesteś jakoś spokrewniony z Cascarellimi produkującymi pizzę?

– To dalsi kuzynowie czy coś w tym rodzaju. Nie wiem. Mój stary jest kierowcą autobusu.

– Dobrze, Rudy. Słuchałeś wiersza. Co o nim myślisz?

Rudy Cascarelli milczał tak długo, aż klasa zaczęła szurać nogami i rozmawiać.

– Musiała coś zrobić – odezwał się w końcu. – To znaczy ta kobieta, która to napisała, dlatego że nie mówi w wierszu, co to było, to nie znaczy, że nie zrobiła. Może dała mu głównianą kanapkę do pracy. Na przykład z mortadela czy czymś takim. Mój stary nienawidzi mortadeli. Uderzył mamę raz, jak zrobiła mu kanapkę z mortadela.

– Twoja mama zrobiła ojcu kanapkę z mortadela, a on ją za to uderzył?

– Tak. To znaczy... nie był to cios ani nic w tym rodzaju, raczej ją pchnął, ale upadła i uderzyła głową o blat kuchenny, więc wyglądało to gorzej, niż rzeczywiście było. Powiedział jej, że fakt, że nosi włoskie nazwisko, nie znaczy, że lubi włoską kielbasę. Mówił też, że nie zje nic różowego. Jak jest różowe, nie weźmie tego do ust.

– To nie jest gejem w takim razie – wtrącił Latynos siedzący obok Simona Silence'a. Cała klasa wybuchnęła śmiechem, ale Simon odwrócił się i rzucił chłopcu pełne dezaprobaty spojrzenie, aż zmroził mu twarz w połowie uśmiechu.

– A ty co powiesz, Simon? – spytał Jim, idąc wzdłuż ściany, aż dotarł do trzeciego rzędu. – Czy ten wiersz ma jakiś wpływ na ciebie?

– Och, na pewno – odpowiedział Simon Silence. – Ten wiersz wyraźnie pokazuje, co się dzieje, kiedy zakłóca się naturalny porządek rzeczy.

– Hm? Co przez to rozumiesz? Jaki naturalny porządek rzeczy?

– Kim była pierwsza żona Adama w Edenie?

– Okay... niektóre legendy mówią, że to Lilith.

Simon Silence skinął głową.

– To właściwa odpowiedź, proszę pana. Lilith, która została ukształtowana z tej samej gliny co Adam, a nie z żebra Adama, jak jego druga żona Ewa.

– Więc jaki to ma związek z biciem kobiet?

– Bardzo duży. Dlaczego Lilith została wyrzucona z raju? Ponieważ była równa Adamowi i nie chciała być mu uległa. A potem, jak już została wyrzucona z Edenu, stała się kochanką anioła Samaela, zwanego też Aniołem Śmierci, i nawet sam Bóg nie mógł namówić jej do powrotu.

– Mówisz, Simon – powiedział Jim – że gdyby Lilith nie została wyrzucona z Edenu, gdyby ona i Adam zostali razem, to mężczyźni i kobiety byłiby równi od samego początku?

Simon Silence uśmiechnął się jasno i promiennie.

– Tak, proszę pana. Płcie byłyby zrównoważone, jak miało być na początku. Mężczyźni i kobiety, dobro i zło, życie i śmierć. Bardzo niewiele osób w to wierzy, ale gdyby nie Bóg i boża nietolerancja, gdyby nie ignorowanie jego kapłanów i ziemskich wysłanników, świat byłby o wiele bezpieczniejszym i szczęśliwszym miejscem na przestrzeni wieków.

– Skąd, do kurwy, wiesz to wszystko, człowieku? – zapytał DaJon Johnson, zdezorientowany. – Myślałem, że to wiersz o jakimś gościu, który nie szanował swojej starej, a nie jakaś historia z Biblii. A może zapadłem w krótką śpiączkę i ominąłem biblijny fragment.

Simon Silence podniósł rękę w jego stronę, jak ksiądz udzielający błogosławieństwa.

– Zrozumiesz, DaJon, obiecuję ci. I raczej prędzej niż później.

– O tak, na pewno, kurwa, mam nadzieję, człowieku, bo dostaję prawdziwego kręćka tu, z tyłu.

– Język, DaJon – ostrzegł go Jim. – Są tu panie.

– Och, tak. Jasne – powiedział DaJon. Przechylił się na krześle do tyłu i dodał: – Przepraszam, Simon.

Jim zaczął iść z powrotem na przód sali, aby zapytać Kyle'a Baxtera, co on myśli o wierszu, gdy rozległo się energiczne stukanie do drzwi i wszedł detektyw Brennan. Zaraz za nim weszła pani detektyw z zadartym nosem, o farbowanej na czarno, chłopięcej fryzurze i jaskrawoszkarałatnych ustach. Oczywiście miała zielone jak kot i, być może, rozległyby się gwizdy

i tupot, gdyby nie miała złotej odznaki szeryfa na kieszeni bluzy i dużego, niklowanego, samopowtarzalnego SIG sauera w kaburze na pasie.

– Panie Rook? – powiedział detektyw Brennan. – Przepraszam, że w taki sposób wpadam do pańskiej klasy. To jest detektyw Carroll. Czy możemy z panem zamienić kilka słów na osobności?

– Oczywiście – odpowiedział Jim. Odwrócił się do klasy i dodał: – To nie potrwa dłużej niż kilka minut. Spróbujcie napisać jedno zdanie o *Nowym języku miłości*, dobrze? Nie starajcie się wyrzucić na mnie wrażenia. Nie martwcie się o pisownię i gramatykę. Tym wszystkim zajmiemy się później. Spróbujcie tylko wyrazić, co czujecie. Niech to pochodzi z serca.

Wyszedł za parą detektywów na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Natychmiast usłyszał rozmowy oraz śmiechy i nie miał wielkiej nadziei, że jego klasa napisze cokolwiek.

– Mamy pewne informacje o tej dziewczynie, która została przybita do sufitu w pana klasie – powiedział detektyw Brennan.

– Ach tak. Naprawdę? – Z jakiegoś powodu Jim poczuł nagle, że brakuje mu tchu, jakby miał się dowiedzieć czegoś zwyczajnego, ale i strasznego zarazem. Takiej samej duszności doznał w dniu, kiedy w szpitalu Cedars-Sinai pielęgniarka wyszła z pokoju i powiedziała mu, że zmarł jego ojciec. Widział ojca przez otwarte drzwi, leżącego na łóżku, słońce oświetlało jego srebrne włosy i wcale nie wyglądał na martwego.

– Czy sprawdził już pan listę obecności? – spytała detektyw Carroll.

Jim pokręcił głową.

– Zazwyczaj lubię zacząć od czegoś trochę bardziej żwawego, zanim to zrobię. Nie mam pamięci do nazwisk, prawdę mówiąc. Jestem raczej wzrokowcem niż pamięciowcem.

– W klasie drugiej specjalnej w tym semestrze powinno być piętnaścioro uczniów, razem z chłopcem o nazwisku Simon Silence, który został zapisany dopiero przedwczoraj.

– Tak, to prawda. Myślę, że chyba tak. Jak dotąd naliczyłem tylko czternaścioro, ale to nie jest niczym niezwykłym, zwłaszcza pierwszego dnia, że jeden lub dwóch się nie pojawi.

– Czy zna pan kobietę o nazwisku Jane Seabrook? – spytała detektyw Carroll. – Mieszka pod numerem trzy siedem jeden zero dziewięć przy Stone Canyon Avenue.

Jim spojrział na nią. Duszności coraz bardziej narastały.

– Jane Seabrook? Jane Seabrook to zwykła dziewczyna. Cóż, była taka, kiedy ją znałem. Ale w tamtych czasach mieszkała w Santa Monica.

– Jane Seabrook ma trzydzieści dziewięć lat, panie Rook.

– Trzydzieści dziewięć? Tak. Jezu! Chyba tyle musi mieć. Co z nią? Nic się jej nie stało, prawda?

– Nie, panie Rook. Pani Seabrook jest cała i zdrowa. Ale miała córkę, Bethany, i Bethany Seabrook była zapisana do pana klasy w tym semestrze.

– Miała córkę? Nie wiedziałem. Powiedziała mi, że nie będzie jej stać na jej utrzymanie.

– Najwyraźniej pani Seabrook zawsze powtarzała swojej córce, kim jest jej ojciec i jak bardzo nadal go kocha, i to był jeden z powodów, dla których Bethany chciała się zapisać do klasy drugiej specjalnej... żeby poznać swojego ojca, tak aby nie dowiedział się, kim ona jest.

Jim zorientował się nagle, że płacze. Czuł, że gardło ma pełne ostów, a łzy spływały mu swobodnie po policzkach. Zupełnie nie mógł nic powiedzieć.

– To nie ona... tylko nie to... proszę, nie mówcie mi...

Detektyw Carroll chwyciła oburącz rękę Jima i uścisnęła ze współczuciem. Detektyw Brennan położył dłoń na jego ramieniu. Jim nie wiedział, że można w ogóle czuć taką rozpacz.

– Dziewczyna, która została przybita do sufitu, panie Rook. Pani Seabrook ją zidentyfikowała, a koroner pobrał również próbki DNA, na wypadek gdyby chciał pan kwestionować ojcostwo.

Jim lekko pokręcił głową. Tylko na tyle było go stać. Nie mógł wydusić z siebie głosu. Odszedł powoli korytarzem, aż dotarł do okna na końcu, które wychodziło na trawiaste zbocze prowadzące na boisko lekkoatletyczne.

Chmury przesuwały się po niebie, rzucając cienie przemykające po trawie jak dusze ludzi niegdyś kochanych, spiesząc się tam, gdzie musiały iść, albo tam, gdzie zabierał je wiatr.

Rozdział 7

Na wysokości domu Jane Seabrook Stone Canyon Avenue wznosiła się stromo, a podjazd prowadzący do numeru 37109 był jeszcze bardziej stromy, więc Jim zaparkował samochód skośnie, z tyłem wystającym na jezdnię, i żeby wysiąść, musiał pchnąć drzwi nogami.

Po południu było nadal wietrznie i chmury przetaczały się nad głową jak w przyspieszonym filmie. Gdy wchodził po stopniach prowadzących na ganek, czuł się jak we śnie. Z rabat kwiatowych wiatr nawiewał pył koloru ochry. Jim czuł się jak duch, który przemieszczając się, wywołuje wiry powietrzne.

Dom był skromny: piętrowy dom rodzinny, pomalowany na kremowo, z oknami w stylu hiszpańskim, z bujnie kwitnącymi różowymi bugenwillami zwisającymi nad gankiem. Gdy dotarł na szczyt schodów, mały pies zaczął szczekać i rozległ się kobiecy głos:

– Tessie! Cicho bądź!

Nie rozpoznał tego głosu. Czy powinno się rozpoznać czyjś głos po osiemnastu latach? Podszedł do polakierowanych dębowych drzwi i zadzwonił. Czekał, przygryzając dolną wargę. Rozejrzał się wokół. Stary człowiek w wystrzępionej panamie stał na trawniku przed swoim domem po przeciwnej stronie drogi i patrzył na niego podejrzliwie. Jim miał ochotę pokazać mu środkowy palec.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich ona. Już nie brunetka, ale blondynka, z włosami ściętymi na pazia sięgającymi ramion. Wciąż miała te same piwne oczy i lekko koci kształt twarzy, różowe usta, które wyglądały, jakby właśnie posłała komuś pożegnalny pocałunek.

Ubrana była w czarną, prostą, płócienną sukienkę, na szyi miała sznur czarnych koralików, a na nadgarstku prostą srebrną bransoletkę.

– Cześć, Jane – przywitał się Jim.

Uśmiechnęła się cierpko, w nieodgadniony sposób.

– Lepiej wejść – powiedziała.

Poszedł za nią szerokim, chłodnym korytarzem z podłogą z brązowych kafelków. Na ścianie po lewej stronie wisiało duże lustro w brązowej drewnianej ramie, a po prawej krzykliwy, amatorski obraz olejny przedstawiający jezioro z pływającymi po nim nieproporcjonalnie wielkimi kaczkami.

Weszli do oranżerii. Perkalowe rolety były opuszczone, żeby nie wpadało jaskrawe słoneczne światło. Stały tu wiklinowe brązowe fotele, stolik ze szklanym blatem oraz różnorodne palmy o pierzastych liściach w doniczkach. Pachniało suchym ciepłem i nawozem do roślin. Pachniało również Jane. Nadal używała tych samych perfum. Lekkich i kwiatowych, z nutą piżma, chociaż nigdy nie wiedział, jak się nazywają.

– Podać ci coś do picia? – spytała.

– Nie, dziękuję.

– Proszę... usiądziesz?

Wahał się przez chwilę, a potem usiadł. Ona też, sztywno, z kolanami ciasno razem i mocno wyprostowanymi plecami, choć nieustannie bawiła się bransoletką.

– Policja chyba powiedziała ci wszystko – zaczął Jim. – Wciąż nie potrafiaj dojsć, jak ktoś mógł to zrobić. Wiesz, na suficie, w taki sposób. Ani dlaczego tego chciał.

– Powiedzieli mi – odparła Jane – że znaleźli jej ubranie i torbę w szatni. W ten sposób dowiedzieli się, kim jest.

Jim skinął głową. Detektyw Carroll też mu to mówiła.

– Umyli ją przed identyfikacją – ciągnęła Jane – ale pokazali mi zdjęcie, jak wyglądała, gdy ją znaleźli, z tą całą białą farbą na twarzy. Wiesz, tylko na wypadek gdyby znaczyło to coś ważnego.

– A znaczyło?

– Nie wiem, Jim. Jeśli tak, to nie mogę sobie wyobrazić co. Przez to wyglądała jak posąg.

– Rzeczywiście – przytaknął.

Zapadła bardzo długa, męcząca cisza, aż Jane powiedziała:

– Ona nie mogła się doczekać, kiedy cię zobaczy. Kiedy cię pozna.

– Czy miała zamiar powiedzieć mi, kim jest?

– W końcu tak. Myślę, że tak.

– Chyba że okazałbym się jakimś okropnym draniem, starym prykiem, który zawsze daje jej złe oceny?

– Teraz jesteś niesprawiedliwy.

– Och, rozumiem. A było sprawiedliwe urodzić ją i nawet nie poinformować mnie o tym?

– Jim, proszę. To było dawno temu. Oboje byliśmy tacy młodzi.

– Tak – odparł Jim. – Myślę, że powinienem się sprzeciwić twojej matce, co? Taki ze mnie mięczak.

– O Boże, Jim, to nie twoja wina. Nikt nigdy nie mógł jej się przeciwstawić, nawet mój ojciec.

– Myślałem, że uparła się, abyś to usunęła. – Przerwał, a po chwili się poprawił: – Usunęła ją. Bethany.

Jane skinęła głową.

– Z początku tak, ale to była bardzo pokręcona kobieta ta... moja matka. Chyba miała więcej przyjemności z tego, że urodziłam i zatrzymałam nasze dziecko, a ty się o tym nie dowiedziałeś, niż gdybyś był przekonany, że usunęłam ciążę.

Jim pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Aż tak bardzo mnie nienawidziła?

– To nie ciebie nienawidziła, Jim. Raczej mnie. Była zazdrosna o mnie od chwili, kiedy się urodziłam. I wiedziała, jak bardzo cię kocham. Wiedziała, że wszystko, co ciebie będzie bolało, tak samo zaboli i mnie.

– Jezu. Gdzie ona teraz jest? Powinienem tam pojechać i powiedzieć, jaka z niej cholerna suka.

– Możesz, jeśli chcesz. Leży na cmentarzu w Brentwood, obok swojej matki, która była jeszcze większą suką od niej. Chcesz numer kwatery?

– Więc co? – spytał po chwili. Rozejrzył się po oranżerii. – Jesteś zamężna?

– Tak. Teraz nazywam się Edwards.

– Jesteś szczęśliwa?

– Tego pytania nigdy nie powinno się zadawać mężatce. Wiesz o tym.

– Och. Dobrze. Jaka ona była? Bethany?

Oczy Jane zablęskły łzami, ale zdołała się uśmiechnąć.

– Śliczna. Bardzo ładna. Drobna. Zawsze miała potargane włosy, tak jak ty. Kochała poezję, muzykę. Kochała też taniec.

– Masz jakieś jej zdjęcia?

– Oczywiście. Dam ci kilka, możesz je zabrać. Mam kilka nowych, zrobionych zaledwie parę tygodni temu, na letnim odpuszcie w jej kościele.

– Należała do jakiegoś kościoła?

Jane wstała, podeszła do wiklinowej komódki i otworzyła jedną z górnych szuflad, z której wyjęła album z fotografiami.

– Wychowywałam ją bogobojnie, Jim. Przystępowałyśmy do komunii w każdą niedzielę, a ona śpiewała jak mały aniołek. Ostatnio jednak znalazła ten nowy kościół i chodzi tam dwa albo trzy razy w tygodniu. Hm... chodziła.

Milczała przez kilka chwil i Jim wiedział, że nie może mówić.

– Wiem – powiedział. – To dla ciebie straszny szok.

Jane podała mu kilka zdjęć młodej dziewczyny w długiej białej sukni z muślinu, z kwiatami we włosach, która tańczyła boso w jabłoniowym sadzie. Była nie tylko ładna, była naprawdę piękna i wyglądała na bardzo szczęśliwą.

Kiedy jednak doszedł do trzeciej fotografii, zobaczył grupę młodych ludzi stojących w tle, między drzewami. Wszyscy ubrani byli na białą, nawet chłopcy. Przyjrzał się uważniej; jeden z nich wyglądał zdecydowanie znajomo, chociaż twarz miał odwróconą od obiektywu.

Spojrzał na czwarte zdjęcie, potem piąte i szóste – i tam był on... patrzył prosto w obiektyw, tym razem z promiennym uśmiechem na twarzy. Simon Silence.

– Co to za kościół? – spytał Jim. – Czy kiedykolwiek sama go odwiedziłaś?

– Nie – odpowiedziała Jane. – Bethany mówiła, że mają kaplicę przy Lookout Mountain Road w Laurel Canyon, ale również mają domek na wsi w pobliżu Bakersfield. To tam zostały zrobione te zdjęcia.

– Kościół Bożego Podboju – powiedział Jim.

– Znasz go?

– Słyszałem o nim, nazwijmy to w ten sposób.

Jane uniosła brwi.

– Nie sądzisz, że to, co się stało z Bethany, ma związek z jej Kościołem, co? Bardzo lubiła tam chodzić. Tak ją to ekscytowało, wiesz? Dawało taką pewność siebie. Zawsze wydawało się, że ma o wiele więcej pewności siebie niż ja w jej wieku. Zwłaszcza w stosunku do chłopców.

– Naturalny porządek rzeczy – powiedział Jim. – Mężczyźni i kobiety są równi sobie.

– To takie dziwne – odparła Jane. Z albumem w ręce stała pod słońce sączące się przez roletę. – Właśnie to zdanie zawsze powtarzała Bethany, w kółko. „Naturalny porządek rzeczy”.

...

Kiedy detektywi Brennan i Carroll opowiedzieli Jimowi o Bethany, doktor Ehrlichman pozwolił mu wziąć wolne na resztę dnia, ale Jim naprawdę nie widział w tym sensu. Co miałby robić? Iść do domu i wypić pięć puszek piwa Fat Tire, rozmawiając z Tibblesem o sensie życia? I, co było jeszcze bardziej bolesne, o sensie śmierci?

Zanim wyszedł, stanął na progu i powiedział do Jane:

– Może mógłbym jeszcze tu kiedyś zajrzeć? Oboje mamy sporo zaległości do nadrobienia, prawda?

– Nie sądzę – odparła Jane. – Ale oczywiście wyślę ci zaproszenie na pogrzeb.

– Jane...

– Nie – odpowiedziała. – Czas, kiedy ty i ja byliśmy razem, był jednym z najlepszych w moim życiu. Ale... również najgorszym. Nie chcę przeżywać tego jeszcze raz.

Podeszła do niego i mocno objęła. Jim pocałował ją we włosy i w czoło. Jej perfumy przywoływały wspomnienia. Z przeciwnej strony drogi starzec w postrzępionej panamie patrzył na nich uważnie. O co chodzi, ty wścibski stary pierdzielu? – pomyślał Jim. Nie wiesz, jak wygląda żałoba?

Pocałował Jane jeszcze raz, a potem odwrócił się, zszedł po schodach i wsiadł do samochodu. Pojechał z powrotem do szkoły cały odrętwiały. Zastanawiał się, czy podróżujący w czasie czuli się tak samo jak on, gdy wracali, aby na przykład nie dopuścić do zabójstwa Lincolna lub na własne oczy obejrzyć bitwę pod Little Big Horn.

Włączył radio w samochodzie i rozległo się *Big Yellow Taxi* w wykonaniu Joni Mitchell. *Don't it always seem to go, szczebiotąła, You don't know what you've got till it's gone.* Wyłączył radio i jechał dalej w ciszy.

Kiedy przejechał przez bramę West Grove Community College, natychmiast zobaczył radiowozy, karetkę pogotowia oraz pojazdy koronera, wszystkie skupione na parkingu przed głównymi budynkami szkoły. Były też dwa wozy strażackie. Wozy transmisyjne telewizji stały zaparkowane dalej, po lewej stronie podjazdu, a on mijał grupki reporterów i techników rozmawiających, palących papierosy i rozwijających metry czarnego kabla.

Wjeżdżał powoli z boczem, aż dotarł do żółtej drewnianej bariery policyjnej ustawionej w poprzek podjazdu. Rudowłosy zastępca szeryfa podszedł do Jima, który opuścił okno.

– Ma pan tu jakiś interes?

Jim wyjął szkolny identyfikator z kieszeni koszuli i pokazał.

– Co tu się dzieje? – spytał.

– Doszło do wypadku. Gdyby pan zechciał przejechać na parking i wejść bezpośrednio do środka. Na razie uczniowie i pracownicy muszą przebywać w środku gmachu.

– Co się stało? Czy to jeden z uczniów?

– Był wypadek, proszę pana. Proszę przejechać na parking i wejść bezpośrednio do środka.

– A co pan jest? Automatyczna sekretarka?

Rudowłosy zastępca szeryfa patrzył na niego bez zmrużenia oka.

– Proszę jechać.

– Tak, dobra. Słyszałem. Jadę.

Pojechał na parking i zatrzymał się na miejscu Roystona Denmana. Gdy wysiadł z samochodu, zobaczył tłum funkcjonariuszy, sanitariuszy i strażaków zgromadzonych wokół dużego cyprysu. Dwóch strażaków niosło na ramionach aluminiową drabinę, ale w tej chwili widać było, że więcej dyskutują, niż działają. Jim dojrzał detektywa Brennana i detektyw Carroll rozmawiających z ojcem O'Flahertym, szkolnym kapelanem, który nieustannie kiwał głową, tak że w jego łysinie odbijało się słońce niczym w heliografie.

Nikt nie patrzył. Rudy zastępca szeryfa pochylał się nad jasnozielonym volkswagenem, powtarzając swoją wiadomość jednemu z asystentów laboratoryjnych. Jim poszedł przez trawnik do detektywów i stanął tuż za nimi. Byli tak zajęci rozmową z księdzem, że go nie zauważyli.

Oslaniając oczy przed słońcem, spojrział do góry na cyprys o groteskowo poskręcanym pniu i szeroko rozpostartych gałęziach. Gdy to zrobił, po plecach przebiegł mu dreszcz.

Wysoko na drzewie, prawie siedem metrów nad ziemią, gdzie gałęzie zaczęły wyrastać z pnia, przybita była biała naga postać z rozłożonymi rękami i nogami. Był to młody mężczyzna, który cały został tak grubo pomalowany białą farbą, że jego włosy sterczały tak samo jak u Bethany, kiedy wisiała przygwożdżona do sufitu w jego klasie.

Ten młody człowiek został przybity do drzewa głową w dół. Wokół niego przytwierdzono także osiem białych kotów, po cztery z każdej strony.

Jim rozepchnął detektywów Brennana i Carroll i podszedł do drzewa, spoglądając na młodego człowieka z uczuciem narastającego przerażenia. To miał być symbol. Nie symbol. Omen. Jedna młoda osoba przybita do sufitu z ośmioma kotami dookoła mogła być jakimś dziwnym aktem perwersji. Lecz tutaj była druga, przygwożdżona w prawie taki sam sposób.

Jakieś wielkie zło nadciąga, pomyślał Jim. Coś bardziej złowrogiego od duchów i demonów, na jakie natknąłem się wcześniej. Prawie wszystkie duchy i demony, które spotkał wcześniej, były mściwe lub bezsensownie destrukcyjne, ale we własnym egoistycznym interesie. Albo chciały karać ludzi za to, co im wyrządzili za życia, albo starały się uzyskać dostęp do świata żywych, znajdując się w świecie zmarłych.

Ale teraz Jim miał silne przeczucie, że chodzi o coś innego. Nie mógł tylko zrozumieć dlaczego, ale to, co się tu działo, było po tysiącokroć silniejsze i po tysiącokroć bardziej przerażające, bo ostrzegało, że życie, jakie znamy, wkrótce się skończy. Ci młodzi ludzie służyli jako odliczanie. Dwoje jak dotąd. Ilu jeszcze zostanie przybitych do sufitu lub drzew, by ostrzec o nadchodzącej katastrofie? I co się stanie, gdy ona w końcu nadejdzie?

Jim nie przestawał myśleć o koszmarze Summer. *Śniło mi się, że stoję w kolejce z setkami ludzi, a wszędzie dookoła nas jest ciemno. Przed nami jednak zobaczyłam pomarańczowe światło. Wyglądało zupełnie jak ognisko. I było też tak gorące jak ognisko. Może bardziej jak piec.*

Stał jak sparaliżowany. Nagle poczuł, że ktoś klepnął go w ramię.

– Panie Rook! Nie powinno pana tu być!

Odwrócił się.

– Myślę, że jest to jedyne miejsce, gdzie powinienem być, detektywie.

– Ach tak? I niby dlaczego? Może widzi pan coś, czego reszta z nas nie widzi?

– Nie, nie widzę. Ale mogę coś wyczuć. Tego nie zrobił jakiś wariat czy banda wariatów. Tego nie zrobił seryjny morderca z zamiłowaniem do białej farby i kotów perskich.

– Czyli...? – zapytał detektyw Brennan.

– Czyli te morderstwa nie są celem samym w sobie. Są ostrzeżeniem przed zbliżającym się czymś dużo gorszym.

– Zaraz, zaraz, dlaczego ktoś, kto zamierza zrobić coś znacznie gorszego, czuje potrzebę, aby nas przed tym ostrzec? Poza tym, wie pan, możemy być na tyle mądrzy, żeby się zorientować, przed czym nas

ostrzega, i powstrzymać go, zanim to zrobi. Nie otrzymaliśmy żadnych ostrzeżeń, zdaje się, o wieżach World Trade Center? Gdybyśmy dostali, może by się nam udało złapać tych drani, zanim zrobili to, co zrobili.

Przerwał i pociągnął nosem, a potem powiedział:

– Poza tym co, do diabła, może być gorsze od tego?

„Musimy tu być. To koniec”. Więc spytałam: „Koniec czego?”. A on na to: „To koniec dla nas wszystkich. Właśnie nastął”.

– Będę wdzięczny, jeżeli wróci pan teraz do swojej sali, panie Rook – poprosił detektyw Brennan. – Detektyw Carroll i ja przyjdziemy zobaczyć się z panem później. Tymczasem musimy zdjąć tego biednego chłopca z drzewa i spróbować dowiedzieć się, kim jest.

Jim miał ochotę powiedzieć mu o przynależności Bethany do Kościoła Bożego Podboju, ale się rozmyślił. Chciał się dowiedzieć więcej o Simonie Silensie i wielbnym Johnie Silensie, zanim to zrobi. Przekonania tego kościoła wydawały się nieco nietypowe – całe to gadanie o Lilith w rajskim ogrodzie, o jej równości z Adamem – ale istniało wiele innych kościołów o przekonaniach dziesięć razy dziwniejszych.

Spojrzał w górę na pobielone ciało przybite do drzewa.

Młody człowiek miał częściowo otwarte usta i wyciekała z nich cienka strużka krwi, tak jak u Bethany. Jim nie mógł sobie wyobrazić, co oboje musieli wycierpieć przed śmiercią.

– Dobrze – odparł. – Porozmawiam z wami później. Detektyw Carroll spojrzała na niego ostro, zanim odszedł. – Dobrze się pan czuje? – spytała.

– Oczywiście. Jestem tylko trochę wstrząśnięty, to wszystko.

– Czy odwiedził pan matkę Bethany?

– Tak.

– I...?

– Wie pani, co powiedział L.P. Hartley? „Przeszłość jest obcym krajem: postępują tam inaczej”.

– Dobrze już – odezwała się detektyw Carroll. Po wyrazie jej twarzy widać było, że nie ma pojęcia, kim jest L.P. Hartley ani co Jim chce jej

przekazać, ale chwyciła go za rękę i ścisnęła, dodając mu otuchy, a to było więcej, niż mógł pragnąć.

Jim poszedł na górę do pracowni plastycznej. Gdy wchodził po schodach, minął schodzącą Sheilę Colefax – ubraną jak zwykle w bluzkę z wysoką stójką i czarną obcisłą spódniczkę.

– Jim... – odezwała się. – Myślałam, że się zwolniłeś na cały dzień. Cieszę się, że wpadłam na ciebie.

– O co chodzi, Sheila? Jestem teraz trochę zajęty.

– Cóż, przypuszczam, że to może poczekać. Ale zastanawiałam się, czy chciałbyś pójść ze mną na koncert.

Jim spojrzał na nią.

– Sheila... czy wiesz, co się dzieje na zewnątrz? Wiesz, dlaczego cały park roi się od policjantów, sanitariuszy, strażaków oraz dziennikarzy?

Sheila wyglądała na zmieszaną.

– Nie. Nie za bardzo.

– No to, proszę cię, zrób mi przysługę i zaproś mnie innym razem, dobrze?

– Och. Dobrze – odpowiedziała. Wciąż wyglądała na zmieszaną.

Jim poszedł dalej schodami.

– To tylko koncert folkowy! – zawołała za nim. – The Woolspinners. Chodzi o to, że mam dwa bilety, a moja koleżanka nie może iść.

Lecz Jim był już poza zasięgiem wzroku. Przeszedł korytarzem, dotarł do pracowni plastycznej i otworzył drzwi.

Zazwyczaj gdy uczniowie klasy drugiej specjalnej zostawali sami, grali w sali w koszykówkę lub w pokera, słuchali hip-hopu albo piłowali paznokcie. Tego popołudnia jednak w klasie panowała niemal zupełna cisza. Wszyscy uczniowie siedzieli na swoich miejscach i pisali.

Simon Silence wstał, gdy Jim wszedł.

– Nie wiedziałem, czy wróci pan dzisiaj.

– Zdecydowałem, że wrócę. Straciliście już wystarczająco dużo czasu w tym semestrze, chociaż nawet się nie zaczęło.

DaJon Johnson podniósł rękę.

– Co się tam dzieje, człowieku... to znaczy... proszę pana? Tyle tam psów, wozów strażackich i w ogóle. Pytałem jedną nauczycielkę, ale powiedziała tylko, że nikt nic jej nie powiedział.

– Ja też nie mam pojęcia, co się dzieje – odparł Jim. – Wiem tylko, że doszło do jakiegoś wypadku i musimy zostać w środku, aż policja pozwoli nam wyjść.

Jim nie lubił okłamywać swoich uczniów, ale nie chciał też ich denerwować, póki nie dowie się więcej o młodym człowieku przybitym do drzewa. Rozejrzał się i spytał:

– Co piszecie?

Simon Silence uśmiechnął się wyzywająco do Jima.

– Zadałem im krótkie wypracowanie, proszę pana. Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza.

– Zadałeś im wypracowanie?

– Tak jest. Tylko pół strony. *Moje wyobrażenie raju*.

– Och. Rozumiem. Dobrze. W takim razie możecie kontynuować. Wyniki mogą być... hm, co najmniej ciekawe.

Chodził po sali tam i z powrotem. Nigdy nie widział żadnej klasy specjalnej, która by wykonywała zadanie z takim napięciem, nawet jeśli Jesmeka Watson wymazywała to, co napisała, prawie tak samo szybko, jak pisała, a stół wokół niej był pokryty tysiącami szarych okruchów gumki.

Kiedy szedł w stronę swojego biurka po raz drugi, zauważył, że brakuje Kyle'a Baxtera... tego chłopaka od słownika, jak już zdążył go przepisać dla swoich potrzeb.

Kyle'a Baxtera nie było, ale na stole, przy którym siedział rano, leżała para okularów sklejona brudnym plastrem.

Rozdział 8

Jim przeszukał teczkę i znalazł list, który otrzymał w zeszłym tygodniu od swojej mamy mieszkającej w Mill Valley. Złożył kopertę jak papierową rękawiczkę, aby podnieść z ławki okulary Kyle'a Baxtera.

– Dobrze, zaniosę je policjantom.

– Hej, panie Rook? – odezwał się Rudy Cascarelli. – Chyba nic się nie stało z tym Kyle'em, co?

– Mam nadzieję, że nie, Rudy. Ale skoro jest nieobecny, jego okulary mogą pomóc policji w identyfikacji. Wiesz... DNA.

– Nie mówi pan chyba, że on nie żyje, co? – wtrącił DaJon Johnson. – Czy o to chodzi z tą akcją? Znaleźli kolejnego martwego ucznia? Cholera, człowieku, to musi być najbardziej niebezpieczna szkoła, w jakiej byłem!

– Niczego nie twierdzę, DaJon – odpowiedział Jim. – Tylko pozwólcie, że zaniosę je na dół policjantom, żeby mieli całkowitą pewność.

Podszedł do drzwi, ale właśnie wtedy otworzyły się gwałtownie i wszedł Kyle Baxter, mrużąc oczy.

Uniósł brwi, widząc swoje okulary, które Jim trzymał przez złożoną kopertę, a potem się skrzywił.

– Och... Kyle... właśnie – wybąkał Jim. – Gdzie, do diabła, byłeś?

– Poszedłem do łazienki – odparł Kyle Baxter, wyraźnie zaskoczony.

– A... rozumiem. Po prostu poszedłeś do łazienki! Pewnie tak, okay. Nie ma problemu! Chodzi o to, że nie wiedziałem, czy wrócisz, czy nie, więc chciałem zanieść to na dół do pokoju rzeczy znalezionych na wszelki wypadek, żeby się nie uszkodziły.

– Już i tak są złamane.

– Tak, widzę. Ale mimo to nie chciałbyś ich zgubić, co?

– Jutro dostanę nowe.

– Dobrze. Świetnie. Tak czy inaczej, teraz siadaj, Kyle, i dokończ esej o raju.

Jim rozejrzał się po klasie, sprawdzając, czy powiedzą Kyle’owi, że chciał zanieść jego okulary agentom CSI. Kiloro uśmiechnęło się szyderczo i odwróciło wzrok. DaJon Johnson powoli przechylał komin włosów z boku na bok rozbawiony, a Simon Silence uśmiechał się jeszcze bardziej zadowolony z siebie niż zwykle.

Jim usiadł przy biurku i wyjął książkę, którą próbował skończyć przez ostatnie siedem miesięcy, *Człowiek złota rybka*, powieść o człowieku, który budzi się rano i nie pamięta, co się z nim działo dzień wcześniej. Problem polegał na tym, że Jim miał bardzo mało wolnego czasu, aby czytać jakąkolwiek książkę, która nie należała do programu nauczania, a kiedy już znalazł czas, był zazwyczaj zbyt zmęczony, aby przeczytać więcej niż dwie lub trzy strony, zanim zasnął. Rano, tak jak główny bohater w *The Human Goldfish*, prawie zawsze zapomniał, co przeczytał.

Po piętnastu minutach sprawdził godzinę.

– Dobrze... – powiedział. – Wystarczy wam tyle czasu. Spojrzę na to, co napisaliście, i jednocześnie zapoznam się z wami. Szkoda, że ten semestr zaczął się tak niefortunnie. Spróbujmy wrócić do normalności, dobrze?

Jako pierwsze wziął wypracowanie Jesmeki Watson, ładnej czarnoskórej dziewczyny, która siedziała naprzeciwko jego biurka. Jesmeka tyle razy wycierała gumką kartkę, że w środku strony pojawił się poszarpany otwór, jednak udało się jej napisać: „Raj dla mnie to być jak M.I.A. śpiewać i tańczyć i się malować i ruwniesz być mega sawna”.

– Więc... raj dla ciebie to śpiewać, tańczyć i malować się jak M.I.A.? Ona jest bardzo dobra, bardzo oryginalna i bardzo utalentowana.

– Przede wszystkim jednak megasławna – dodała Jesmeka, wskazując słowa „mega sawna” polakierowanym na fioletowo paznokciem. – Chcę po prostu stanąć przed tymi tysiącami ludzi, żeby wszyscy mnie podziwiali.

Z jakiegoś powodu Jim przez cały czas spoglądał w stronę Simona. Simon zaś rozmawiał z Latynosem obok i obaj się uśmiechali. Jim nie potrafił zrozumieć, dlaczego Simon tak bardzo go niepokoi. Czuł, że w tej

klasie coś się dzieje, niewerbalne komunikaty płynęły od jednego ucznia do drugiego, istniała łączność, z którą on nie był zestrojony.

Kyle Baxter był następnym. Napisał: „Raj to szczęście / radość / ekstaza / zachwyty / siódme niebo / kraina marzeń. Raj to znać wszystkie słowa i wiedzieć, gdzie je umieścić. Raj to kiedy jestem mądrzejszy niż wszyscy wokół mnie / idioci / kretyni / głupcy / debile / półgłówki / klauni / prostytutki / wariaci / ciołki / świry / durnie”.

– Tak więc, Kyle... Raj dla ciebie to być mądrzejszym od wszystkich w klasie, a wszyscy mają to zaakceptować?

– Nie, proszę pana.

– No to może źle zrozumiałem, co tu napisałeś. Wyjaśnij mi to?

– Nie chcę, żeby wszyscy w klasie wiedzieli, że jestem mądrzejszy – wyjaśnił pod nosem, ale z wściekłym uporem. – Chcę, aby każdy wiedział, że jestem mądrzejszy.

– Każda osoba na tej planecie?

Kyle kiwnął głową tak entuzjastycznie, że prawie spadły mu okulary. Jim poklepał go uspokajająco po ramieniu i ruszył do następnego ucznia, który siedział po prawej stronie Kyle'a. Był rasy żółtej i miał błyszczące czarne włosy ścięte „od garnka”, z grzywką sięgającą tak nisko, że Jim ledwo widział jego oczy. Ubrany był w czarny T-shirt z wielką ósemką na plecach, a na lewym ramieniu miał wytatuowanego czerwono-zielonego smoka, który zniknął w rękawie.

Jego wypracowanie składało się z pięciu wierszy zapisanych dziwnym pajęczym pismem. „Raj nadejdzie w dniu kiedy Wo Hop To odejdzie a Chung Ching Yee odejdzie także podobnie jak Wietnamscy Chłopcy i wszystko będzie Wah Ching. W tym dniu będę szedł jak bóg”.

– Jak się nazywasz, synu? – spytał Jim.

– Xiao Chang, ale wszyscy nazywają mnie Joe.

– W porządku, Joe – powiedział Jim, podnosząc jego kartkę. – Te chińskie nazwy, które zapisałeś tutaj... Wo Hop To i Chung Ching Yee, i tak dalej... to wszystko są chińskie gangi uliczne. Oprócz Wietnamskich Chłopców, chociaż i tak połowa z nich to Chińczycy.

Joe Chang skinął głową i obracał w palcach ołówki.

– Czy jesteś członkiem Wah Ching?

– Już nie, proszę pana. Kiedy mieszkałem z rodzicami w Monterey Park, byłem Wah Ching. Ale teraz mój ojciec przeniósł się do West Grove i nie spotykam się już z nimi.

– Ale nadal byś chciał? To twój pomysł na raj?

Joe Chang zacisnął pięść.

– W Wah Ching – powiedział – zawsze czułem, że mam siłę. Nikt nie stał nam na drodze. Nikt. Bo się nas bali. Bali! Taka siła to raj.

– Dobra. Rozumiem. Może to raj dla ciebie. Ale co powiesz o ludziach, którzy się ciebie boją? Dla nich to niezupełnie jest raj, co?

– Miałem tylko napisać o moim raj. A nie o innych.

Jim zamierzał przejść do następnego ucznia, gdy rozległo się pukanie do drzwi i weszła detektyw Carroll. Skierowała się prosto do Jima i przyłożyła ręce do ust tak, żeby klasa nie słyszała, co mówi. Jej włosy łaskotały Jima w lewe ucho.

– Panie Rook, na zewnątrz teraz wszystko jest uprzątnięte i zabezpieczone, choć ściśle miejsce zbrodni wciąż jest otoczone kordonem i mamy co najmniej pół dnia roboty dla ekipy kryminalistycznej. Skonsultowaliśmy się z dyrektorem Ehrlichmanem i uzgodniliśmy, że dzisiaj szkoła zostanie zamknięta wcześniej i lekcje się zaczynają jutro rano.

– Och, to dobrze – odpowiedział Jim. Odwrócił się do klasy i oznajmił głośno: – Wygląda na to, że raj musi zostać odłożony teraz do jutra. Możecie wszyscy spakować książki i zabierać się stąd.

Zaczęli głośno odsuwać krzesła i zbierać swoje rzeczy. Wydawało się, że wszystkie ich iPhone'y jednocześnie rozpoczęły wibrować, wydawać dźwięki i odtwarzać muzykę. Kiedy z szuraniem wychodzili z klasy, Jim zawołał:

– Chciałbym, abyście na jutro przemyśleli tylko jedną rzecz! Jesteście uwięzieni w kapsule kosmicznej. Krażycie wokół Ziemi bez perspektyw na

uratowanie przez co najmniej rok! Macie prawo wziąć ze sobą tylko jedną książkę! Powiecie mi jutro, jaką książkę wybieriecie!

Kiedy Simon Silence mijał go, zarzucając biały worek na ramię, Jim powiedział:

– Nie powinieneś mieć z tym problemu, Simon... z wyborem książki.

Simon uniósł brwi, jakby nie do końca rozumiejąc.

– No... skoro twój ojciec jest pastorem i w ogóle. Jest tylko jedna naprawdę dobra książka, czyż nie?

– Ma pan na myśli Biblię, tak? Są też inne dobre książki. W szczególności jedna dobra książka, którą pewnie bym zabrał.

– Och, tak?

Simon uśmiechnął się i dotknął palcem ust.

– Żałuję, że jej tytułu nigdy się nie wymawia, proszę pana. O niektórych imionach, takich jak imię Boga, można myśleć, ale nigdy się ich nie wypowiada głośno.

To powiedziawszy, odszedł. Detektyw Carroll podeszła do Jima.

– To ten świr, o którym opowiadał mi Dave Brennan?

Jim skinął głową.

– Nie wiem. Z początku też myślałem, że jest lekko stuknięty. Ale teraz... sam nie wiem.

...

Samochody poruszały się w ślimaczym tempie przez całą drogę do domu na Sunset. Drugie jabłko, które dał mu Simon Silence, leżało obok na siedzeniu pasażera, przetaczając się do tyłu i do przodu za każdym razem, kiedy zatrzymywał się na światłach lub starał się uniknąć staranowania tyłu pojazdu jadącego przed nim.

Z wielkim trudem opierał się pokusie, aby je chwycić i wgrzyźć się w miąższ. W jego bladoróżowo-zielonej barwie było coś, co obiecywało, że będzie smakować cudownie słodko-kwaśno. A jeżeli miało smakować choć trochę jak tamto pierwsze jabłko, wiedział, że tak właśnie będzie.

Jednak, o dziwo, czuł się niemal dumny, że zostawił je tam, gdzie było. Toczyło się to do tyłu, to do przodu. Nieomal spadło z siedzenia, ale nie rzucił się, by je łapać.

Kiedy dotarł do skrzyżowania z Vine Street, samochody przed nim zwolniły prawie do zera, ponieważ pod Hollywood Freeway pękła magistrala wodociągowa i trzy pasy z lewej strony łączyły się w jeden. Musiał siedzieć pod ponurymi betonowymi filarami autostrady ponad pięć minut, ogłuszony niecierpliwymi klaksonami, bębniąc palcami w kierownicę z uczuciem głodu i pragnienia. Ponieważ rano poszedł odwiedzić Jane, nie miał czasu zatrzymać się gdzieś, aby coś zjeść i wypić.

Spojrzał na jabłko. Co napisał Oscar Wilde? „Mogę się oprzeć wszystkiemu z wyjątkiem pokusy!”. A skoro to było dobrym pretekstem dla Oscara Wilde’a, to dlaczego nie dla niego?

Ugryzł jabłko, zanim zorientował się, co robi. Było tak samo dobre jak poprzednie. Właściwie wydawało się jeszcze bardziej soczyste i jeszcze słodsze, z tą charakterystyczną nutą ostrości, która nadawała mu charakter.

Jednak tu nie chodziło tylko o charakter. Jabłko miało natychmiastowy wpływ na jego emocje. Ugryzł je zaledwie dwa lub trzy razy i upewnił się, że znowu czuje powiew tego ciepłego wiatru i z oddali słyszy cichą muzykę graną na organach parowych.

Mimo że miał świadomość, gdzie się znajduje, jednocześnie wydawało mu się, że jest gdzieś nad brzegiem morza, choć nie był pewien gdzie. Słońce ciągle znikало za chmurami, więc światło nieustannie zmieniało natężenie, a mewy wrzeszczały niczym zagubione dzieci.

Coś wydarzyło się tamtego dnia, dawno temu, i ciągle mu o tym przypomniano. Stało się coś, o czym chciał zapomnieć. Było bolesne i upokarzające. Musiał zakopać to tak głęboko w umyśle, że sam nawet nie miał pewności, czy to się stało naprawdę, czy przydarzyło się jemu, a nie na przykład komuś innemu.

Kiedy sznur samochodów pełził Franklin Avenue, Jim czuł się coraz bardziej zestresowany i oddychał z coraz większym trudem. Czuł złość

i wstyd, i na dodatek nieodpartą chęć, aby się zemścić, choć zupełnie nie wiedział za co, na kim i dlaczego.

Gdy tylko skręcił w wąską i stromą Briarcliff Road, musiał wjechać w pierwszy z brzegu podjazd, bo był cały zdyszany i spocony. Ścisnął kierownicę obiema rękami, jakby chciał ją wyrwać. Przepęniała go taka wściekłość i frustracja, że mocno zacisnął zęby i zaryczał jak wściekła bestia.

Wciąż tak siedział, kiedy starszy mężczyzna w żółto-niebieskich bermudach zszedł po stopniach z domu i zastukał w okno od strony pasażera.

Jim wziął trzy lub cztery głębokie oddechy i opuścił szybę. Starszy mężczyzna wyglądał jak świąteczny indyk w okularach, z czerwoną, pomarszczoną szyją.

– Pomóc? – zagadnął.

– Nie... nie, nic mi nie jest, dziękuję.

– Będę chciał wyjechać stąd za kilka minut.

– Och, tak?

– Cóż... trochę mnie pan blokuje tutaj, prawda?

Jim wziął kolejny głęboki oddech.

– Muszę chwilę pomyśleć, dobrze? Nie przypominam sobie, żeby ktoś dostał mandat za to, że musi się zastanowić. W rzeczywistości więcej osób powinno to robić, jak pan sądzi?

– Sądzę, że muszę zawieźć żonę do ortodonta, a pan blokuje mi wyjazd.

– Rozumiem. Jak poczuje się lepiej i będę gotowy, pojedę.

Starszy mężczyzna cofnął się o krok i spojrzał na samochód Jima.

– Widziałem pana wcześniej, zdaje się, w tym złomie. Mieszka pan niedaleko, w Briar Cliff Apartments.

– I co z tego?

– Więc jeśli chcesz się zastanawiać, przyjacielu, to weź tego grata na własny podjazd i tam myśl.

Jim spojrzał na mężczyznę. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy w życiu odczuwał taką pogardę dla innych. Gdy znowu się odezwał, głos

drżał mu z gniewu.

– Ile masz lat, dziadku? – spytał.

– Osiemdziesiąt jeden, ale nic ci do tego.

– Osiemdziesiąt jeden? No to dla twojej informacji, już przekroczyłeś średnią długość życia w Los Angeles o siedem miesięcy. Nie zabierałbym żony do ortodonta, staruszku. Odwiedziłbym zakład pogrzebowy i zaczął szukać miejsca na cmentarzu.

– Dosyć tego! – odpowiedział starszy mężczyzna. – Wzywam policję! Nikt nie będzie do mnie tak mówił! I to jeszcze przed moim własnym domem! Byłem wiceprezesem Orange-Freeze!

– Nie denerwuj się – odparł Jim. – Jadę. Przypomniałeś mi o czymś ważnym.

– Och, tak? A co to takiego?

– Dla niektórych ludzi, stary, śmierć nigdy nie przychodzi wystarczająco szybko.

To powiedziawszy, wyjechał sprzed domu starszego mężczyzny i przejechał dwieście metrów w górę do swojego bloku. Zaparkował z piskiem opon, ale siedział w samochodzie jeszcze przez kolejne kilka minut, z włączonym silnikiem i szumiącą klimatyzacją. Kiedy w końcu wysiadł, nadal ciężko oddychał, a tył jego koszuli lepił się od potu.

Co, do cholery, jest z tobą, Jim? – upomniał się w myślach. Nigdy nie krzyczysz na ludzi bez powodu. Rozsądek to twoja dewiza. Jednak wciąż był tak wściekły na tego starszego mężczyznę, że mógł tam wrócić i uderzyć go w twarz, łamiąc mu ten ptasi nos. Cóż, w końcu wyglądał jak pieprzony indyk.

Wchodził po schodach na pierwsze piętro, gdy drzwi do mieszkania numer jeden otworzyły się i Nadine wychyliła głowę, jakby na niego czekała. Miała na sobie luźną brązową tunikę i paliła papierosa w bardzo długiej cygarniczce.

– Wcześniej wróciłeś – stwierdziła.

Jim zatrzymał się przed nią i przewracał oczami, faktycznie na nią nie patrząc, niczym ślepiec.

- Tak. I?

Nadine zmarszczyła czoło.

- I... wróciłeś wcześniej, to wszystko. Zastanawiałam się dlaczego. Wiesz, taka sąsiedzka ciekawość, i już.

- Jeśli musisz wiedzieć, było kolejne zabójstwo, prawie identyczne z pierwszym. Jakiś młody człowiek został zabity i pobielony. Ale tym razem przybito go do drzewa zamiast do sufitu. Był także otoczony białymi persami, ośmioma, jak tamta dziewczyna. Usłyszysz o tym w wiadomościach.

- O mój Boże. To dziwne. Ale zarazem magiczne. Osiem białych kotów! Nie wyobrażam sobie, że to nie magia. Dlaczego moje karty tarota tego nie zauważyły? Zazwyczaj są bardzo wrażliwe na wszystko.

- Bo twoje karty to nic innego tylko czary-mary, Nadine. Wiemy o tym dobrze. Mógłbym usiąść i narysować własną talię kart do wrózenia, i będą one tak samo sensowne jak tarot. Albo nie. Karty Rooka, pomyśl o tym. Ja mógłbym być Zrzędlivym Nauczycielem, a ty Anorektyczną Hipiską.

Jim próbował przejść obok niej, aby pójść do siebie, ale Nadine złapała go za rękaw.

- Tak naprawdę, Jim, to nie żarty. To Ricky.

- Co masz na myśli?

- Pamiętasz, jak malował ciągle tę samą białą twarz? Teraz przestał i zaczął malować kogoś innego. Proszę... chodź spojrzeć, co?

Jim się zawahał. Wciąż czuł się spięty i nieswój i nie miał ochoty rozmawiać z nikim o czymkolwiek... zwłaszcza z naćpanym Rickym, żyjącym w latach sześćdziesiątych. Ale Nadine patrzyła na niego tak błagalnie, że nie mógł odmówić.

- No dobra - zdecydował. - Ale tylko na chwilę. Mam cholernie dużo prac domowych do sprawdzenia.

Oczywiście nie miał żadnych prac do sprawdzenia, ale musiał jak najszybciej się położyć, zamknąć oczy i spróbować wyrzucić z głowy ten kobiecy głos i dziwną muzykę organową. W tej chwili nie mógł myśleć

o niczym innym. Nawet teraz słyszał skrzeczenie mew, bardzo słabe, jakby ktoś wołał go z bardzo daleka: „Jim! Jim!”.

Nadine zaprowadziła go do salonu. Zasłony były zaciągnięte, więc w pokoju było duszno i niemal całkowicie ciemno, jedynie pojedyncza pionowa smuga słonecznego światła wpadała tam, gdzie zasłony nie dochodziły do siebie. Jimowi udało się dostrzec, że pokój wygląda na jeszcze bardziej zagracony niż zwykle. Od wczoraj pojawiło się drugie tyle pustych pudełek po pizzy, a pod oknem stał na wpół rozebrany motorower, którego – jak sobie przypominał – wczoraj nie widział. Czerwona papuga nadal siedziała w klatce w kącie, hałaśliwie dziobiąc pręty i skrzecząc od czasu do czasu jak jakiś gderliwy staruszek, który został zmuszony do pozostania w domu spokojnej starości.

Smuga światła padała bezpośrednio w dół na środek płótna. Ricky siedział zgarbiony na kuchennym taborecie, którego używał zwykle podczas malowania. Trzymał paletę w lewej dłoni z kciukiem przełożonym przez otwór i trzy lub cztery pędzle w prawej, a wszystkie miały na sobie różne odcienie białej i szarej farby olejnej. Na brodzie miał jeszcze plamy farby i popiół ze skręta.

Jim znalazł drogę między kartonami i innymi śmieciami, jakby przechodził przez pole minowe. Kiedy się zbliżył, Ricky nie oderwał się od swojego obrazu, ale zaciągnął końcówką skręta i powiedział:

– Cześć, Jim. Dobrze cię widzieć. Skończyłeś dziś wcześniej, prawda?

– Mieliśmy kolejne kłopoty w szkole – odpowiedział Jim. – Jeśli chcesz wiedzieć, to coś bardzo zdumiewającego zmierza w naszym kierunku i będzie tu już niedługo.

– Tak, zgadzam się z tobą, stary. Coś wisi w powietrzu, to pewne. Ale nie jestem taki pewien, że to zdumiewające. Może bardziej kata-kurwa-stroficzne.

Dźgnął pędzlami w płótno.

– Spójrz na to, chłopie – powiedział. – Tylko popatrz i powiedz mi, czy wiesz, kto to jest.

Na świeżo skończonym obrazie Gawędziarz nie był już bladą, wodnistą, niemal anielską postacią, której tak bardzo starał się nie

namalować przedtem. Teraz była to ciemna i mroczna postać w falującym płaszczu, podobna do tajemniczej zjawy, którą Jim prawie przejechał we mgle i która na jego balkonie wyglądała jak kłęb czarnego dymu.

Najwyraźniej pojawiła się w jego koszmarze, siedząca w jego samochodzie z błyszczącymi oczami w głębi kaptura, z dłonią w szarej rękawiczce spoczywającą na kierownicy. Ale teraz widział wyraźnie, co to było... a raczej – kto to był.

– Jezu Chryste, Ricky – wybełkotał Jim. – To jest niesamowite.

– Niesamowite? Tak uważasz? Myślę, że to, kurwa, najbardziej przerażająca rzecz, jaką namalowałem w życiu, zważywszy, że chciałem namalować wesołego, pulchnego staruszka.

Głowy mrocznej postaci nie zasłaniał już kaptur. Była duża, szara i koścista, z wydatnym guzem na czole i kośćmi policzkowymi oraz zapadniętymi policzkami. Jej oczy błyszczały jak w koszmarze Jima, ale teraz spoglądały triumfująco, a nie ukradkiem.

Uśmiechała się szarymi wargami, nie okazując jednak pewności siebie, jak Simon Silence. Uśmiechała się do własnej wyższości.

Nie wiedząc dlaczego, Jim poczuł radość. Oto moc, która położy kres wszystkim innym siłom. Nareszcie pojawiła się istota wystarczająco silna, by przejąć władzę na świecie, który rozpadał się wszędzie wokół nas.

Stał przed obrazem i powoli wyciągnął lewą rękę, by go dotknąć. Fascynowały go oczy. Obiecywały mu wszystko. Chwałę, sukces, bogactwo i zniszczenie. Ogień kończący wszystkie pożary.

Tak, wiedział, kto to jest. Nie mógł go pomylić z nikim innym. Z jego splątanych czarnych włosów wyłaniały się dwa zakrzywione rogi... rogi bestii.

Rozdział 9

– Co to znaczy, Jim? – spytała Nadine. – Czy to diabeł? Jak to możliwe, że Ricky zaczyna malować wesołego starego Gawędziarza, a kończy, malując Szatana?

Jim wciąż nie mógł oderwać oczu od obrazu. Portret dawał mu poczucie ogromnej mocy, której nigdy w życiu nie doświadczył. Co powiedział Joe Chang? „Czułem, że mam siłę”.

„Nikt nie stał nam na drodze. Nikt. Bo się nas bali. Bali!”.

W końcu poklepał Ricky’ego po ramieniu i powiedział:

– Słuchaj, Ricky, nie należy się tym martwić. To genialne dzieło sztuki, a ty namalowałaś to nie bez powodu, nawet jeśli nie wiesz, jaka jest tego przyczyna.

– Co ty mówisz, człowieku? Nie namalowałem tego. Wcale nie chciałem tego namalować, a to prawie to samo, tak?

– Och, dobrze ci wyszło. Po prostu twój talent wziął górę za sprawą siły, która chciała, abys stworzył portret Pana i Mistrza.

– Pana i Mistrza? – zaciekawiała się Nadine, wydmuchując długą smugę dymu. – To przecież cholerny Szatan. On na pewno nie jest moim Panem i Mistrzem.

– Wiem – przyznał Jim. – Ale siła duchowa, która wpłynęła na Ricka, aby go namalował, tak o nim myślała.

Jim cofnął się o dwa lub trzy kroki, choć wciąż nie mógł oderwać wzroku od triumfujących oczu postaci na portrecie. *Jestem tu. Widzisz mnie teraz. Można przyjąć mnie takim, jaki jestem.*

– Tego rodzaju rzeczy zdarzają się cały czas w świecie duchów – wyjaśniał Jim. – Zwykle nie są tak dramatyczne jak to, zapewniam was. Ale duchy nie mogą wziąć do ręki ołówka i napisać wiadomości, więc prowadzą ludzkie ręce po tabliczkach ouija. Ile razy widzieliście coś

takiego? Duchy nie mogą mówić, więc rozmawiają z krewnymi za pomocą mediów. Duchy nie mogą rzucać przedmiotami ani nikogo skrzywdzić, dlatego muszą zawładnąć człowiekiem i zmusić go, aby zrobił to za nie. W tym wypadku, oczywiście – mówił dalej Jim – duch chciał stworzyć portret Szatana i z tego czy innego powodu użył zdolności artystycznych Ricky'ego.

– Kurwa, jakby mnie porwał – poskarżył się Ricky, wyjmując zapalniczkę i ponownie zapalając skrepta.

– Jeśli to bardziej do ciebie trafia, to tak, zostałeś porwany.

– Ale jaki jest tego sens? – zapytała Nadine.

Jim spojrział na Szatana na obrazie i te zgromadzone wokół niego małe dzieci, którym opowiadał historie. Nie w pełni rozumiał sens samego portretu, ale powoli zaczynał nabierać podejrzeń wobec tego, co się działo. Odebrał słaby, daleki przekaz, podobny do tego, który go ogarnął, kiedy ugryzł jabłko od Simona. Krzyk mew, fale wypływające na brzeg i niekończąca się muzyka organów parowych.

Przybyłem do was. Przybyłem do was wszystkich. Tym razem nikt mi nie ucieknie.

– Może filizankę herbaty rumiankowej? – zaproponowała Nadine.

– Nie, dziękuję, Nadine. Jak mówiłem, mam dużo prac domowych do sprawdzenia.

– Mam oddać ten obraz do biblioteki do piątku – odezwał się Ricky. – Co, do diabła, mam im powiedzieć? Nie mogę się z tym pokazać, prawda?

– Nie możesz namalować jeszcze jednego, od początku? Może jak namalujesz inny, okaże się zgodny z twoimi pierwotnymi planami.

Ricky wydał policzki.

– Nie wiem, Jim. Czy coś w tym pieprzonym życiu okazuje się takie, jak planowaliśmy?

– *Silence!* – wrzasnęła czerwona papuga. – *Silence!*

•••

Jim udał się do swojego mieszkania i wszedł do środka. Tibbles siedział z nosem przy szybie przesuwanego okna, które wychodziło na balkon, ale gdy tylko Jim wszedł do salonu, kot odwrócił głowę, jak gdyby został przyłapany na czymś, czego nie powinien był robić. Jim podszedł do okna i zobaczył Queen, syjamkę sąsiadów, zwiniętą uwodzicielsko na jednym z plastikowych foteli na zewnątrz.

– Zapomnij, Tibs – powiedział Jim. – Ta pani jest w stu procentach rodowodowa. Poza twoją ligą. A tak w ogóle, to kiedy ma ruje, właściciel nigdy jej nie wypuszcza.

Tibbles nie odwrócił się, żeby spojrzeć na obiekt swego pożądania. Zamiast tego nadal wpatrywał się w Jima szeroko otwartymi oczami, prawie tak, jakby go nie rozpoznawał.

– Chcesz coś zjeść, tuściochu? – spytał Jim. – Co ma być dzisiaj? Krewetki czy kurczak?

Tibbles jednak nadal spoglądał na niego, a teraz jego cętkowane szare futro zaczęło się jeżyć, wargę podwinęła się, ukazując zęby.

– Zadałem ci pytanie, Tibs. Co chcesz zjeść? A jeśli nie jesteś głodny, to po prostu powiedz, chociaż nie uwierzę w to choćby przez chwilę. Zawsze jesteś głodny!

Tibbles zasyczał i zaczął przemykać się ukradkiem przez salon, z głową pochyloną nisko i wygiętym grzbietem, z pazurami wysuniętymi tak, że zahaczały o dywan.

– Co, do cholery, z tobą jest, Tibs? – zdziwił się Jim. Zrobił krok w jego stronę, ale Tibbles zasyczał jeszcze zacieklej i wycofał się pod ścianę. – Jesteś chory czy co? Chodź, obejrzę cię.

Ukląkł przed kotem, aby go podnieść, ale Tibbles bez ostrzeżenia prychnął, syknął na niego i skoczył mu prosto na twarz, gryząc i drapiąc zapamiętałe w płataninie szponów i szarego futra. Jim stracił równowagę i przewrócił się na plecy, ale Tibbles nadal drapał go po policzkach, a nawet próbował wydrapać mu oczy.

– Zejdź ze mnie, Tibs! Uciekaj!

Poczuł, jak kot szarpnął jego prawe ucho, i nagle krew zaczęła spływać mu po szyi za kołnierz. Udało mu się unieść lewy łokieć, aby zasłonić

twarz, a prawą ręką chwycić luźną skórę pomiędzy łopatkami kota. Szarpnął nim ostro w prawo, a następnie cisnął przez pokój tak, że z hukiem i brzękiem uderzył w klimatyzator.

Dźwignął się na nogi. Tibbles leżał na boku z otwartymi oczami, najwyraźniej żył, ale jego pysk wyrażał nieprzejeжданą niechęć. Jim przykucnął obok niego i spróbował pogłaskać, ale Tibbles syknął na niego ponownie i uderzył lewą łapą.

– Tibs, co się z tobą dzieje, stary? Nigdy nie widziałem, żebyś tak się zachowywał.

Spróbował jeszcze raz pogłaskać kota, częściowo, by go uspokoić, a częściowo, aby upewnić się, że żadna z kości nie ma urazów po upadku. Lecz Tibbles zdołał przetoczyć się na bok i na łapy, otrząsnąć się, po czym pokuśtykał do kuchni napić się wody.

Jim zastanawiał się, czy powinien zabrać go do weterynarza. Nawet jeśli nie miał żadnej kości złamanej, może doznał jakichś obrażeń wewnętrznych. Poza tym dlaczego zaatakował Jima z taką wściekłością? Może zjadł albo wypił coś, co wpłynęło na jego mózg – nie żeby był z niego bardzo bystry kot, od tego trzeba zacząć. Może wyrósł mu w mózgu guz.

Jim przyglądał mu się chwilę przez kuchenne drzwi, chociaż Tibbles odwracał się i patrzył na niego, jakby chciał się upewnić, czy nie podejdziesz zbyt blisko. Tibbles nie wyglądał na rannego ani obolałego. Będę go obserwował przez chwilę, pomyślał Jim. W końcu weterynarz nie jest tani. Nawet uspienie kota kosztuje dzisiaj krocie. Mógłbym oszczędzić dużo pieniędzy, gdybym wykopał dziurę na podwórku i zagrzebał tego głupiego kocura żywcem.

Podniósł wzrok i nagle zobaczył swoją twarz w lustrze w przedpokoju, jak gdyby stał tam ktoś obcy. Czy naprawdę pomyślałem o zakopaniu własnego kota? – przemknęło mu przez głowę. Czy to jestem ja?

Powoli podszedł do lustra i przyjrzał się swojej twarzy. Był do siebie podobny. Zmierzwił ciemne włosy, jasnobrązowe oczy. Ta sama groźna mina, którą przywoływała jego matka zawsze wtedy, kiedy udawała, że jest bardziej zagniewana, niż naprawdę była.

Jim? Czy to ty? – zastanawiał się. Myślałeś o tym? Czy naprawdę chciałeś zakopać Tibblesa żywcem? Mało tego... wyobrażałeś to sobie, miałeś przed oczami, jak łopata rzucałeś na niego piach, a Tibbles otrząsał się i panikował, próbując się wydostać z dołu.

Twarz w lustrze wyglądała jak jego, ale w tych oczach było coś, co go nie przypominało. Złośliwy błysk, ukryte okrucieństwo, jak gdyby rzeczywiście uważał za zabawne pochować Tibblesa na podwórku. I ubić na nim piach. A potem pochylić się z jedną ręką kpiąco przyłożoną do ucha, jak gdyby nasłuchiwał ostatniego kwilenia dochodzącego spod ziemi.

Wrócił przez salon, otworzył drzwi na balkon i wyszedł na zewnątrz. Teraz było tu gorąco, aż trudno było oddychać. Przytrzymał się poręczny balkonu i spojrzał w dół na podwórze, gdzie Santana wcześniej rozkopywał nory. Santany nie było tu teraz, ale zostawił swoją łopatę z długim trzonkiem opartą o ogrodzenie.

Widzisz? – pomyślał. To nie byłoby takie trudne, prawda? Santana wykopał już większość dziur dla ciebie.

Odbiło ci? O czym, do cholery, myślisz? Co by się z tobą stało, gdybyś to zrobił? Myślisz, że nikt by cię przy tym nie zobaczył? Aresztują cię za okrucieństwo wobec zwierząt i stracisz pracę.

Moja praca? Uczenie angielskiego kretynów, którzy z trudem bełkoczą? Kogo to obchodzi? Zresztą, to już długo nie potrwa, a zanim wszystko się skończy, jedyną pracą powinna być służba Panu i Mistrzowi.

Jim zamknął oczy. Spokój, powiedział sobie. To wymyka ci się z rąk. Uspokój się, na litość boską. Znajdujesz ciało dziewczyny przybite do sufitu w klasie, a potem okazuje się, że to twoja córka, o której istnieniu nie wiedziałeś. Każdy byłby wstrząśnięty czymś takim, zwłaszcza że widziałeś drugie ciało przybite do cyprysu. I twarz Szatana śmiejącą się do ciebie.

Uspokój się. *Om* albo cokolwiek.

•••

Po dziesięciu minutach wrócił do środka i wyciągnął z lodówki butelkę fat tire. Nigdzie nie było widać kota.

- Tibbles? - zawołał. - Tibs? Myślisz, że możemy być znowu przyjaciółmi?

Gdziekolwiek ukrywał się Tibbles, nie ruszał się stamtąd. Prawdopodobnie pod łóżkiem w drugim pokoju albo za zmywarką.

Kiedy Jim wracał na balkon, zadzwonił dzwonek do drzwi. Poszedł otworzyć, przez okienko z mrożonego szkła ujrzał blond włosy i różowe wstążki.

- Summer! - powiedział, otwierając drzwi.

Miała na sobie ciasny różowy T-shirt, parę skąpych białych bawełnianych szortów w stylu safari i różowe sandały na koturnie, który był tak wysoki, że - choć na chwiejnych nogach - przewyższała Jima o pięć centymetrów. Żuła gumę i trzepotała kartką papieru, jak gdyby te dwie czynności były w jakiś sposób ze sobą skoordynowane. Raz ręką, raz szczęką; raz ręką, raz szczęką.

- Jimmy, naprawdę musisz mi pomóc.

- Dobrze, Summer. W czym?

- Mogę wejść?

- Oczywiście. Wejźdź.

- Nie przeszkadzam? - spytała, zaglądając do kuchni.

- Nie. Jak mogę ci pomóc?

- Chodzi o to, że ubiegam się o pracę w Shine, wiesz, w tym salonie piękności na Melrose. I chcę, żebyś napisała im cefał, czy jak to się tam nazywa.

Jim zaprowadził ją do salonu. Summer podążyła za nim, wciąż żując gumę i trzepocząc kartką papieru.

- Więc chcesz, żebyś napisał moje CV? Tak?

- Nigdy nie dawałam sobie rady z pisaniem, Jimmy. Nie umiem nawet napisać własnego nazwiska, tak żeby nie zrobić w nim błędu. Miałam nadzieję, że mi pomożesz, skoro jesteś nauczycielem angielskiego i w ogóle.

- Znam angielski, Summer, ale nie wiem nic na temat piłowania paznokci, wyrywania brwi czy depilacji woskiem.

- Tak, ale o to właśnie chodzi. Ja też nie wiem, chyba że ktoś inny mi to robi. A musi to wyglądać tak, jakbym umiała te wszystkie rzeczy. Możesz to dla mnie zrobić?

Jim odwrócił się i spojrzał na nią. Może być z niej słodka idiotka, pomyślał, ale naprawdę ma wspaniałe ciało. I pachnie cudownie, jak świeże brzoskwinie. I jest bardzo ładna, jak na zadziorną blondynkę, jeśli ma się skłonność do barowych kelnerek, tancerek na rurze i modelek z rozkładówek „Playboya”.

- Dobrze, może uda mi się pomóc - powiedział. - Nie za darmo jednak. Spodziewam się czegoś w zamian.

Summer przestała żuć i trzepotać kartką papieru.

- No, Jimmy, wiesz, że jestem bez grosza. W przeciwnym razie nie szukałabym pracy.

- Nie musisz mi płacić pieniędzmi. Istnieje przecież wiele innych form rekompensaty, prawda?

Uniosła brwi i oznajmiła:

- Mogę upiec ci beżę cytrynową.

Jim podszedł blisko niej i delikatnie wyciągnął kartkę z dłoni.

- Pewnie jest coś jeszcze, co masz do zaoferowania.

- Jimmy? - zdziwiła się, trzepocząc rzęsami. - Nie chodzi ci o to, co podejrzewam, że myślisz, prawda?

- Dlaczego nie, Summer? Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, prawda? Co może być bardziej naturalnego?

- Ty mi powiedz. Za pierwszym razem, kiedy chcieliśmy się ze sobą przespać, miałeś problem, żeby ci stanął, a ostatnim razem, kiedy ja to sugerowałam, mówiłeś, że boli cię brzuch. To nie do końca pochlebne dla dziewczyny, która stara się pokazać facetowi, jak bardzo go lubi.

- Może zmieniłem zdanie? - odparł Jim.

- Och, daj spokój, Jimmy. Nie czas na to.

- Ty tak mówisz.

– Mówię, Jimmy. Muszę oddać moją cefalkę przed osiemnastą, inaczej stracę szansę na pracę.

Jim podniósł obie ręce i pchnął ją do tyłu w stronę kanapy. Summer próbowała się opierać, ale Jim pchnął ją jeszcze raz, mocniej, i tym razem straciła równowagę na wysokich koturnach, i przewróciła się na poduszki.

– Co robisz, Jimmy?

– Odbieram moją należność za napisanie życiorysu... z góry – odpowiedział i wspiął się na nią, na kanapie, tak że usiadł na niej okrakiem, i zaczął się zmagać ze złotą klamrą jej skąpych białych spodenek.

– Jimmy – zapiszczała Summer, okładając go wściekle pięściami.

Wtedy wymierzył jej policzek. Bardzo, bardzo mocno. Natychmiast zrobił jej się tam szkarłatny rumieniec, a ona spojrzała na niego w szoku.

– Uderzyłeś mnie! Jezu, Jimmy, uderzyłeś mnie!

– Racja, uderzyłem cię! – warknął na nią. – I uderzę cię ponownie, jeśli nie zamkniesz jadaczki! Chcesz, żebym ci napisał to głupie CV? To musi kosztować! Nic nie dostaniesz na tym świecie za darmo, kochanie! Nawet pracy w jakimś głupim salonie piękności!

– Jimmy... co jest z tobą? Jimmy... Złaż ze mnie, proszę!

Summer wierzyła i walczyła, ale Jim przygniół ją do kanapy lewą ręką, a prawą siłował się z jej szortami. Pod spodem miała na sobie tylko skąpe białe stringi z koronki, więc ściągnął je razem z szortami. Siłą rozsunał jej kolana, tak że nagi, wydepilowany srom rozchylił się jak dwa wilgotne płatki.

Rozpiął pasek i zsunął spodnie poniżej kolan. Jego penis był tak twardy, aż miał nieomal wrażenie, że może mu się oderwać. Chwycił go jedną ręką i wepchnął go w Summer, jak najmocniej i najgłębiej.

Natychmiast przestała walczyć. Jim pchnął jeszcze raz, potem jeszcze raz, ale ona nie robiła nic, aby mu się oprzeć, ani też nie reagowała w żaden sposób. Po prostu leżała całkowicie obojętna. Pchnął kolejny raz, a potem przestał.

Patrzyli na siebie, nos przy nosie.

– No, dalej – odezwała się Summer. – Masz, czego chciałeś. Korzystaj.

– Co, do cholery, jest z tobą? – spytał Jim. – Kokietowałaś mnie od miesiący.

– To, co ci proponowałam, było za darmo, Jimmy. Nie miałam metki z ceną.

Nadal patrzyli sobie prosto w oczy, bardzo długo. Jim stopniowo uświadamiał sobie, jak bardzo czerwony jest policzek Summer w miejscu, gdzie ją uderzył. Będzie miała szczęście, jeśli rano nie obudzi się z podbitym okiem.

Jego penis zaczął mięknąć i Jim zsunął się z niej.

– Prosiłaś się o to, od kiedy się tu wprowadziłaś – powiedział. – Czego się spodziewałaś?

– Spodziewałam się seksu – odparła Summer. – Wiesz, normalnego, za obopólną zgodą, bez popychania, bicia ani niczego w tym stylu.

Jim podciągnął spodnie i zapiął pasek. Nigdy wcześniej nie napastował kobiety i zupełnie nie miał pojęcia, dlaczego zachował się tak właśnie teraz. Wiedział, że w jakiś sposób był uprawniony, by ją mieć, obojętnie, czy ona chciała tego, czy nie. Krew pulsowała mu w uszach tak głośno, że prawie nic nie słyszał.

Summer także wstała. Podniosła stringi i białe spodenki, ale nie od razu je założyła, jakby chciała zadrwić z Jima, że mógłby się tym cieszyć, gdyby tylko nie był tak agresywny.

– Och, Jimmy – odezwała się.

Odwrócił się, nie wiedząc, co jej powiedzieć.

– Słuchaj – mówiła dalej. – Zapomnij o cefalce. Nie ma sensu, żebym starała się o tę pracę, tak czy inaczej, z taką spuchniętą twarzą.

Jim chciał powiedzieć, że jest mu przykro, ale jakoś nie mógł. Na myśl o słowie „przepraszam” miał usta pełne piachu.

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi. Jim poszedł je otworzyć, a Summer pospiesznie podciągnęła szorty.

Detektyw Brennan i detektyw Carroll stali na zewnątrz. Oboje mieli ponure miny.

– Panie Rook? Możemy wejść?

– O tak, oczywiście.

Przeszli za nim do salonu. Summer szybko zaczesła włosy na lewą stronę twarzy, aby ukryć siniak.

– To moja sąsiadka z dołu. Przyszła tylko pożyczyć...

– Kawy – wtrąciła Summer. – Tak... Właśnie wychodzę.

To powiedziawszy, poszła, zatrzasnąjąc za sobą drzwi. Wówczas detektyw Carroll odwróciła się i powiedziała:

– Zapomniała o kawie.

– Naprawdę? – zdziwił się Jim. – Rzeczywiście! Cholernie roztrzepana z niej dziewczyna.

– Najwyraźniej walczy też ze swoim chłopakiem.

– Naprawdę?

– No cóż... ktoś jej zrobił potężnego siniaka na policzku, a nie miała na palcu ślubnej obrączki... dwa dodać dwa to cztery.

– No proszę. Sam bym się nie domyślił.

Detektyw Brennan krążył po salonie Jima, przyglądając się wszystkiemu, co stało na półkach – zdjęciom, trofeom.

– Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć, że zidentyfikowaliśmy ofiarę przybitą do drzewa.

– O Boże. Proszę nie mówić mi, że to kolejny z moich uczniów.

– Nie... na szczęście nie. Kiedy lekarze zmyli farbę, odkryli na lewym ramieniu tatuaż Los Primos.

– Los Primos? To latynoski gang uliczny, tak?

– Och... jest pan prawdziwym ekspertem, panie Rook.

– Jestem nauczycielem w college'u. Uczę angielskiego. Wszystkie te gangi uliczne mają własny język. To część mojej pracy, aby wiedzieć, co, do diabła, oni mówią.

– Tak, ma pan rację, Clikos Los Primos to mały gang ze wschodniego Los Angeles, prawie wyłącznie Latynosi. Pokazaliśmy zdjęcie naszej ofiary różnym członkom gangu i od razu go zidentyfikowali.

Detektyw Brennan wyciągnął kolorową odbitkę zdjęcia przedstawiającego młodego Latynosa. Był bardzo przystojny, mimo że miał zamknięte oczy, opuchnięte policzki, a skórę nienaturalnie szarą.

– Nazywa się Alvaro Esteban, bardziej znany jako Santana. Pracuje jako ogrodnik, tutaj, w Briar Cliff Apartments. To pański ogrodnik, panie Rook.

Rozdział 10

Jim nie mógł zasnąć tej nocy. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział tę ciemną, diabelską twarz namalowaną przez Ricky'ego, jak stopniowo materializowała się z mroku. Po trzech godzinach wiercenia się, obracania i ubijania poduszki włączył nocną lampkę, wstał z łóżka i poszedł do salonu oglądać *Braci i siostry*, choć nie miał pojęcia, o czym jest i jaki straszny sekret Kitty próbowała ukryć przed Tommym.

Kiedy słońce w końcu zaczęło rozświetlać jego mieszkanie, wziął długi prysznic, przyciskając czoło do glazury, a potem zrobił sobie kubek mocnej czarnej kawy. Obejrzał *Good Morning, America*, a nawet *Good Cookin' With Bruce Aidells*, ale mimo to był gotowy do wyjazdu do szkoły prawie godzinę wcześniej niż zwykle. Tibbles wciąż odmawiał wyjścia z ukrycia, jednak Jim napełnił jego miskę karmą z tuńczykiem i nalał na spodek świeżego mleka.

– Chcesz się dąsać, ty koci pedale, to się dąsaj! – zawołał, zanim zamknął drzwi. – Ale pamiętaj, kto zaczął... dobra?

Na schodach zawahał się chwilę przed drzwiami mieszkania Summer, zastanawiając się, czy powinien zapukać i przeprosić za narzucanie się jej wczoraj wieczorem. Po kilku chwilach postanowił, że nie. Prawdopodobnie była jeszcze w łóżku, a on wciąż nie umiał powiedzieć „przepraszam”. Przecież to ona zawsze się narzucała. Zawsze pytała go, czy jego zdaniem Bóg dał jej wystarczająco duże piersi i czy musi je powiększyć, i z namaszczeniem wyznawała mu za każdym razem, że jedzie do salonu Raya na depilację brazylijską. Jeśli to nie jest napraszanie się, żeby ją wziął, to co jest?

Kiedy dotarł do West Grove, parking dla pracowników był prawie pusty. Wysiadł z samochodu i stał przy nim przez chwilę. Słońce świeciło mu prosto w oczy, a poranny wiatr szeleścił pośród juk wokół niego. Był

pewien, że dobiegł go znowu dźwięk organów parowych. *In The Good Old Summertime*. Wtedy jeden z ogrodników uruchomił kosiarkę i czar prysł.

Szkolne korytarze były puste, pobrzmiwały echem i mocno pachniały pastą do podłogi. Gdy otworzył drzwi pracowni plastycznej, zaskoczył go widok Simona Silence'a, który siedział już na swoim miejscu, z brulionem i flamastrami równo rozmieszczonymi na ławce. Z zamkniętymi oczami słuchał iPod'a, kiwając głową do rytmu niesłyszalnej muzyki.

Słońce padało na niego przez okno i wyglądał, jakby oświetlał go niebiański promień.

Jim zatrzymał się na chwilę w drzwiach, ale Simon nie okazywał żadnych oznak, które by zdradzały, że jest świadom obecności nauczyciela. Po prostu dalej kiwał głową w takt muzyki z iPod'a.

Jim usiadł i rzucił teczkę na biurko. Uchwyt naprawił drutem z wieszaka i taśmą klejącą. Otworzył teczkę i wyjął dwa zbiory poezji oraz czerwony skoroszyt z pytaniami dotyczącymi gramatyki i ortografii.

Minęła prawie minuta. Wtedy, nie otwierając oczu, Simon Silence powiedział:

– Przykro mi z powodu ogrodnika, proszę pana.

Jim podniósł wzrok.

– Och, tak? Skąd o tym wiesz? Myślałem, że nie oglądasz telewizji.

– Powiedziała nam nasza sprzątaczką. Słyszała o tym na lokalnym kanale z wiadomościami. – Teraz Simon otworzył oczy i skierował na Jima jeden ze swoich przerażających, zagadkowych uśmiechów.

– Wasza sprzątaczką powiedziała?

– Tak, właśnie. To bardzo bystra młoda kobieta. Chce być w przyszłości prawniczką i reprezentować meksykańskich imigrantów.

– Więc co słyszała w wiadomościach?

– Aha! Podobno policja próbowała się dowiedzieć, dlaczego ofiara została przybita tu, w West Grove Community College. Do tej pory jednak udało im się tylko znaleźć jeden związek. Ofiara pracowała jako ogrodnik w budynku mieszkalnym w Hollywood Hills. A kto akurat mieszka w tym bloku, jak nie pewien nauczyciel angielskiego z tej samej szkoły?

– Żartujesz. Mówili o tym w wiadomościach?

– Tak mi powiedziała nasza sprzątaczką. I chyba nie wymienili pana z nazwiska, ale nic nie poradzę, dwa dodać dwa jest cztery.

Zamilkł na chwilę, a potem sięgnął do swojego worka i dodał:

– Proszę... chce pan jabłko? Mam ich mnóstwo.

Jim odsunął krzesło i przeszedł przez salę.

– Powiedz mi, Simon – zagadnął – w jakim celu, tak naprawdę, się tutaj znalazłeś? Mam na myśli klasę specjalną?

– Nie wiem, do czego pan zmierza.

– Po pierwsze, mówisz płynnie i gramatycznie, co oznacza, że prawdopodobnie tak też piszesz. Po drugie, jesteś całkowicie pewny siebie, której to cechy bardzo brakuje prawie wszystkim w tej zapomnianej przez Boga klasie. Nawet zdecydowałeś się zadać klasie wypracowanie, kiedy mnie tu nie było. Nie potrzeba ci zajęć wyrównawczych z angielskiego, co, Simon? Nie wiem, co mogę ci zaoferować.

– Ach, ale tu właśnie jest pan w błędzie. Ma pan więcej do zaoferowania, niż pan sobie wyobraża.

– Na przykład co?

– Ma pan dar. Bardzo rzadki dar. W zasadzie, można powiedzieć, unikalny. Widzi pan świat takim, jaki jest naprawdę. Nie tylko jego połowę, jak większość ludzi.

– To znaczy?

– To znaczy, że widzi pan zarówno zmarłych, jak i żyjących. Widzi pan zjawy, kształty i byty. Może pan nawet ujrzyć potwory, w które ludzie nie wierzą... albo przynajmniej nie chcą wierzyć. Nawet najbardziej pobożni z duchownych z trudem dostrzegają takie monstra albo wcale ich nie widzą.

Jim długo patrzył na Simona, zanim się odezwał. Co za przemowa, pomyślał. Światło słoneczne, które oświetlało go na początku, powoli przesunęło się, pozostawiając jego twarz w cieniu, a oczy wyglądały teraz na ciemniejsze i bardziej przebiegłe.

– Kim jesteś naprawdę? – spytał Jim. – Skąd wiesz o mnie to wszystko?

– Jestem Simon Silence, proszę pana, i tyle. Pierwszy i jedyny syn wielkiego Johna Silence’a z Kościoła Bożego Podboju. Jestem nikim, proszę pana. Nie należy się mnie bać.

– Uwierz mi, że się nie boję. Ale chcę wiedzieć, co tu właściwie robisz. Masz wpływ na klasę, Simon, i sam nie jestem pewien, czy mi się to podoba. Nawet zaczynam podejrzewać, że i na mnie wywierasz jakiś wpływ.

Simon Silence nie odpowiedział, ale wciąż się uśmiechał i opuszkami palców lewej ręki dotykał skomplikowanego wzoru na blacie stołu, obwodził go ciągle na nowo. Twarz? Pentagram? Kręgi w kręgach, jak węże połykające własne ogony?

– Co powiesz o tym wypracowaniu o rajach? – spytał Jim. – Skończyłeś już swoje?

– Oczywiście – odparł Simon. Podniósł brulion i podał go. Jim nie zaczął czytać, stojąc przed Simonem... nawet nie spojrzał na wypracowanie, dopóki nie zaniósł go na biurko i nie usiadł. Simon Silence wsadził z powrotem słuchawki do uszu, skrzyżował ręce, zamknął oczy i znowu zaczął kiwać głową, jakby w ogóle go nie obchodziło, co Jim pomyśli o jego pracy.

Pismo Simona było w miarę schludne, chociaż pochylone w lewo. Linijki unosiły się od lewej do prawej. Robił też przesadne pętle w literach sięgających w dół, jak „g” oraz „j” i „y”.

Jim nie był grafologiem, ale przeczytał już dosyć bazgrołów i wypracowań napisanych drukowanymi literami, aby rozpoznać niektóre z cech osobowości zdradzane przez ucznia. Nachylenie w lewo zazwyczaj zdradzało nieśmiałość i niepewność, chociaż może również wskazywało na znaczną dbałość o szczegóły – co Jim nazywał pismem planespotterów*. Z drugiej strony ci, których pismo mocno schodziło w dół, wykazywali praktyczne i rzeczowe podejście do życia, według Jima byli to mechanicy samochodowi, budowlańcy i hydraulicy.

Jim spojrzał na Simona i pomyślał: To pismo ma celowo wprowadzić mnie w błąd. W rzeczywistości on wcale tak nie pisze.

Gdyby miał zgadywać, jakie było naturalne pismo Simona, powiedziałby, że ostro nachylone w prawo, z dużym naciskiem na litery wystające ku górze, jak „b”, „d”, „h”, „k” i „l”. Agresywna, dominująca osobowość, ale z silnym elementem duchowym, niemal fanatyczna.

Nie wiedział, czy treść pracy też miała go zmylić. Zaczął więc czytać:

„Dla mnie raj nastanie w dniu, kiedy po całym świecie rozprzestrzenia się pożary. Będą widoczne od jednego horyzontu po drugi i Ci, Którzy Nigdy Nie Powinni Istnieć, będą je podsycać. Raj nadejdzie, kiedy dym opadnie, a kości piętrzyć się będą wysoko i Wielkie Błuznierstwo zostanie odkupione”.

Jim przeczytał tekst po raz drugi, a potem wyjął czerwony długopis. Pod ostatnim wierszem, napisał:

„Bardzo apokaliptyczny, Simon, ale musisz wyrazić się jaśniej. Co właściwie oznacza Wielkie Błuznierstwo? I kim są Ci, Którzy Nigdy Nie Powinni Istnieć, kiedy już trafią do miejsca przeznaczenia?”.

Chociaż go skrytykował, wypracowanie utwierdziło go w przekonaniu, że dla Simona Silence’a nie ma miejsca w klasie specjalnej. To, co napisał, było gładzeniem niemal jak w Starym Testamencie, ale gramatycznym gładzeniem. Nie używał żargonu z SMS-ów ani ulicznego slangu, a słowo „błuznierstwo” udało mu się napisać przez „ż”. Jim wątpił, czy ktokolwiek inny w tej klasie tak by napisał, o ile w ogóle znalazłoby to słowo.

Miał już podać Simonowi jego zeszyt, gdy drzwi pracowni otworzyły się z łoskotem i wpadła reszta klasy, rozmawiając, śmiejąc się i popychając nawzajem. Simon otworzył oczy i uśmiechnął się do niego.

Widzi pan zjawy, kształty i byty. Może pan nawet ujrzeć potwory, w które ludzie nie wierzą... albo przynajmniej nie chcą wierzyć.

• • •

Jim ruszył na tył klasy, gdzie siedziała Rebecca Teitelbaum. Wczoraj ubrana w szarozieloną suknię, dziś pojawiła się w jaskrawej szkarłatno-żółtej bluzce z zygzakowatym nadrukiem, a potargane czarne włosy upięła w kok czerwono-żółtymi koralikami.

Miała na sobie również obcisłe czerwone dżinsy i żółte sandały. Wszystko, w co była ubrana, wyglądało na nowe, jakby wczoraj wieczorem poszła na zakupy z zamiarem całkowitej zmiany wizerunku – z posłusznej żydowskiej córki do niedoszłej celebrytki z *X-Factor*.

Jim zauważył, że Nudnik, ten brudny, niegdyś biały miś, wciąż siedział obok niej. On też miał na sobie naszyjnik z czerwono-żółtych koralików.

– Hej... Myślałem, że zabierasz Nudnika na licytację.

– Chciałam, ale potem pomyślałam: nie, on jest mój. Mam go właściwie od zawsze, a on rozumie mnie lepiej niż wszyscy inni. Dlaczego mam go oddać jakimś głupim osieroconym dzieciom w Lev LaLev, które nawet nie zdają sobie sprawy, jak dużo on wie?

– Och, dobrze. Rozumiem. To twój miś. Możesz zrobić z nim, co chcesz, ale od teraz może on by wołał zostawać w domu? Jeśli pozwolę tobie przynosić maskotkę do klasy, wszyscy będą chcieli to robić, a nie chcemy, żeby klasa angielskiego wyglądała jak piknik misiów, prawda?

– Nudnik nie jest maskotką – odparła Rebecca Teitelbaum. – Nie jest też zabawką. On jest moim powiernikiem. Mówię mu wszystko.

Jim spojrział na Nudnika, a miś patrzył na niego szklonym wzrokiem. Jim wiedział, że to śmieszne, ale dzisiaj maskotka wyglądała dość złowrogo, jakby naprawdę znała wszystkie tajemnice Rebecki. Co więcej, Jim odniósł wrażenie, że miś rozumiał, co się mówi, nawet jeśli zdecydował się milczeć.

– A może pokażesz mi swoje wypracowanie o raj? – zagadnął Jim.

Rebecca wręczyła mu kartkę wyrwaną z brulionu. W jej piśmie dominowały niezwykle grube i cienkie kreski, zupełnie jakby używała hebrajskich, a nie angielskich liter. W nagłówku napisała *Raj*, ale pod spodem dopisała również *Ganedyn*, co Jim uznał za odpowiednik raj w jidysz.

„Moim marzeniem jest być najbardziej znaną kobietą na świecie. Wsiadam z samochodu, a paparazi pstrykają zdjęcia z lampą błyskową. Wchodzę na scenę, i tysiące ludzi powstaje z miejsc. Krzyczą moje imię, kochają mnie. Zawsze jestem w telewizji w filmach i wszyscy błagają mnie, żeby im napisała moje imię. Wszyscy mężczyźni mówią ożeń się ze

mną ożeń. Rebecca jesteś najbardziej piękną kobietą na świecie. Co dzień noszę rzeczy dezajnerskie i dyjamenty i wszyscy mnie Kochają”.

– To naprawdę twoje wyobrażenie rajy? – zapytał Jim.

Rebecca skinęła głową.

– Daj spokój – powiedział. – Jesteś wystarczająco ładną dziewczyną. Nie sądzisz, że mogą cię trochę zmęczyć te wszystkie pochlebstwa?

Pokręciła głową.

– Przez całe życie nikt nigdy nie powiedział mi czegoś takiego. I niech pan nie mówi, że ładnie wyglądam. Mówi pan tak, żebym się poczuła lepiej. Mam okropne włosy, jak druty, a nos jest za duży, poza tym muszę nosić te bardzo grube okulary. Żaden chłopak nigdy nie zaprosił mnie na randkę, a co dopiero żeby chciał się ze mną ożenić.

– Rebecco – powiedział Jim – każdy ma piękno w sobie i to dotyczy także ciebie.

Nie mógł zliczyć, ile razy mówił to dziewczętom w klasie drugiej specjalnej, którym brakowało pewności siebie z powodu własnego wyglądu. „Każdy ma piękno w sobie, bez względu na to, jak duży ma tyłek ani jak bardzo jest przeciętny”. Sam też w to wierzył. Przynajmniej kiedyś w to wierzył. Ale patrząc na Rebeccę Teitelbaum tego ranka, nawet w jej nowym, czerwono-żółtym stroju, nie mógł powstrzymać się od myśli, że – rzeczywiście – jej nos był dość wydatny, delikatnie mówiąc, a włosy bardzo kręcone. Nie tylko to – przednie zęby sterczały jej jak u niezdecydowanego bobra, miała jedną dużą brodawkę tuż obok prawego ucha, a drugą na szyi. W zasadzie nie dziwił się, że nikt nigdy nie zaproponował jej randki.

Oddał jej wypracowanie.

– Zrobiłaś kilka błędów w pisowni, Rebecco, i gramatykę musisz trochę poprawić w kilku miejscach. Ale to są drobne szczegóły, którymi możemy zająć się później. Poza tym... tak, dałaś mi bardzo interesujący wgląd w to, czego chcesz od życia. Sławy, uwielbienia i ogromnej popularności.

Z czego nic nie pójdzie po twojej myśli, *Geliebte*, pomyślał. Nigdy, w każdym razie dopóki piekło nie zamarznie.

Potem podszedł do pulchnego Latynosa, który siedział na końcu trzeciego stołu z tyłu, obok Simona Silence'a. Jego krzesło było przechylone do tyłu; chłopak rozłożył szeroko nogi i bezgłośnie bębnił po udach. Miał lśniące czarne włosy związane z tyłu rzemieniem w kucyk i okrągłą, wesołą twarz.

– Powiesz mi, jak się nazywasz? – spytał Jim.

– To nie ma mojego nazwiska w dzienniku?

– Oczywiście, że jest, *muchacho*. Ale chciałbym najpierw usłyszeć, jak ty to mówisz, żeby wymówić je prawidłowo, kiedy będę wywoływał cię do odpowiedzi. To się nazywa szacunek.

– Okay. Jasne. Nazywam się Javier Alejandro Alvarez. Ale może pan nazywać mnie Al. Łatwo to powiedzieć z szacunkiem, tak?

– W porządku, Al. A pokażesz mi swoją pracę?

Al Alvarez poruszył krzesłem do przodu tak, że wszystkie cztery nogi dotknęły podłogi, a potem powiedział:

– W zasadzie to niezupełnie go napisałem.

– Rozumiem. A to niby dlaczego? Nie potrafisz wyobrazić sobie, jak może być w raju? Cała ta muzyka *mariachi* i czekoladowe *chimichanga*, gorące, młode *señority*? *Arriba! Arriba!*

– Wyśmiewa pan kulturę meksykańską – nadał się Al Alvarez. – To nie jest szacunek.

– No cóż, skoro nie zadałeś sobie trudu, żeby coś napisać, to może zechcesz mi powiedzieć, jak twoim zdaniem jest w raju. Teraz myślę, że jesteś po prostu obrzydliwie leniwy, za leniwy, żeby wziąć pióro do ręki, a to nie zasługuje na zbyt wiele szacunku, prawda?

Al Alvarez odwrócił głowę. Przez krótką chwilę Jim widział, jak porozumiewa się wzrokiem z Simonem, który szybko skinął głową do niego, co według Jima wyglądało na zachętę: *No dalej, nie bój się... powiedz mu!*

– Dobrze, Al – odezwał się Jim. – Jeśli nie masz żadnych pomysłów na raj albo masz, ale nie chcesz mi powiedzieć, co to jest, to w porządku, akceptuję to.

Przeszedł na przód sali.

– Chcesz pracować, nie chcesz pracować, to zależy wyłącznie od ciebie. Jestem tu tylko po to, aby wam powiedzieć, jaka jest różnica między przyimkiem, zaimkiem a porządnym kopniakiem w tyłek. Istotą klasy drugiej specjalnej jest to, abyście wszyscy tutaj pomogli samym sobie.

Lecz zanim Jim doszedł do biurka, Al Alvarez wstał.

– Powiem panu! – zawołał, a głos miał tak wzburzony, że Jim natychmiast się odwrócił.

Nozdrza chłopaka poruszały się, a on zaciskał pięści.

– Opowiem o moim raj!u!

– Dalej, mów, Al – zachęcił go Jim. – Posłuchajmy.

– W moim raj!u jestem otoczony przez piękne dziewczyny! Tak wiele pięknych dziewczyn, że nie można ich policzyć! Zdejmują ubrania i tańczą wokół mnie! Potem całują mnie i głaszczą, i zdejmują ze mnie ubranie!

– Al... – przerwał mu Jim. – Nie jestem pewien, czy ta konkretna koncepcja raj!u będzie odpowiednia dla klasy koedukacyjnej na angielskim uzupełniającym. Może powinieneś opowiedzieć mi to później, na osobności. Wiesz, jak mężczyzna niepoprawnemu rozpustnikowi.

Jednak Al Alvarez nie zamilkł.

– Powiem, co robię! Kocham się z nimi wszystkimi, z każdą, na wszelkie sposoby! Od przodu, od tyłu, na każdy sposób! A one krzyczą z rozkoszy! I wszystkie są spocone i lśniące, i wiją się wokół mnie jak gniazdo węży!

– Al... – powiedział Jim. – A może tak się przymkniesz, co?

– Wtedy biorę brzytwę! Starodawną brzytwę! I każdej z tych pięknych dziewczyn podcinam gardło... chlast! Chlast! Chlast! I wszyscy jesteśmy we krwi! Podnoszę ręce i one też są we krwi, a ja je liżę! To dla mnie jest raj!

* Amator zajmujący się obserwacją samolotów i identyfikowaniem ich (ang.).

Rozdział 11

Jim pomaszerował prosto do Ala Alvareza i chwycił go za ramię.

– Dobra, ty! – powiedział do niego. – Zostajesz usunięty z klasy w trybie natychmiastowym!

Al patrzył na niego tak samo szklistym wzrokiem jak miś Nudnik. Pocił się cały i drżał, zupełnie jakby dostał jakiegoś ataku.

– Kazał mi pan! – protestował. – Pytał pan, jaki jest mój raj!

Jim zablokował jego łokieć tak, że Al miał sztywną rękę, i zaczął prowadzić go w kierunku drzwi. Jednak gdy to zrobił, Simon zawołał bardzo wyraźnym głosem:

– HR cztery-dwa-cztery-siedem!

Jim zatrzymał się nagle i odwrócił, choć nadal trzymał Ala za ramię.

– HR cztery-dwa-cztery-siedem?

– Zgadza się.

– Wiem, co to jest HR cztery-dwa-cztery-siedem, Simon. To ustawa Kongresu uchwalona w dwa tysiące dziewiątym roku, aby zapobiec krzywdzącemu przetrzymywaniu i izolowaniu uczniów, choć większość z nich naprawdę na to zasługuje. Jednak... Al został należycie i prawidłowo ostrzeżony o swoim destrukcyjnym zachowaniu, a ja jedynie eskortowałem go z klasy dla jego własnego bezpieczeństwa i ogólnego porządku. Zwłaszcza że większość uczniów nie przyszła tu po to, by słuchać jego bełkotu o orgiastycznej masakrze.

Simon Silence był niewzruszony.

– On z trudem oddycha, panie Rook. HR cztery-dwa-cztery-siedem wyraźnie mówi, że pracownikowi nie wolno siłą eskortować ucznia ani uczennicy, utrudniając jemu lub jej oddychanie.

Jim cofnął się o trzy lub cztery kroki w stronę Simona, a Al Alvarez szedł za nim, potykając się.

– Posłuchaj, Silence. A może ograniczę tobie oddech tak, abys zachował swoje opinie dla siebie?

Simon nadal uśmiechał się do niego.

– Powinien pan wyluzować. Ma pan zbyt wiele do stracenia. Nie może pan sobie pozwolić na utratę panowania.

– Tak myślisz? No dobra, trzeba będzie się tym zająć. Dalej, Al, wynocha stąd.

Wypchnął Alvareza na korytarz. Gdy znaleźli się już na zewnątrz i drzwi zamknęły się za nimi, poluzował chwyt na łokciu chłopca, ale pchnął go mocno na ścianę.

– Co ty, do cholery, wygadywałeś w klasie? – zapytał.

Alvarez pokręcił głową. Ciągłe się pocił, z nosa mu ciekło. Pociągnął nosem i wytarł go w rękaw.

– Nie wiem, proszę pana.

– Ty nie wiesz? Ty nie wiesz? Wszystkie te rzeczy o braniu kobiet na różne sposoby, a potem podcinaniu im gardel i lizaniu ich krwi?

– Przysięgam, że nie wiem, proszę pana. To wszystko po prostu przyszło mi do głowy. Zupełnie jakby mózg mi się gotował. Nigdy wcześniej nie myślałem o niczym takim, nigdy. Gdybym powiedział coś takiego w domu, moja mama by mnie zabiła.

Jim stał blisko Ala, nic nie mówiąc, a chłopiec stopniowo się uspokajał. Po chwili Jim położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

– Może napijesz się wody?

– Nic mi nie jest, proszę pana. Naprawdę nie wiem, co mi się tam stało.

– Chcesz wrócić do klasy czy iść do domu? Nie mam nic przeciwko, jeśli chciałbyś na dzisiaj skończyć.

Al pochylił się i ostrożnie zajrzał przez okienko w drzwiach pracowni, jakby się bał, co może zobaczyć. Większość uczniów kręciła się między stołami; chłopcy rzucali piłką do baseballu, a dziewczyny próbowały

tańczyć jak Rihanna. Tylko Simon Silence pozostał na swoim miejscu, pisał i rysował w brulionie, i kolorował rysunki flamastrami. Spojrzał w górę, zobaczył Ala i Jima zaglądających przez okienko, uśmiechnął się do siebie i wrócił do pracy.

– Powiedz mi – poprosił Jim – co sądzisz o tym chłopaku?

– O Simonie? Coś z nim jest, proszę pana. Nie wiem, co dokładnie, ale to jest jakby *mojo*, tylko silniejsze. Moja babunia nazwałaby go *brujeria*.

– Czujesz to? – spytał Jim. Wiedział, co oba te słowa oznaczają. *Mojo* oznacza pewność siebie, osobisty magnetyzm i seksapil. *Brujeria* to poważna magia, którą normalnie rzuca *brujo* albo czarownik.

– Nie wiem dokładnie, co to jest – powtórzył Al Alvarez. – Ale... tak. Wyczuwam to.

– Tak więc kiedy zaczęłeś mówić o tej całej orgii i podcinaniu gardel kobietom... czy nie sądzisz, że być może Simon nakłonił cię do tego?

Al Alvarez spojrzał na Jima, który dostrzegł, że chłopak jest zdenerwowany.

– Nie wiem, proszę pana. Nie chciałbym powiedzieć niczego takiego.

– Czego się boisz?

– Niczego się nie boję, proszę pana. Nie chcę sobie narobić kłopotów, to wszystko.

– Wczoraj, Al, wybrałbym cię na klasowego kawalarza. Więc co się dzisiaj zmieniło?

Al Alvarez spojrzał na podłogę. Nie chciał patrzeć Jimowi w oczy.

– Nie chcę mieć kłopotów, to wszystko.

Jim wahał się jeszcze przez chwilę, a potem otworzył drzwi i wprowadził Alvareza z powrotem do pracowni. Chłopcy natychmiast przestali rzucać piłką, a dziewczęta kołysać biodrami i wymachiwać rękami w powietrzu.

– Uwaga, wszyscy – powiedział Jim. – Sytuacja jest już opanowana i nadszedł czas, aby zająć się pracą. Przeczytam wam jeszcze jeden wiersz i wtedy dostaniecie pół godziny na zrobienie notatek o tym, co według was oznacza.

Podszedł do biurka i podniósł jeden ze zbiorów wierszy.

– Napisał go poeta John Lupo, a nosi tytuł *Księga lat*.

*Wysoko na wietrznym wzgórzu,
Gdzie w dali błyszczą stalowoszare jezioro,
Czytałem Księgę lat,
A wiatr w trawie szeptał mi przypisy,
Wyjaśniając, co każde zdanie naprawdę znaczy.*

Kody, kadencje.

*Czytałem o moim dzieciństwie, o moim ojcu,
Braciach i dniach w szkole.
Wszystko tam było, moje dzieciństwo, w Księdze lat,
A wiatr w trawie ciągle szeptał do mnie:
„To właśnie twój nauczyciel tak bardzo próbował ci powiedzieć
I... widzisz... twój ojciec cię kochał, nawet jeśli nigdy nie znalazł
słów”.*

Kody, kadencje.

*A potem odwróciłem stronę i pojawiłaś się ty,
Roześmiana i tańcząca, a wiatr wiał ciepły.
Czytałem w Księdze Lat o tobie, jak tańczysz,
Czytałem o twoim śmiechu i łzach.
Ale potem przewróciłem stronę, a trawa powiedziała
Zmieszana: „Co? Gdzie ona jest?”
I dzień zrobił się nijaki, a stalowoszare jezioro już nie połyskiwało.
Zamknąłem Księgę lat, bo ciebie nie było.*

Kody, kadencje.

– Hej, człowieku, to wyciskacz łez! – zawołał z tyłu klasy DaJon Johnson. – Następnym razem może pan przeczyta nam taki wiersz, że wszyscy będziemy drzeć łacha.

Jim się uśmiechnął.

– Przeczytam taki, nie martw się – odpowiedział. Sięgnął po inną książkę, z żółtą okładką. – Ogden Nash, jeden z największych amerykańskich poetów humorystycznych. Następnym razem przeczytam wam jego wiersz *Trzynaste piętro*. To o włóczędze, który przychodzi do hotelu z zamiarem morderstwa, ale Maxie, boy w windzie, zabiera go na trzynaste piętro, gdzie mordercy muszą tańczyć węża conga w kółko wraz ze swoimi ofiarami przez całą wieczność.

Proszę... – powiedział, otwierając książkę, aby przeczytać kilka wersów.

*– Jesteśmy wyżej niż na dwunastym, a niżej niż na czternastym –
powiedział Maxie do żula.*

*– A przyprawiający o mdłości ciąg powietrza, co kala szyb,
To powiew królestwa, które nadejdzie.*

*Przyprawiający o mdłości ciąg powietrza, co kala szyb,
Wieje przez diabła drzwi!*

– To wcale nie jest śmieszne według mnie! – zaprotestował DaJon Johnson. – To raczej przerażające! Żywi i umarli razem tańczą, kurwa, węża conga, na wieki wieków? Kurde!

Lecz Jim patrzył na Simona Silence'a. Już nie uśmiechał się pod wąsem, ale szeroko, pokazując wszystkie zęby. Jim mógł niemal przysiąc, że jego oczy świecą jak dwie halogenowe lampki.

– Okay... Wróć za chwilę – powiedział Jim. – Zanotujcie kilka myśli o *Księżdzie lat*. Postarajcie się odnieść do tego, co poeta mówi o własnym życiu. Czy wasi rodzice próbowali powiedzieć wam, że was kochają, czy tę informację zachowali dla siebie? Czy słuchacie swoich nauczycieli, czy też zawsze myślicie, że wiecie lepiej? Czy kiedykolwiek straciliście kogoś, na kim naprawdę wam zależało? Gdybyście mieli napisać książkę o swoim życiu, jaki wybralibyście tytuł?

– *Jak cudowna jestem* – zaproponowała Jesmeka Watson.

– *Głupi i popieprzony, ale z naprawdę fajnymi włosami, część pierwsza* – powiedział Rudy Cascarelli.

Jim opuścił pracownię i zszedł na dół do głównego holu. Minął otwarte drzwi swojej sali i zobaczył, że malarze już prawie skończyli gipsować i malować sufit. Podłoga była pokryta pokropioną folią, a powietrze wypełniał silny zapach farby emulsyjnej.

Kiedy mijał pracownię zaawansowanego hiszpańskiego, wybiegła Sheila Colefax, przyciskając do piersi plastikowe teczki.

– Jim – rzuciła. – Jak się masz?

Jim stanął przed nią i podniósł obie ręce, by ją zatrzymać.

– Chwileczkę, Sheila, pozwól mi wytłumaczyć. – Bardzo powoli i ostrożnie rzekł: – *No debemos comer la carne como esto.*

Sheila zamrugła, patrząc na niego.

– Co chcesz mi powiedzieć, Jim?

– Próbuję powiedzieć: „Musimy przestać spotykać się w taki sposób”. To tylko żart, Sheila. Wiesz, jak bardzo cię lubię.

– Dobrze, dobrze. Rozumiem, że to żart. Ale następnym razem powiedz: *debemos parar el encontarnos como esto.*

Przed chwilą powiedziałeś: „Musimy przestać jeść mięso w ten sposób”.

– Och, kurczę, przepraszam. Muszę wrócić do rozmówek. Ale wiedziałeś, o co mi chodzi, prawda?

– Nie, szczerze mówiąc, nie. Jestem wegetarianką.

– Och. Okay. Jak było na The Woodpeckers?

– The Woolspinners. Nie poszłam.

– Nie ze względu na mnie, mam nadzieję?

– Nie. Tak, trochę, może. Chyba nie byłam w nastroju.

– Może innym razem, co? Sprawy się trochę w tej chwili skomplikowały.

– Wiem. Jestem zaskoczona, że w ogóle nie zamknęły szkoły.

– Gdyby ta ostatnia ofiara była uczniem, to myślę, że by zamknęły.

– Co się dzieje, Jim? – spytała Sheila. – Masz jakiś pomysł? Znasz się przecież dobrze na tej czarnej magii, co?

Jim pomyślał o satanistycznym obrazie Ricky’ego i wyrazie twarzy Simona, kiedy zacytował wiersz Ogdena Nasha o „powiewie królestwa, które nadejdzie”.

– Tak, chyba wiem trochę o tych przeróżnych magicznych sztuczkach. Ale nie mam pojęcia, o co chodzi w poszczególnych rytuałach... o ile to jest rytuał. Biała farba i osiem białych kotów. Nigdy nie słyszałem o czymś takim, nigdy.

Sheila dotknęła ramienia Jima.

– Muszę iść skserować te testy. Zobaczymy się później.

Jim patrzył, jak się oddala – w białej bluzce z wysoką stójką i czarnej obcisłej spódnicy, lekko kołysząc biodrami. Przyszło mu do głowy, że może ona lubi go bardziej, niż okazywała wcześniej. Może faktycznie, na swój własny sposób, po cichu, flirtuje z nim. Szkoda, że to nie był czas na to.

Zapukał do drzwi gabinetu doktora Ehrlichmana. Dyrektor rozmawiał z kimś przez telefon, recytując formułki, i jednocześnie nieprzerwanie wygładzał sobie łysinę. Kiedy Jim wszedł do jego gabinetu, bezgłośnie powiedział: „usiądź” i wskazał krzesło przed biurkiem. Jim machnął ręką na znak, że wolałby stać. Wiedział z doświadczenia, jak paskudne jest to siedzenie.

– Cóż, to bardzo hojne z pana strony – mówił doktor Ehrlichman do telefonu. – Naprawdę hojne. Mam nadzieję, że spotkamy się w Święto Dziękczynienia.

Odłożył słuchawkę, a potem złożył dłonie i uniósł brwi.

– Jim? – odezwał się. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chcę usunąć z mojej klasy tego chłopaka – oznajmił Jim. – Przykro mi.

– Którego chłopaka?

– Wie pan, o kim mówię. Simona Silence’a. Jedyne go syna wielbnego Johna Silence’a z Kościoła Świętego Wybuchu, czy jak on tam się nazywa.

Doktor Ehrlichman zareagował przesadnie.

– Simon Silence? Sam z nim rozmawiałem, gdy ojciec przywiózł go tutaj. Uznałem, że jest niezwykle uprzejmy i elokwentny, chętny do nauki.

– Właśnie. Dokładnie odwrotnie niż moi typowi uczniowie.

– Myślałem, że będziesz zachwycony, że masz takiego ucznia w klasie. Kogoś, kto wyznaczy poziom doskonałości, wzór do naśladowania dla kolegów.

– Walter... w klasie drugiej specjalnej nie ma „poziomów doskonałości”. Klasa specjalna przekroczy moje oczekiwania, jeżeli odnajdą jakikolwiek sens. To są dzieci, które nie wiedzą, jak z liter utworzyć słowa, nie mówiąc o składaniu zdań ze słów, a większość czasu mówią zagadkami. Na przykład: „Ema ziom?”.

– Słucham?

– „Co słyszeć, kolego?”, Walter.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego chcesz usunąć Simona z klasy. On może tylko poprawić średnią na koniec roku.

– Powód, dla którego chcę się go pozbyć, nie ma nic wspólnego z jego zdolnościami. Powód jest taki, że jest wredny i ma bardzo zły wpływ na resztę klasy, a nawet na mnie. Nigdy nie byłem w tak złym nastroju i nigdy w życiu nie zachowywałem się tak niestosownie.

Dyrektor wyszarpał chusteczkę z pudełka na biurku i ceremonialnie wydmuchał nos.

– Ambrozja – powiedział. – Zawsze mam od niej katar.

– Chcę się go pozbyć – nalegał Jim. – Chcę się go pozbyć dziś. Można przenieść go do innej klasy, obojętnie do której, ale nie mojej.

Jednocześnie, co dziwne, myślał o oferowanym przez Simona jabłku. Wyobrażał sobie, jak by wyglądało, różowo-zielone, i jak by smakowało. Ta słodycz, ten nagły wybuch kwaskowatości. I ta muzyka organów parowych, gdzieś daleko, daleko.

Proszę... chce pan jabłko? Mam ich mnóstwo.

Dyrektor Ehrlichman starannie złożył chusteczkę i wrzucił ją do kosza. Potem skrzywił twarz i powiedział:

– Przykro mi, Jim. Nie da rady.

– Oczywiście, że da radę. Ty jesteś dyrektorem, a on uczniem. Powiedz mu: „Idź do innej klasy”, i będzie musiał się przenieść. Koniec sygnałów dymnych.

– No cóż, w tym konkretnym przypadku jest to trochę bardziej skomplikowane. Bez owijania w bawełnę, wielebny Silence wyraźnie poprosił, aby Simon został zapisany do klasy drugiej specjalnej.

– To szaleństwo. On nie potrzebuje zajęć wyrównawczych z angielskiego. Potrzebuje tylko, żeby ktoś przestawił mu twarz. Cholerny dzieciak ciągle się uśmiecha, cały czas, jakby myślał, że coś jest śmieszne.

– Jim, to wygląda na osobistą niechęć.

– Walter... nic dziwnego, że wybrali cię na dyrektora! Tak doskonale rozumiesz naturę ludzką!

Doktor Ehrlichman wytknął palcem Jima i powiedział dyszkantem:

– Nie waz się na sarkazm w stosunku do mnie, Jim. Pastor uważa, że Simon musi nauczyć się więcej slangu ulicznego, by szerzyć Słowo Boże w gettach i wśród gangów. Jeżeli będzie mówił tak jak teraz, to ani przez chwilę nie będą go słuchać.

– Więc zapisał się do klasy specjalnej nie po to, żeby poprawić angielski, ale żeby zgłupieć. Wiesz co, Walter, nie sądzę, żeby istniał antonim dla „zajęć wyrównawczych z angielskiego”. Może West Grove powinien wymyślić taki. Moglibyśmy nazwać to: „ogłupiające zajęcia z angielskiego”.

– Starczy, Jim. Bardzo mi przykro, że nie zachodzi konstruktywna interakcja między Simonem a tobą, ale faktem jest, że wielebny Silence darował znaczną sumę pieniędzy na modernizację naszych obiektów sportowych.

– Co? – zdziwił się Jim. – Powiedz, że to nieprawda.

– Basen, jak wiesz, popadł w ruinę. Pilnie potrzeba nowego urządzenia filtrującego oraz nowych pomp, nowych kafelków. Wielebny Silence zgodził się przekazać nam na ten cel trzy i pół miliona.

– Trzy i pół miliona dolarów? Chce, żeby jego syn mówił jak ziomal, i jest gotów zapłacić za to trzy i pół miliona dolarów?

Doktor Ehrlichman wzruszył ramionami.

– Powinieneś być z siebie dumny, Jim. Twoja reputacja najwyraźniej sięga daleko. Wielebny Silence upierał się, żebyś to ty uczył Simona, właśnie ty. Wyświadczyłeś szkole wspaniąłą przysługę.

Jim powoli pokręcił głową.

– Przekonasz się, że zrobiłem dokładnie odwrotnie, Walter. Nadal masz zapchany nos?

– Tak. To przez ambrozię.

– Skoro masz zatknięty nos, nie możesz wyczuć obrzydliwej woni nadciągającego królestwa.

• • •

Jim ruszył z powrotem głównym korytarzem, gotując się ze złości. Kiedy dotarł do schodów, nauczyciel matematyki Roger Ball, z niechlujną brodą, w brązowej koszuli i brązowych sztruksach, minął go, skrzypiąc trampkami na grubych podszewach.

– Jim! Gdzie byłeś? Jak było na wakacjach? Laura i ja pojechaliśmy na Cancun! Ale się tam ubawiliśmy! Kupiliśmy taką butelkę tequili z robakiem w środku, a Laura... cholera, nie uwierzysz... Laura połknęła to cholerstwo! Połknęła to!

– Co? – spytał Jim, patrząc na niego, jakby go nie poznawał.

– Kupiliśmy jedną z tych butelek tequili z robakiem w środku – powiedział Roger Ball, tym razem mniej pewnym tonem.

– Tak? I?

– Laura... połknęła go.

Jim wpatrywał się w niego. Był tak wściekły, że sam bał się tego, co powie. Wiedział, że to nie jest wina Rogera Balla, że on musi zatrzymać Simona Silence'a w swojej klasie, ale teraz tak się czuł, że krzyczałby na wszystkich, nawet na dozorcę.

Odrzucił się od Rogera Balla i zaczął wchodzić po schodach.

– Może napijemy się kiedyś wieczorem?! – zawołał za nim Roger Ball. – Mógłbym poprosić Henry’ego i Ricarda, aby też poszli. Może moglibyśmy pójść na hamburgery?

Jim nie odpowiedział. Był zaledwie w połowie schodów, gdy jakaś dziewczyna znalazła się na ich szczycie. Była szczupła i ubrana w szarą, powłóczystą, dżersejową suknię. Jej długie jasnobrązowe włosy falowały, jakby rozwiewał je wiatr.

Wysoko na wietrznym wzgórzu...

Kiedy Jim pokonał trzy kolejne schody, dziewczyna odwróciła głowę i spojrzała na niego. Poznał ją od razu, pamiętał ze zdjęcia. Była piękna, jeszcze piękniejsza niż jej matka. Te piwne oczy i kocie rysy, lekko wydęte wargi w uśmiechu.

Czytałem w Księdze lat o tobie, jak tańczysz.

Jim poczuł, jak cała skóra na nim się kurczy. Chwycił się mocno poręczy i przez ułamek sekundy myślał, że straci równowagę i polecą do tyłu. Jednak tylko się potknął i uderzył lewym kolaniem o stopień przed sobą.

– Jim! – krzyknął Roger Ball. – Jim, nic ci nie jest?

Teraz jednak Jim wchodził po schodach tak szybko, jak tylko mógł. Zanim dotarł na szczyt, dziewczyna była już w połowie korytarza.

– Bethany – zawołał. – Bethany!

Rozdział 12

Zanim dotarła do końca korytarza, odwróciła się. Oświetlało ją słońce sączące się przez przedostatnie okno w taki sam sposób, jak został oświetlony Simon, gdy pierwszy raz wszedł do sali tamtego ranka. Niebiański promień z nieba.

– Bethany – wysapał Jim. Biegł teraz, a luźne monety pobrzękiwały mu w kieszeniach spodni.

Wiedział, że Bethany nie żyje. Nie łudził się, że w jakiś tajemniczy sposób wróciła do życia albo że Jane popełniła błąd przy identyfikacji. Lecz od kiedy skończył siedem lat, miał zdolność widzenia ludzi, którzy nie żyli, i rozmawiania z nimi – zwłaszcza jeśli oni chcieli, aby ich ujrzął i porozmawiał z nimi – a jeśli jego nieżyjąca córka, o której istnieniu wcześniej nie wiedział, chciała z nim teraz porozmawiać, to była okazja, której nie zamierzał przegapić.

Zwolnił. Był zdyszany. Otaczające ją światło słoneczne oślepiło i roilo się w nim od złotych drobinek kurzu.

Wyglądała tak świetliście, że ledwie widział jej twarz, a jasnobrązowe włosy falowały wokół jej głowy na niewyczuwalnym wietrze.

– Bethany – rzekł. – Co ty tu robisz?

– Przyszłam do ciebie, tato. – Głos miała bardzo stłumiony, jakby mówiła do niego z wnętrza szafy przez zamknięte drzwi. – Przyszłam ci coś powiedzieć.

– Nie wiedziałem o tobie, kochana – wyjaśnił Jim. – Twoja mama nie wspomniała mi o tobie ani słowem. Nie wiedziałem, że się urodziłaś.

– Chcę wrócić, tatusiu.

Jim miał łzy w oczach, ale musiał pokręcić przecząco głową.

– Nie możesz wrócić, kochanie. Nie ma sposobu, żebyś wróciła.

– Możesz to zrobić, tatusiu. Wiem, że potrafisz.

– Nie mogę, kochanie. Gdybym tylko mógł...

– Pomyśl o tych wszystkich rzeczach, które moglibyśmy zrobić razem, tatusiu. Moglibyśmy jeździć na pikniki. Moglibyśmy spacerować brzegiem morza. Moglibyśmy razem czytać książki na wietrznym wzgórzu. Moglibyśmy rozmawiać i rozmawiać, i rozmawiać, i nigdy nie kończyć rozmów.

Jim wyciągnął do niej rękę, chociaż wiedział, że nawet jeśli by jej dotknął, w ogóle by tego nie poczuł. To był tylko duch Bethany, a nie jej ciało. Jak Ogden Nash napisał w swoim wierszu o trzynastym piętrze: *Czyste dusze ulatują do domu w niebie.*

– Proszę, tatusiu – powtarzała Bethany. – Proszę, znajdź sposób. Simon ci pomoże.

– Simon? Masz na myśli Simona Silence'a?

Bethany przytaknęła.

– Simon ci pomoże. Musisz go tylko poprosić.

– Skąd znasz Simona? Bethany... skąd znasz Simona?

– Tato, nie bądź na mnie zły.

– Nie jestem zły, kochanie, ale muszę zrozumieć, jaki... jaki to ma związek. Jak Simon może mi pomóc sprowadzić cię tu z powrotem? Odeszłaś, a ja żałuję tak bardzo, że nie poznałem cię przedtem, jednak nie znam sposobu, abyś wróciła. Przykro mi. Tak bardzo mi przykro, ale to prawda.

– Mogę wrócić, tatusiu. Wszyscy możemy wrócić. Simon ci pomoże.

– Bethany...

– Moglibyśmy spacerować brzegiem morza, tatusiu. Pamiętasz morze. Moglibyśmy pojeździć na konikach na karuzeli.

In the Good Old Summertime...

Jim poczuł, jakby przez podłogę pod stopami falą przeszło drzenie.

– Co o tym wiesz? – spytał.

– Możemy poczytać książkę na wietrznym wzgórzu. Możemy rozmawiać i rozmawiać, i rozmawiać, i nigdy nie kończyć rozmów.

– Co wiesz o morzu?

Lecz teraz Bethany odwróciła się i słońce zaświeciło jeszcze jaśniej, wręcz oślepiająco, a ona po prostu rozplynęła się przed nim.

Został tam, gdzie stał, a łzy spływały mu po policzkach. Słońce powoli gasło i zasłoniła je chmura.

– Panie Rook? – rozległ się czyjś głos i był to głos, który rozpoznał.

– O co chodzi, Simon? – spytał, odwrócony do niego plecami.

– Chciałem się po prostu upewnić, czy wszystko z panem w porządku.

Jim przetarł twarz dłońmi.

– A jest jakiś powód, dla którego nie powinno być?

– No cóż... zawsze jest to bardzo stresujące, gdy traci się kogoś kochanego. Zwłaszcza jeśli nigdy nie miało się szansy poznać tej osoby.

Jim odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku pracowni plastycznej. Drzwi były otwarte, a z wewnątrz dochodziły typowe odgłosy... chłopcy rzucali piłką do baseballu i wybijali rytm na ławkach, a dziewczyny śmiały się, rozmawiały i śpiewały.

Simon Silence w białej, luźnej, lnianej koszuli i szerokich białych spodniach stał przed drzwiami. Nie uśmiechał się jednak, a jego twarz zdawała się zmieniać w pewien subtelny sposób. Nos stał się bardziej płaski, a oczy wydawały się bardziej skośne niż przedtem. Wyglądał też starzej, chociaż Jim nie potrafił zrozumieć dlaczego.

Trzymał jabłko... różowo-zielone i lśniące.

– Już je dla pana wytarłem – powiedział.

Jim zawahał się, a potem je wziął.

– Jaką grę prowadzisz, Simon? O co chodzi?

– Żadnej gry, panie Rook. Sam ją pan widział, prawda?

– Nie mów mi, że też ją widziałeś.

Simon Silence pokręcił głową.

– Ja tego nie potrafię. Nie mam takich zdolności jak pan. Ale słyszałem, jak wołał pan jej imię i jak pan z nią rozmawiał.

– Domyślasz się więc, co powiedziała.

– Tak.

Zapadła między nimi długa cisza. Potem Jim się odezwał:

– Wróćmy do klasy, dobrze? Zobaczymy, czy cała reszta pragnie być tak dobra z angielskiego jak ty. I zobaczymy, czy ty możesz nauczyć się trochę więcej slangu ulicznego.

– W porzo.

– Nie próbuj ze mnie drwić, Simon. Mówię poważnie. Ty i ja musimy usiąść w czasie przerwy i porozmawiać.

– Oczywiście, proszę pana – odpowiedział Simon Silence i wrócił na swoje miejsce.

Jim stanął przed klasą i podniósł rękę, prosząc o ciszę.

– Posłuchajmy kogoś, kto nie wypowiedział się wcześniej. – Przenosił wzrok z jednej znudzonej twarzy na kolejną, aż zatrzymał się na ślicznej jak dziecko dziewczynie o blond lokach. Dziś miała na sobie obcisły biały T-shirt z hasłem POKONAŁAM ANOREKSJĘ na piersiach, wypisanym błyszczącymi szkarłatnymi literami. Żuła gumę i patrzyła gdzieś w dal.

– Ty – powiedział Jim. – Jak się nazywasz?

– Mówi pan do mnie? – spytała piskliwym głosem, wskazując na siebie, jak Robert De Niro w *Taksówkarzu*.

– Tak, mówię do ciebie. Powiesz nam, jak masz na imię?

– Och... Okay, Hunni. Pisze się tak samo jak „funny”, ale z „i” zamiast „y”. Hunni Robards.

– Okay, Hunni, co czułaś, kiedy czytałem *Księżę lat*?

– Co czułam? Żał mi było siebie. To czułam.

– Dlaczego, Hunni?

– Żał mi było siebie, bo to ja się śmieję, tańczę i rozpalam cały świat, aż wiatr robi się ciepły, a potem, tak jakby, wypisuję się z niego. To trochę tak, jakby się było najlepszą postacią w serialu, wie pan, jak w *Dniach naszego życia*, aż tu nagle człowiek łapie jakąś śmiertelną chorobę albo potrąca go ciężarówka i nawet nie może wrócić w późniejszym odcinku, chyba że we śnie.

– Więc naprawdę myślałaś, że wiersz był o tobie.

- Tak, właśnie tak - odpowiedziała Hunni, żując gumę jeszcze intensywniej. - Absolutnie i zdecydowanie.

Jim wskazał Kyle'a Baxtera, który siedział w pierwszym rzędzie.

- A ty, Kyle? Co ten wiersz znaczył dla ciebie?

- Czułem bardzo mocno, że został napisany o mnie. Wiatr szeptał w trawie, wyjaśniał, jak łączyć słowa tak, żeby można było zrozumieć, co oznaczają. A potem ten refren „koda”, co oznacza wniosek albo zdanie kończące, i „kadencja”, czyli solo wirtuoza w utworze muzycznym, zazwyczaj pod koniec.

- Hej, chłopie, dobrze, że wyjaśniasz - wtrącił DaJon Johnson. - Myślałem, że koda kadencja to jakiś narkotyk jak, no wiesz, kodeina, jakby ten kolo, co napisał wiersz, zgrzał sobie mózg.

Jim chodził z jednej strony sali na drugą. Czuł, że wykrywa tu jakiś schemat. Nie było niczym niezwykłym, że jego uczniowie postrzegali świat wyłącznie z własnego punktu widzenia. Wielu z nich mieszkało całe życie w tej samej dzielnicy i rzadko odważało się wybrać dalej niż do sklepiku na rogu. W przeszłości miał uczniów, którzy nigdy nawet nie byli na plaży, mimo że mieszkali od niej mniej niż dwadzieścia minut drogi, a inni nigdy nie widzieli oceanu.

Lecz dziś rano prawie wszystkie odpowiedzi klasy były samolubne niemal do granic absurdu. Zarówno Jesmeka Watson, jak i Rebecca Teitelbaum chciały być gwiazdami - „mega sawna”, jak napisała Jesmeka - i być uwielbiane przez tysiące. Joe Chang chciał zostać członkiem gangu, który wzbudza strach, gdziekolwiek się pojawi. Nawet Kyle Baxter - Słownikowy Koles - chciał, aby cały świat wiedział, że jest mądrzejszy od wszystkich.

Tak samo było z wierszem *Księga lat*. Każdemu uczniowi wydawało się, że poeta napisał go specjalnie dla niego, jak gdyby znał go osobiście.

Jim był zawsze świadom, że jednym z najważniejszych aspektów jego pracy jako nauczyciela angielskiego na zajęciach wyrównawczych było rozbudzanie wrażliwości uczniów na potrzeby innych ludzi - zwłaszcza gdy chodziło o potencjalnego pracodawcę, który oceniał ich przydatność

do pracy. Jednak po zaledwie dwóch dniach ta klasa zaczęła wykazywać oznaki obojętności na potrzeby innych, a troskę jedynie o swoje własne.

A może jestem po prostu przewrażliwiony, pomyślał Jim. To w końcu tylko dzieci, a dzieci są z definicji samolubne. Może po prostu stary zrzęda ze mnie.

Podszedł do chłopca z rudymi włosami i obfitym czerwonym trądzikiem, który siedział tuż za Joem Changiem. Dziś miał na sobie czarny T-shirt obsypany łupieżem na ramionach.

– Jak masz na imię, synu? – zapytał go.

– Tomas... hm, Tommy. Tommy Makovicka.

– Makovicka? To niezwykle. Co to za nazwisko?

– Czeskie, proszę pana. Mój pradziadek pochodził z Kladna; to miasto w pobliżu Pragi.

– Dobrze. Interesujące. Czy „Makovicka” coś znaczy? Wiem, że większość czeskich nazwisk ma jakieś znaczenie. Na przykład „Rybar” jest rybakiem, a „Novak” oznacza kogoś, kto jest nowy w mieście.

Tommy Makovicka zaczerwienił się bardziej niż kiedykolwiek.

– Tak, proszę pana, znaczy. Oznacza makówkę.

Poza Simonem Silence’em wszyscy w klasie wybuchnęli śmiechem. Jim natychmiast podniósł rękę, aby ich uciszyć.

– Dobrze, dobrze. Nie kuście mnie, abym przeszedł się po sali i powiedział wam, co naprawdę oznaczają wszystkie wasze nazwiska. Niektórym z was nie będzie do śmiechu, wierzcie mi.

Odwrócił się do Tommy’ego Makovicki i powiedział:

– Dobrze, Tommy, co *Księga lat* znaczy dla ciebie... jeśli w ogóle coś?

– Część z niej jest prawdą, a część nie jest.

– Słucham? Chcesz to wyjaśnić?

– Kiedy mówi, że mój tata mnie kochał, nawet jeśli nigdy tego nie powiedział, to nie jest to prawda. Nigdy tego nie powiedział, ponieważ nigdy mnie nie kochał. Kochał tylko moją siostrę, Khristę. Zawsze jej mówił, jaka jest mądra i jaka piękna, a mi zawsze, że jestem głupi i brzydki.

– Nie można winić kołosa za to, że mówi prawdę! – zawołał DaJon Johnson.

Jim odwrócił się do DaJona Johnsona i wykonał gest zamykania zamka błyskawicznego na ustach, a potem powiedział:

– Dobrze, Tommy... a która część wiersza jest według ciebie prawdą?

– Khrista zawsze śmiała się i tańczyła, jak mówi wiersz. Zawsze flirtowała i wychodziła z tymi naprawdę złymi facetami, tylko dlatego, że mieli pieniądze i supersamochody. „Śmiech i łzy”, tak to jest opisane w wierszu, i to jest prawda, bo ci faceci zawsze traktowali ją źle, ale ona wciąż wracała do nich po więcej. Pewnego dnia nie wróciła do domu i znaleźli ją w Selma Park. Nie żyła. Jeden z tych facetów musiał dać jej za dużo hery, a potem zostawił ją, kiedy przedawkowała. Więc to jest ta prawdziwa część wiersza. Dajesz komuś za dużo, więcej niż na to zasługuje, a skończy się na tym, że go zabijesz. I nie ma go.

– Cóż, to bardzo smutna historia, Tommy, choć nie jestem pewien, czy tak naprawdę ten wiersz to wyraża, i nie za bardzo wiem, o co tobie chodzi.

– Chodzi o to, że byłem zadowolony, kiedy umarła – powiedział Tommy zaczerwieniony na twarzy jeszcze bardziej. – To tak, jakbym w końcu zemścił się na moim tacie. To było lepsze, niż wbić w niego nóż, bo stracił piękną, mądrą Khristę na zawsze, a został z głupim, brzydkim mną, i to była jego wina. O tak!

Klasa milczała. Jim zobaczył, że jeden lub dwóch uczniów patrzy na Tommy'ego i są najwyraźniej zaszokowani. Ale większość z nich wyglądała tak, jakby zrozumiała, jak się czuł, a niektórzy z nich nawet kiwali głowami z aprobatą.

Odwrócił się do Simona, aby zobaczyć, czy się uśmiecha, i oczywiście – uśmiechał się. Ale to nie był ten krzywy, chępliwый uśmiech co zwykle. Był to uśmiech cichego przyzwolenia, jak gdyby wszystko działało się tak, jak tego chciał.

– Dobrze – odezwał się Jim. – Myślę, że wystarczy o *Księdze lat*. Poeta, który to napisał, John Lupo, sam powiedział, że to wszystko dotyczy pamięci i tego, jak inaczej widzimy nasze życie, gdy patrzymy na nie

z perspektywy czasu. Dlaczego, do cholery, nie widzimy niektórych rzeczy, kiedy dzieją się tuż pod naszym nosem? Dlaczego nie uświadomimy sobie, co się nam przydarza, zanim jest za późno? Tak czy inaczej, teraz mam zamiar wręczyć wam ćwiczenia na ten temat. To tylko dziesięć zdań. W niektórych zdaniach są słowa zawierające błędy: ortograficzne albo bardzo poważne gramatyczne.

– Grama tyka? – DaJon Johnson zmarszczył czoło. – Jak gramy koki?

– Gramatyka, jak w języku angielskim, DaJon. Myślę, że nawet ty to rozumiesz.

Zaczął iść wzdłuż ściany, rozdając po cztery kartki uczniom siedzącym na skraju stołu, by przekazali je dalej. Właśnie podał cztery arkusze Tommy'emu Makovicce, kiedy jego uwagę przykuło jedno z kilkudziesięciu zdjęć na ścianie obok.

Wśród krzykliwych krajobrazów, koślawych wazonów ze storczykami oraz pokracznych zwierząt przypięty był mały, ciemny portret uśmiechniętego mężczyzny. Jim zauważył go dlatego, że lśnił w porannym słońcu. A poza tym zdjęcie wyglądało o wiele bardziej profesjonalnie niż wszystkie pozostałe.

Podszedł, aby przyjrzeć mu się z bliska. Gdy się zbliżył, przeszedł go takie same ciarki jak wtedy, kiedy Bethany pojawiła się na górze schodów. Portret był pomniejszoną wersją ostatniego Gawędziarza, którego starał się namalować Ricky, z szarą skórą, guzowatymi rogami i triumfalnym uśmiechem. Sześcioro lub siedmioro małych dzieci zebrało się wokół niego z wyczekującymi minami, jakby spodziewały się, że opowie im, że Bóg jest pompatyczny, że jak Jezus był bezpłodny i że Biblia to tylko kłamstwa, zagadki i bajki.

I znowu, bez żadnego ostrzeżenia, Jim poczuł głęboki przypływ władzy, jakby ta szatańska istota mogła mu dać siłę, by uczynił wszystko, co zechce. Jak dotąd używał daru widzenia duchów i demonów tylko w celu ochrony siebie, swoich przyjaciół i uczniów i by dać ukojenie wielu biednym, zagubionym duszom, które nie rozumiały, że już odeszły. Ale teraz, gdy patrzył na to zdjęcie, poczuł, że może nie tylko rozmawiać

z nieżyjącymi, jeśli się pojawiają, ale także ich wzywać. Potrafi ich przywołać, a gdy już ich wezwie, będzie mógł im rozkazywać.

Cofnął się. Miał świadomość, że Simon go obserwuje. Widział go kątem oka, ale się nie odwrócił. Zamiast tego, podał cztery testy Alvarezowi, a następnie przeszedł, żeby dać kolejne cztery DaJonowi Johnsonowi.

– Ile mamy na to czasu, proszę pana? – spytał DaJon. – Bo trochę powoli czytam, nie? Muszę delektować się każdym słowem jak dobrym winem, nie?

Jim nie udzielił mu odpowiedzi. Patrzył przez okno na tyły szkoły, na trawiasty stok i las ekaliptusowy w dole. Na stoku stało ponad siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt osób i wszystkie patrzyły na niego. Trwały w całkowitym bezruchu i miały blade twarze. Nawet czarni i Azjaci mieli szare, właściwie popielate oblicza.

Niektórzy byli ubrani w zakurzone garnitury albo wyblakłe bluzy, szare i rdzawe. Inni nosili poźółkłe koszule nocne lub pogniecione piżamy. Poranny wiatr rozwiewał im włosy i szarpał ubrania, ale nikt z nich się nie poruszył.

Jim stał i patrzył na nich przez prawie minutę. Po pewnym czasie zorientował się, że Simon Silence stoi bezpośrednio za nim.

– Chyba zapomniałeś, że masz test do napisania – rzekł Jim, choć wiedział, że nie brzmi to zbyt autorytatywnie.

– Co pan widzi? – spytał Simon cicho. – Na co się pan patrzy, tam na trawniku? Tam nic nie ma, nic nie widzę.

– Myślę, że wiesz dokładnie, na co patrzę – odpowiedział mu Jim. – Co oni wszyscy tutaj robią?

Simon Silence nie odpowiedział od razu, więc Jim odwrócił się twarzą do niego. Nie było wątpliwości, że rysy Simona uległy zmianie, a jego czoło zdawało się o wiele bardziej wydatne, jakby stale się marszczył.

– To pan ich wezwał. Usłyszeli pana i przyszli. Teraz to nie potrwa długo, a będzie miał pan moc przywoływania ich wszystkich... wszystkich, a oni przybędą z drugiej strony setkami tysięcy. Milionami.

- Ale dlaczego, do cholery, miałbym ich wzywać? Powiedz mi to.

Simon Silence zareagował na to chytrym uśmiechem samozadowolenia.

- Wezwie ich pan, ponieważ jest pan jedyną osobą, która to potrafi, i dzięki temu poczuje się pan silniejszy niż ktokolwiek na ziemi czy w niebie. To sprawi, że poczuje się pan jeszcze większy od Pana Boga Nie-Tak-Bardzo-Wszechmogącego, amen.

Rozdział 13

Jim patrzył jeszcze przez kilka sekund na ludzi stojących nieruchomo na trawniku i po chwili odezwał się do Simona Silence'a:

– Wróć na miejsce, dobrze? I bierz się do pracy.

– Nie idzie pan na zewnątrz powitać swoją trzódkę? – spytał Simon z udawanym zdziwieniem. – Czekają na pana.

– Sam powiedziałaś, że nie można ich zobaczyć – odparł Jim. – Skąd w ogóle wiesz, że tam ktoś jest?

– Och, oni na pewno tam są, panie Rook. Czuję ich. Mój ojciec mówi, że zawsze można wyczuć, kiedy zmarli są w pobliżu. Czuję się, że wiatr się zmienił i ciśnienie spada.

– Simon, po prostu usiądź i skończ zadanie.

– Jak pan sobie życzy. Mam tylko nadzieję, że pana stadko nie będzie rozczarowane.

Jim nic nie odpowiedział, podszedł do biurka. Miał ochotę wyjść przed szkołę i powiedzieć zebranym duchom, że nie ma im nic do zaoferowania i że będzie lepiej, jeśli wrócą na drugą stronę. Oni nie żyli, a on nie znał sposobu, by przywrócić ich do życia, nawet jeśli Simon Silence twierdził inaczej.

...

Przez większość popołudnia uczył klasę specjalną, jak pisać trudne słowa, jak *necessary*, *argument* i *geography*.

– Musicie tylko nauczyć się krótkiego zdania, to wszystko. To się nazywa mnemotechnika, ale tego akurat słowa nie musicie pamiętać. Weźmy słowo „grzebać”... Po prostu powiedzcie sobie: „Gdzie Raki Zimują Ewentualnie Bobry Albo Ćmy”. Albo słowo „fantazja”... „Fotki Anki Na Tarasie Absolutnie Załatwią Jej Angaż”. Albo „suita”... „Sto Udźców I Tysiąc

Antrykotów” – wyjaśnił, a potem dodał: – Jest kilka zasad dotyczących pisowni, na przykład taka, że „uje” się nie kreskuje.

– O, to już wiem, jak pisać „chuje” – powiedział DaJon Johnson.

– Zamierzam zignorować ten komentarz – odparł Jim. – Nie obchodzi mnie, jak mówią na ulicy. Ale tutaj, w tej sali, będziecie uczyć się mówić i pisać tak, abyście mogli siebie chronić przed... potencjalnym pracodawcą, nauczycielem, policjantem, kierownikiem sklepu, kelnerem w restauracji... kimkolwiek... bez względu na to, co się wydarzy. Wiedzieć, jak mówić gramatycznie i pisać poprawnie, to wasza największa siła.

Na zakończenie dnia Jim przeczytał im fragment z *Głoś to na górze*, powieści Jamesa Baldwina o Kościele Zielonoświątkowców w Harleemie zwanym Świątynią Ochrzczonych Ogniem. DaJon Johnson zamknął oczy i przysnął, ale Jim pozwolił mu na to. Nie chrapał zbyt głośno, a on czytał głównie dla Simona, nikogo innego.

W ostatnich scenach powieści bohater John ma odrealnioną wizję nieba i piekła i uważa, że odnalazł Jezusa. Ale wielbny Gabriel, przywódca Kościoła, który go zainspirował, jest moralnym hipokrytą i ma paskudną przeszłość kobieciarza, pijaka i cudzołożnika.

– Czego więc dowiadujemy się z tej krótkiej historii? – spytał Jim, zamykając książkę i spuszczac ją z hukiem na biurko, tak że DaJon obudził się gwałtownie.

Zanim ktokolwiek w klasie zdążył zareagować, powiedział:

– Dowiadujemy się, że czasami ludzie, którzy uważają się za posłańców Boga, nie są tymi, kogo udają. Czasem wykorzystują ludzkie słabości i wady, aby osiągnąć własne cele. Żeby zarabiać pieniądze, zaspokajać potrzeby seksualne lub po prostu dlatego, że lubią dominować nad innymi ludźmi, do tego stopnia nawet, by podejmować decyzje o ich życiu czy śmierci. Pomyślcie o Jonestown. To jest jeden z powodów, dla których musicie być bardzo dobrzy z angielskiego... abyście wiedzieli, kiedy ktoś was nabiera. Może to być sprzedawca albo gracz w karty, lub kapłan, to nie ma znaczenia. Ważne jest, by być w stanie odróżnić tego, kto mówi prawdę, od oszusta.

Simon Silence uniósł rękę.

- Jest pan naprawdę bardzo cyniczny, panie Rook. A co z wiarą? Przecież gdyby wszyscy z uczniów Jezusa podejrzewali, że był on oszustem, chrześcijaństwo nigdy by nie powstało.

- Być może - odpowiedział Jim. - Ale gdyby wszyscy widzieli, że Szatan to skończony oszust, religia chrześcijańska nie byłaby potrzebna. Zbawienie nie jest potrzebne, jeśli wiesz, jak się samemu zbawić.

...

Całe popołudnie opierał się pokusie, aby podejść do okna i sprawdzić, czy zmarli wciąż stoją na trawniku na dole. W końcu, kiedy ostatni maruderzy znaleźli się za drzwiami, przeszedł na tył klasy i wyjrzał przez okno.

Nie było nikogo poza dwiema dziewczynami ze szkolnej drużyny lekkoatletycznej, brunetką i blondynką, które razem biegały.

Postał tak przez chwilę i doszedł do wniosku, że zmarli już wrócili na tamten świat, przynajmniej na razie. Nie wiedział, czy ma ich żałować, czy nie. Było im prawdopodobnie lepiej tam, gdzie teraz byli.

Zatrzasnął teczkę, zamknął za sobą drzwi pracowni i pojechał do domu.

...

Gdy wchodził po schodach do siebie, Summer nagle otworzyła drzwi mieszkania i wyszła. Włosy miała zawinięte w ręcznik, a na sobie różowy top i krótką różową dzinsową spódniczkę z aplikacją w postaci uśmiechniętego kota z kreskówki. Na lewym policzku, w miejscu, gdzie ją uderzył, wciąż widniał fioletowo-żółty siniak.

- Summer - odezwał się Jim. - Chciałem zajrzeć do ciebie później. Chyba jestem ci winien poważne przeprosiny, co najmniej.

Summer powoli pokręciła głową.

- Nie musisz przeproszać, Jimmy. To była tak samo moja wina, jak i twoja.

- Summer, na miłość boską. Właściwie cię zgwałciłem!

- Tylko dlatego, że nie byłam w nastroju do tego. W innym razie chętnie bym współpracowała.

– Słucham?

– Ja naprawdę, naprawdę cię lubię, Jim. Chciałabym, żebyśmy czasem zaszaleli. Ale jak równy z równym, dobrze? Nie żebyś na mnie skakał albo ja na ciebie. Albo przynajmniej na zmianę.

– Uderzyłem cię – odpowiedział Jim. – Jak możesz mi to wybaczyć?

– Hm, to łatwe – odparła. Odwróciła się lekko, a potem zamachnęła i uderzyła go w twarz, i to tak zaskakująco mocno, że prawie stracił równowagę i upadł do tyłu na barierkę.

– Jezui! – wykrztusił z siebie. – Cholera! – Przycisnął dłoń do policzka i dodał: – Cholera, Summer, to naprawdę boli.

Summer uśmiechnęła się do niego i odpowiedziała:

– No... zostało ci wybaczone! Pasuje?

Jim znowu dotknął policzka.

– Cholera. – Wtedy podszedł do niej, przygarnął ją do siebie i pocałował prosto w usta. Summer właśnie nałożyła różowy błyszczek, który smakował syntetycznymi truskawkami, ale on się tym nie przejmował; w zasadzie ta taniość wydawała mu się podniecająca. Summer też objęła go za szyję i stali tak na schodach, całując się przez ponad minutę, a ich języki walczyły ze sobą jak dwie rozgniewane foki.

Summer chwyciła Jima przez spodnie i powiedziała:

– Chcę cię, Jimmy Rook. Nigdy w to nie wątp. Ale to musi być jak w raju.

Jim przestał ją całować i uniośł brwi; stała tak blisko, że jej twarz była nieostra.

– Co masz na myśli, mówiąc „raj”?

– Tylko ty i ja, Jimmy. Nikt inny. Zupełnie jak w Edenie.

– Nie jestem zbyt pewien, czy dobrze rozumiem, co mówisz.

Summer ścisnęła go po raz drugi i pocałowała.

– Zrozumiesz, o co chodzi, Jimmy, jak do tego dojdzie. Kiedy nastanie królestwo. Kiedy przyjdziemy, ty i ja. Będziemy nadzy i będziemy tego świadomi, ale nie będzie nas obchodzić, co Bóg o tym myśli.

Pocałowała go jeszcze raz, a potem znowu i znowu.

– Idę się uczesać, zrobić na bóstwo i może uda nam się spotkać później. Co ty na to?

Jim nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Oczywiście, pragnął jej, ale ta mowa o raju i Bogu wyraźnie go zaniepokoiła. Mówiła prawie jak Simon Silence, z tymi dziwnymi quasi-religijnymi komentarzami i bajdurzeniem o „Bogu Nie-Tak-Bardzo-Wszzechmogącym”.

– No pewnie, w porządku – odpowiedział. – Może wpadniesz na drinka? Powiedzmy... około dziewiątej, dziewiątej trzydzieści?

Summer pochyliła się i szepnęła mu do ucha, a jej oddech był jak gorący grzmot.

– Będę ssać go dla ciebie.

Jim bezwiednie uśmiechnął się jak idiota. Pomyślał: Jak inaczej mam zareagować? Powiedzieć: „Super, nie mogę się doczekać, ale nie masz nic przeciwko, jeżeli trochę mniej będziemy rozmawiać o Starym Testamencie?”.

Summer pomachała mu palcami i zniknęła w mieszkaniu. Jim stał tam przez kilka sekund, policzek nadal piekł go z bólu. W głowie śpiewał mu Kenny Rogers: *You picked a fine time to leave me, Lucille (...with four hungry children and a crop in the field...)**. Nigdy w życiu nie czuł się tak oderwany od rzeczywistości. Takie rzeczy się nie zdarzały. Nie widywał siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu dusz stojących za oknem, aby potem wrócić do domu i zostać spoliczkowanym przez striptizerkę kosmetyczkę, która mówi, że według niej gniew boży nic nie jest wart.

Z trudem pokonał ostatni odcinek schodów i otworzył drzwi do swojego mieszkania. Tibbles opuścił już kryjówkę i siedział na stole w kuchni, chociaż wiedział, że nie wolno mu tam wchodzić. Normalnie zeskakiwał, gdy tylko Jim wracał do domu, ale tego wieczoru został na miejscu, mrużąc oczy, jakby beczelnie wystawiał Jima na próbę.

– No, jak się masz, grubasie? – zapytał Jim. – Przeszły ci fochy, co? Tylko pamiętaj, że należysz do mnie, a nie odwrotnie. Ja właściciel, ty zwierzę, nie startuj więc do mnie z pazurami i prychnaniem, bo znowu ci się tak samo oberwie albo nawet bardziej.

Przeszedł do salonu i włączył telewizor, ścisząc dźwięk. Na zewnątrz słońce zaczęło się chować za jukami, tak że niebo wyglądało jak grill ogromnego pieca. Nie mógł przestać myśleć o tym, co Simon Silence napisał w swoim eseju o raj. *Raj nastanie w dniu, kiedy po całym świecie rozprzestrzenia się pożary. Będą widoczne od jednego horyzontu po drugi.*

Wrócił do kuchni i otworzył lodówkę. Wczoraj rozmroził kotlet schabowy, więc chyba powinien go dzisiaj przyrządzić i zjeść, ale zupełnie nie miał na to ochoty. Smak zmieniał mu się tak bardzo z dnia na dzień. Tego wieczoru tak naprawdę miał chęć na *fajitas* z kurczaka, z piekielnie ostrym sosem chili.

Otworzył teczkę. Rączka, którą naprawił, znowu odpadała, więc pomyślał, że spróbuje naprawić ją ponownie albo kupi nową teczkę. Gdy ją otworzył, różowo-zielone jabłko *paradise*, które dał mu Simon Silence, potoczyło się przez pół stołu.

Tibbles powąchał je i natychmiast zeskoczył ze stołu na podłogę.

– Co się z tobą dzieje? – spytał go Jim, podnosząc jabłko i podsuwając je kotu. – Nie lubisz owoców? No cóż, oczywiście, że nie, jesteś kotem. Muszę przyznać, że nigdy nie widziałem kota jedzącego banana.

Tibbles syknął na niego i wycofał się do salonu, prężąc grzbiet. Jim poczuł przyływ rozdrażnienia i miał szczerą chęć chwycić go i wyrzucić przez balkon na podwórze. Jednak Tibbles odwrócił się i uciekł do sypialni, jak gdyby czytał jego myśli.

Jim opłukał jabłko pod kranem w kuchni i wgrzył się w nie. Zastanawiał się, czy powinien je przyjąć, zważywszy, jak bardzo nie lubił Simona i jak bardzo mu nie ufał, jednak sam nie potrafił oprzeć się jabłku. To było coś o wiele więcej niż jabłko, słodkie i kruche. Było prawie jak kolejny odcinek ciągnącej się opowieści – historii, która stopniowo nabierała coraz większego sensu, z każdym jabłkiem *paradise*, które zjadał. Musiał się dowiedzieć, jak się skończy ta historia, nawet jeśli oznaczało to utratę własnych zasad.

Wrócił do salonu, aby zobaczyć, co jest w telewizji. *Koło fortuny* czy program dla odchudzających się, a może wiadomości. Znowu wgrzył się w jabłko i tym razem niemal natychmiast ogarnęło go uczucie smutku

i nostalgii połączonych z oszołomieniem. Żuł kęs bardzo powoli i wówczas znowu poczuł ciepły powiew wiatru i usypiający szum oceanu, a z daleka docierała muzyka grana na organach parowych, *In the Good Old Summertime*.

Nagle pomyślał: Wiem, gdzie to jest. Pamiętam. Wiem, gdzie to jest, i wiem, że stało się tam coś strasznego. Muszę tam iść. Muszę iść tam teraz.

Wyłączył telewizor i przeszedł do przedpokoju. Zdjął bawełnianą kurtkę khaki z wieszaka i wyszedł z mieszkania, nie żegnając się z kotem. Dla niego Tibbles mógł zostać w ukryciu do końca życia, a nawet umrzeć z głodu. Pewnego dnia wyciągnie jego ciało spod łóżka, sparszywiałe, szare futro i kości.

Z jabłkiem ściśniętym między zębami zbiegł po schodach i wsiadł do samochodu. Gwałtownie wyjechał tyłem na Briarcliff Road, ledwo wymijając bladożółtego volkswagena garbusa, którym wjeżdżała na wzgórze kobieta w średnim wieku w bladożółtej chuście na głowie.

– Uważaj, jak jeździsz, dupku! – krzyknęła na niego.

– Och, *bésese las nalgas!*

Jim pędził w dół Briarcliff z piskiem opon, a potem skręcił na zachód we Franklin, w kierunku oceanu. Samochody na Sunset poruszały się w ślimaczym tempie, a on niecierpliwie bębnił palcami w kierownicę. Jadąc, skończył jabłko, a nawet wysssał ogryzek, a potem położył go ostrożnie na siedzeniu obok. Słodko-kwaśny smak owocu w końcu przywołał wszystko. Wiatr, ocean, plażę. Krzyk mew i daleką muzykę na karuzeli.

Było już prawie ciemno, zanim dojechał do plaży Santa Monica, tylko na niebie widać było smugę mglistego fioletu. Zaparkował samochód i wszedł na delikatny szary piasek. Stał tam długo, czując powiew oceanu na twarzy i wsłuchując się w nieustający szum fal. Około kilometra na południe widział bajkowe kolory świateł Pacific Park na nabrzeżu w Santa Monica, obracający się diabelski młyn i turkoczącą kolejkę; słyszał też krzyki bawiących się tam ludzi.

To tutaj wydarzyła się ta straszna rzecz. Tu, dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz stał, na plaży Santa Monica, trzydzieści trzy lata temu. Jim przypominał to sobie teraz, przypominał sobie wszystko, i to tak realnie, że wprost nie mógł uwierzyć, że kiedykolwiek o tym zapomniał. A raczej zagrzebał gdzieś.

Stał tam jeszcze, kiedy – z ciemności – od strony oceanu zbliżyła się do niego wysoka postać w bieli. Gdy znajdowała się mniej niż trzydzieści metrów od niego, Jim ją rozpoznał. Był to wielbny John Silence w luźnej białej koszuli i łożących białych spodniach. Na szyi miał złote łańcuchy, na głowie słomkowy kapelusz z czarną wstążką i niósł czarny pastorał zwieńczony złotą gałką. Wyglądał bardziej jak jakiś dziwny karnawałowy artysta niż pastor.

– No, no, panie Rook! – zawołał, podchodząc. – Udało się panu! I to znacznie szybciej, niż myślałem! Gratulacje!

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę, ale Jim jej nie uściśnął.

– Wielbny Silence. Czy wytłumaczy mi pan, co pan tu właściwie robi? – spytał.

John Silence wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie to samo co i pan, panie Rook. Wspominam przeszłość.

– To jest przeszłość, której nigdy nie chciałem pamiętać, na miłość boską. Nigdy. I z powodzeniem udało mi się ją wymazać z umysłu, dopóki pan i pański syn nie zaczęliście mnie karmić tymi jabłkami. To przez te jabłka, prawda?

– Tak, to przez jabłka! Ale nie musiał ich pan przyjmować, panie Rook. A kiedy już je pan przyjął, nie musiał pan ich jeść. Mógł je pan wyrzucić do kosza. Albo zostawić, żeby zgniły.

– Więc czym je nasaczyliście? – spytał Jim. – Wstrzyknęliście do nich jakiś narkotyk? Na przykład skopolaminę, a może temazepam czy coś?

– Oczywiście, że nie. Jabłko odmiany *paradise* to najczystsze z jabłek. Dlatego przywraca wszystkie wspomnienia z taką dokładnością. Jabłko *paradise* to owoc z drzewa wiedzy, panie Rook. Dlatego tak się nazywa. Jesz jabłko i wszystko widzisz. Jak pan myśli, dlaczego Bóg wyrzucił

Adama i Ewę z Edenu? Zjedli jabłka i nagle wszystko zobaczyli. Bardziej niż cokolwiek innego nagle ujrzeni wszystkie boskie niedoskonałości.

– Czy nie jest pan pastorem? – zdziwił się Jim. – Myślałem, że pastorzy mają wychwalać Boga, a nie mówić wszystkim dookoła, jak bardzo jest omylny.

– Na tym świecie liczy się prawda, panie Rook. Prawda, nie reputacja. I jeszcze coś: ważne jest, aby każdemu dać drugą szansę. Bóg nigdy nam tego nie daje, panie Rook. Jeśli zgrzeszysz albo zrobisz coś, co dla Niego jest grzechem, jesteś potępiony na wieki. Kiedy umierasz, zostajesz martwy na wieki. Przynajmniej tak się dzieje, kiedy rządzi tym Bóg.

Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

– Co się stało na tej plaży, panie Rook, trzydzieści trzy lata temu? Proszę opowiedzieć własnymi słowami.

Jim myślał, że łatwo przyjdzie mu o tym rozmawiać, ale nagle zauważył, że gardło ma ściśnięte i że trudno mu wykrztusić słowo.

– No, panie Rook. Dobrze to panu zrobi. Miał pan to wszystko spakowane tak długo, już czas to rozpakować i sobie przypomnieć.

Jim wziął głęboki oddech, a następnie powiedział zdławionym głosem:

– To był... khem...! To był mój ojciec.

– Proszę mówić dalej. Co zrobił pański tata?

– Przyprowadził mnie tutaj, na tę plażę. Miałem siedem lat. Kupił mi łopatkę i wiaderko; siedziałem tu i próbowałem zbudować zamek z piasku, chociaż piasek był zbyt suchy.

– I co wydarzyło się potem, panie Rook?

– Odszedł. Nie wiedziałem wtedy, że mama powiedziała mu rano, że chce od niego odejść i zabrać mnie ze sobą. Skąd mogłem wiedzieć? O ile się orientuję, nie był to człowiek łatwy we współżyciu. Myślę, że był podobny do mnie. Tak czy inaczej, rok później dowiedziałem się, że mama zakochała się w kimś innym.

Jim miał oczy pełne łez. Wziął kolejny głęboki oddech, odchrząknął, a potem dodał:

– Siedziałem tu, próbując budować zamek z piasku, a tata poszedł w kierunku oceanu. Był w pełni ubrany... marynarka, koszula, spodnie, nawet krawat. Obserwowałem go, jak szedł, po prostu się oddalał. Wszedł w fale, a potem coraz dalej i dalej. Woda sięgała mu do ramion, potem widziałem tylko jego głowę, a później nawet jej nie widziałem. Pamiętam, jak wstałem, żeby zobaczyć, co się z nim stało. Myślałem, że miał zamiar zawrócić i wyjść z wody, cały mokry... jakby to był jeden z jego żartów. Zawsze odgrywał kawały, na przykład nasypał do cukiernicy soli albo nabierał ludzi, że poważnie się jąka. Wtedy czekałem i czekałem, a on nigdy nie wrócił.

– Nie powiedział pan nikomu? Nie pobiegł pan do ratownika, żeby poprosić o pomoc?

Jim pokręcił głową.

– Ale, do cholery, dlaczego nie? Właśnie zobaczył pan, jak ojciec wszedł do wody w pełni ubrany, i nie powiedział pan ani słowa?

– Myślałem, że wróci – powiedział żałośnie Jim. – Wcześniej, kiedy odchodził, zawsze wracał. Skąd miałem wiedzieć, że tym razem będzie inaczej? Miałem zaledwie siedem lat.

– Więc co pan zrobił?

– Czekałem na niego, aż zrobiło się ciemno, a potem położyłem się na piasku i chyba zasnąłem. Następne, co pamiętam, to że było wcześniej rano, wschodziło słońce, a jakiś facet spacerujący z psem spytał mnie, czy nic mi nie jest.

– Smutna historia, panie Rook – stwierdził wielebny Silence. – To rzeczywiście bardzo smutna historia.

– Dlatego chciałem o tym zapomnieć. Teraz będę musiał zapomnieć to wszystko na nowo, przez pana i pańskiego syna, i te wasze cholerne jabłka, a proszę mi wierzyć, to nie będzie łatwe. W rzeczywistości to prawdopodobnie będzie niemożliwe. Więc wielkie dzięki, wielebny. Naprawdę potrzebowałem trochę więcej bólu w życiu.

Przez ponad pół minuty wielebny Silence stał twarzą w stronę morskiej bryzy, z przykniętymi oczami, nic nie mówiąc. Potem zdjął

kapelusz i przycisnął go do piersi, jak człowiek wyrażający swoje uszanowanie przechodzącemu konduktowi pogrzebowemu.

– To tamtej nocy, tak... tamtej nocy, kiedy pana ojciec wszedł do oceanu, nabawił się pan zapalenia płuc, które prawie pana zabiło?

– Skąd, do cholery, pan to wie?

– Jestem w kontakcie z wszelkimi formami duchowości, panie Rook, jak i ze wszystkimi sprawami doczesnymi. Prawie pan umarł, ale kiedy prawie pan umarł, dostał pan bardzo rzadki dar, więc w pewien sposób pański ojciec oddał panu przysługę. Tyle potrafi pan zobaczyć. Tak wiele! Nie wie pan, jak bardzo panu zazdroszczę! I jest wielu innych, znacznie potężniejszych ode mnie, i oni też panu zazdroszczą!

– Kto jeszcze? O kim pan mówi?

Wielebny Silence odwrócił się i uśmiechnął do niego.

– Widział pan dzisiaj swoją córkę, prawda? A chciałby pan zobaczyć ojca?

– Co? – spytał Jim. – Nie muszę słuchać tych bzdur! Nie wiem, dlaczego pogrywa pan ze mną w ten sposób, ale nie zniosę tego dłużej! Rozumie pan? Idę. Dobranoc. I będę wdzięczny, jeśli zabierze pan swojego wstrętnego synalka z mojej klasy, okay? Im szybciej, tym lepiej.

Odwrócił się, ale wielebny Silence złapał go za rękaw.

– Niech pan poczeka tylko moment, proszę, panie Rook!

Jim wyszarpnął rękę i zrobił dwa lub trzy kroki w tył. Wtedy zauważył, że ktoś idzie plażą w ich stronę tak szybko, jak tylko na to pozwala miękki piasek. Mężczyzna około trzydziestki, ubrany w jasnobrązową marynarkę, białą koszulę i ciemnobrązowy krawat. Kiedy podszedł bliżej, inna osoba zmaterializowała się z ciemności za nim i również szła w ich kierunku, jednak trzymała się nieco z tyłu. Ta osoba była znacznie wyższa i ciemniejsza i najwyraźniej miała na sobie płaszcz z kapturem. Albo to wcale nie był człowiek, tylko wir gęstego szarego dymu, taki sam jak ten, który pojawił się na balkonie Jima.

Mężczyzna w brązowej marynarce był teraz tylko pięćdziesiąt metrów od nich. Pomachał prawą ręką i zawołał:

– Jim! Jim!

– Och, nie – powiedział Jim pod nosem. – Och, nie. Jezu. To nie może być on. Proszę, niech to nie będzie on.

* Wybrałaś świetny moment, by mnie zostawić, Lucille (...z czworgiem głodnych dzieci i uprawami na polu...) (ang.).

Rozdział 14

Kiedy widział go ostatni raz, miał tylko siedem lat. Teraz ojciec wyglądał na znacznie niższego, niż go pamiętał, miał wąski tors i był zaskakująco młody.

Jim uświadomił sobie jednak, że William „Billy” Rook miał nie więcej niż trzydzieści sześć lat, kiedy wszedł do oceanu, czyli był prawie trzy lata młodszy niż on teraz.

Był cały przemoczony, ociekał wodą. Morska woda wylewała mu się z rękawów, rzadniejące ciemnobrązowe włosy przylegały do głowy. Mimo to uśmiechał się i wyciągał ręce jak człowiek, który właśnie ukończył wyścig pływacki z rekordowym czasem – co, w pojęciu duchowym, rzeczywiście uczynił. Pływał nieprzerwanie od trzydziestu trzech lat – lub raczej tonął.

Był bardzo podobny do dziadka Jima, z ostrym, szpiczastym nosem, trójkątną twarzą i małym, przyciętym wąsikiem. Matka Jima zawsze chciała, aby zgolił wąsy, bo przez to, według niej, wyglądał jak oszust karciany albo akwizytor, ale ojciec Jima upierał się, że go zostawi, bo mężczyźni z rodziny Rooków nosili wąsy od pokoleń. Jim był pierwszym Rookiem, który nie zapuścił wąsów, od początku dwudziestego wieku, kiedy Los Angeles było niczym więcej jak jedną główną ulicą i skupiskiem drewnianych wież wiertniczych.

– Jim – odezwał się tym znajomym chropowatym głosem. – Jim... wszystko w porządku? Jak dobrze cię widzieć!

– Tato, nie powinieneś pozwolić, aby cię tutaj sprowadzili. Naprawdę nie powinieneś.

– No popatrz, Jim... cholera! Aleś ty wyrósł! Chodź... przytul mnie, dobrze? Tyle czasu minęło. To było tak bardzo skomplikowane.

Podszedł do Jima, nadal wyciągając szeroko ręce. Jim spojrział przez ramię na wysoką, mglistą postać za nim. Była to ta sama postać, która pojawiła się na balkonie, i ta sama, która odwiedziła go w koszmarze; ta sama postać, która pojawiła się na obrazie Ricky'ego, mającym przedstawiać Gawędziarza.

– Co się z tobą dzieje, Jim? – zapytał go ojciec i zaczął spoglądać niepewnie. – Nie możesz uściskać swojego starego?

Jim spojrział na wielebnego Silence'a.

– Nie widzi go pan, prawda? – spytał. – I też nie słyszy, co?

Wielebny Silence pokręcił głową.

– Ma pan rację, nie widzę. Ale jestem świadom, że on tu jest, i zgaduję, co mówi do pana.

– Nie widzi pan też tego drugiego, tego, który stoi tuż za nim, kimkolwiek jest?

– On ma imię. W rzeczywistości ma wiele imion.

– Ale jego także pan nie widzi?

– Nie, bardzo żałuję, ale nie. Gdybym tylko posiadał pański wspaniały dar.

– Jim! – błagał ojciec. – Co się stało, Jim?

– Nic takiego, tato, tyle tylko, że nie mogę cię przytulić.

– Co? Dlaczego nie? Przysięgam na Boga, że nie chciałem cię zostawić samego na plaży, zwłaszcza w taki sposób. Myślałem, że po prostu znajdziesz drogę do domu. Miałeś pieniądze na autobus. Zostawiłem ci trochę w tej papierowej torbie razem z ciastkami Oreo.

– Tato, nie o to chodzi, że cię obwiniam. Nie mogę cię przytulić, bo nie jesteś tutaj fizycznie. To znaczy... tak, to ty, tato, ale tylko twój duch.

– Mój duch? To znaczy co? Upiór? Jak mogę być duchem? To nie ma żadnego sensu!

Znajdująca się za ojcem Jima wysoka postać z dymu zbliżyła się na tyle, że Jim mógł spojrzeć w ciemne zakamarki jej kaptura. Zobaczył błyszczące oczy – takie same jak w koszmarze. Postać podniosła lewą rękę i Jim znowu ujrzał pierścień ze splecionymi wężami.

– Co? – spytał Jim. – Czego chcesz?

Początkowo słyszał tylko szum fal, wiatr omiatający mu uszy, ale wtedy głos postaci nagle zagrzemiał i wypełnił mu głowę jak gigantyczny dzwon kościelny.

Czas ucieka, panie Rook! Czas płynie jak piasek zabierany przez fale! Musi się pan zdecydować, czego pan chce, i to bardzo szybko!

– Jim? – powiedział ojciec. Wyglądało, że ta druga postać go stresuje. – Co się dzieje, Jim? Nic nie rozumiem.

– Tato, ty nie żyjesz. Odszedłeś. Trzydzieści trzy lata temu. Utonąłeś. Straż przybrzeżna szukała cię przez tydzień, ale nigdy nie znaleziono ciała. Chryste, tato, nie mieliśmy nawet kogo pochować.

– Nic nie rozumiem. Przecież cię widzę, Jim. Mogę z tobą rozmawiać!

– To nie z twojego powodu, tato; to przeze mnie. Dlatego ci ludzie sprowadzili cię z powrotem tutaj. Chodzi im o mnie.

– Ale dlaczego nie możesz chociaż mnie przytulić?

Jim wyciągnął rękę. Nie chciał tego robić. Dla duchów nie było nic bardziej niszczącego, niż dowiedzieć się, kim tak naprawdę są: niczym innym, tylko wspomnieniem, myślą, echem. Drobnymi zakłóceniami, które żyjąca osoba kiedyś stworzyła, idąc poprzez fizyczny świat.

– Weź mnie za rękę, tato – powiedział. Znowu się dławił i musiał zacisnąć usta, aby zapanować nad sobą.

– Co?

– Po prostu rób, co mówię, dobrze? Weź mnie za rękę.

Billy Rook wyciągnął dłoń i próbował schwycić Jima za rękę. Próbował raz, drugi, trzeci. Za każdym razem jego palce przechodziły przez dłoń Jima, jak gdyby były obrazem palców wyświetlanym na kinowym ekranie. Światłem, kolorem, cieniem, ale nie ciałem.

Patrzył na własną rękę z wyrazem głębokiego szoku.

– Czuję twoją rękę – powiedział ochryple. – Dlaczego nie czuję własnej?

– Mówiłem ci, tato. Nie żyjesz. Jesteś duchem.

– Ale ja tu jestem! – zaprotestował i zaczął panikować. – Widzę cię! Widzę plażę! Czuję piasek! Mogę z tobą rozmawiać! Jestem prawdziwy!

– Przykro mi, tato. Bardzo mi przykro.

Przerwał im pastor.

– Mógłby go pan sprowadzić z powrotem, wie pan o tym.

– Nie – odparł Jim. – To niemożliwe.

– Jakie prawo tak mówi? Któreś z praw biologii? Praw fizyki? Nie sądzę.

– A co z prawem bożym? – spytał Jim.

Wielebny Silence uśmiechnął się niemal żarłocznie.

– Na pewno wiem więcej o prawach bożych niż pan, panie Rook. Dużo więcej. Ale oczywiście są też inne prawa poza tym bożym. Równie potężne. Równie wstrząsające.

Jim spojrział na ojca. Wyraz rozpaczony na twarzy Billy’ego Rooka łamał mu serce. Jim zrobiłby wszystko, żeby móc go objąć, a nawet położyć mu dłoń na ramieniu lub chwycić za rękę, ale ojciec nie był bardziej cielesny niż wiatr.

Jim bez słowa odwrócił się i zaczął iść z powrotem przez parking, zostawiając ojca i milczącego pastora na plaży. Nie oglądał się za siebie, aby sprawdzić, czy nadal tam stoją, bo wiedział, że ojciec i postać w kapturze prawdopodobnie się rozplłynęli, gdy tylko zdradził, że odchodzi. Prawdopodobnie zniknęli, kiedy tylko przestał na nich patrzeć. A jeżeli sądzić po magicznym zniknięciu pastora w Barney’s Beanery, to teraz też pewnie zniknął. Abrakadabra.

Jim siedział w samochodzie z pochyloną głową. Myśl o powrocie do mieszkania, gdzie naskoczy na niego Summer, a Tibbles będzie prycała, była nie do zniesienia. Po chwili uruchomił silnik i wrócił na Hollywood Boulevard, aż dotarł do Cat’n’Fiddle English Bar. Zatrzymał się na chwilę na ulicy, nie gasząc silnika, a następnie cofnął się i wjechał na parking.

Właśnie rozmawiał z ojcem, który utonął dawno temu. Był zmuszony powiedzieć mu, że nie jest niczym więcej, tylko duchem, i że nie może sprowadzić go z powrotem do świata żywych. To też bolało, bardzo. Teraz nie potrzebował konfrontacji, jakiegokolwiek. Potrzebował butelki piwa Fat Tire lub nawet trzech, irytującego dixielandowego jazzu i kilku godzin

bałamutnego przekomarzania się z jedną z młodych dziewczyn, które przysiadły wokół baru, licząc na podryw.

...

Była prawie północ, kiedy wdrapał się po schodach do swojego mieszkania, a musiał się trzymać poręczy, aby zachować równowagę. Z trzech piw Fat Tire zrobiło się pięć; wymienił numery telefonów z absurdalnie młodą dziewczyną o ogromnych udach, w fioletowym topie.

Zataczał się obok mieszkania Ricky'ego Kaminsky'ego, kiedy drzwi otworzyły się i wyszła Nadine w luźno tkanym czarnym poncho i workowatych brązowych spodniach z satyny.

Paliła papierosa bez typowej dla siebie lufki.

– Jim – powiedziała. – Widziałeś Ricky'ego?

Jim zamrugał, jakby nie widział jej nigdy wcześniej w życiu.

– Ricky'ego?

– Myślałam, że może poszłicie razem na kilka browarów.

– Tak, poszedłem się napić. Ale go nie widziałem.

Nadine wydmuchała dym przez nos i przygryzła wargę.

– To zupełnie do niego niepodobne. Zawsze dzwoni do mnie, kiedy zostaje gdzieś do późna. Głównie dlatego, że jest tak pijany, że nie wie, gdzie jest, i chce, żebym go poszukała.

– Hm, byłem w Cat'n'Fiddle, ale jego tam nie spotkałem. Przy barze siedział facet, który wyglądał dokładnie tak jak on, ale to nie był on.

– Jim, to na nic. Teraz Ricky pije w Stone Bar, głównie dlatego, że mają mocne drinki i jest tam z tyłu zaułek, w którym może palić.

– Przepraszam, Nadine. Nie widziałem go. Przysięgam. Zjawi się, jak wild turkey wywietrzeje mu z głowy.

– Sama nie wiem. Z jakiegoś powodu mam złe przeczucia. Ostatnio przydarzały mu się dziwne rzeczy. Wszystkie te obrazy z Gawędziarzem, które się zmieniały.

– Też, szczerze mówiąc, nie rozumiem tych malunków, Nadine. Może to jest tak, jak z tym pismem automatycznym... wiesz, kiedy ludzie

uważają, że jakiś nieżyjący pisarz, jak John Steinbeck, porusza za nich piórem.

– Ale Ricky mówił we śnie, Jim, a nigdy wcześniej tego nie robił. No wiesz, on zawsze chrapie. Jakby rznął drzewo i chciał całkowicie wyciąć cały las deszczowy w ciągu jednej nocy. Ale do tej pory nigdy nie mówił nic sensownego. Teraz gada na okrągło coś o trzech białych aniołach. Na okrągło. „Trzy... białe... anioły”, mówi, i to takim naprawdę grobowym głosem. „Trzy... białe... anioły... kto otworzy drzwi”. O co, do cholery, w tym chodzi?

Jim pokręcił głową.

– Nie mam błędnego pojęcia, Nadine. Może Ricky palił trochę za dużo tej pierwszorzędnej peruwiańskiej marychy.

– Tak, może masz rację – zgodziła się Nadine. – Ale chyba poczekam na niego jeszcze trochę. Co, do cholery, za marnota jest z tego chłopca.

•••

Jimowi udało się przetoczyć obok mieszkania Summer i nie wywabić jej na zewnątrz. Prawdopodobnie spała. Ostatni odcinek schodów na swoje piętro pokonał głównie na czworakach, a potem musiał sześć lub siedem razy dziubać kluczem w drzwi, zanim trafił w dziurkę.

Wpadł do przedpokoju i zamknął drzwi za sobą. Stał do nich tyłem z zamkniętymi oczami przez prawie minutę, dziękując Bachusowi za odprowadzenie go bezpiecznie do domu.

Potem pokonał drogę do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął puszkę mountain dew throwback, tę zawierającą prawdziwy cukier. Przechylił ją do góry dnem i wypił duszkiem niemal połowę. Potem usiadł przy stole w kuchni i wydał długie, rozdzierające beknięcie.

Nie wiedział, dlaczego czuł się tak pijany. Normalnie nigdy nie pił aż pięciu piw, ale i tak podłoga wydawała się ruszać pod nim i trudno było mu skupić wzrok.

Nadal siedział tam, kiedy Tibbles zakradł się do kuchni. Podeszedł blisko do Jima i spojrział na niego, wężąc podejrzliwie.

– Już w porządku, Tibs. Nie mam więcej tych jabłek, dzięki Bogu. I nie mam siły, żeby rzucać tobą po pokoju.

Tibbles zamiauczał na niego.

– Jesteś głodny? – spytał Jim. – Dałem ci dużo rano, grubasie. Jeśli zżarłeś wszystko, to już twoja wina. Będziesz musiał poczekać do jutra, zanim dam ci więcej. Przekarmianie jest tak samo okrutne jak głodzenie.

Lecz Tibbles miauknął ponownie, a Jim uświadomił sobie, że tym razem nie jest to miauczenie z powodu głodu. To było raczej wycie, jakby próbował ostrzec Jima przed czymś.

– Co się stało, Tibs? Nie mów mi, że znowu mamy szczury na dachu. Jestem zbyt wstawiony, żeby iść na strych i ganiać szczury. Nadal mam ten numer do łapacza z zeszłego razu. Zadzwońię do niego jutro.

Ale Tibbles miauknął znowu i jeszcze raz, a potem nagle przewrócił się na plecy i leżał na podłodze z nogami szeroko rozstawionymi, kierując oczy w przestrzeń.

– Tibbles? Tibs... co ci jest?

Jim pochylił się i potrząsnął nim, ale kot pozostał bezwładny.

– Tibbles?

Potrząsnął nim ponownie, ale nadal bez rezultatu. Jezu, pomyślał, Tibbles właśnie umarł. Może miał zawał serca lub udar mózgu. Czy koty miewają zawał serca? A może zraniłem go bardziej, niż myślałem, kiedy rzuciłem nim przez salon, i dostał krwotoku wewnętrznego albo pękła mu śledziona. Czy koty mają śledziony?

Ukląkł obok Tibblesa i wpatrywał się w jego otwarte, nieruchome oczy. Zdecydowanie wyglądał na martwego. Z jednej strony Jim miał nadzieję, że naprawdę nie żyje, bo nie chciał robić mu sztucznego oddychania. Wystarczył tylko pojedynczy włos w ustach i Jimowi zbierało się na wymioty, a nawet jeśli Tibbles przestał oddychać, to jego oddech jeszcze czuć było porannymi krewetkami.

– Och, Tibs, przepraszam – powiedział. – Pomyśleć, jak długo byliśmy razem...

Lecz gdy tylko to powiedział, Tibbles zawył, przekręcił się na łapy i wstał. Szybko się otrząsnął i zawył po raz kolejny.

– Co, do cholery, tu się dzieje? – wycedził do niego Jim. – Koty nie udają martwych! Tylko psy to robią, jak grają w filmach! Albo opsy!

Tibbles zawył jeszcze raz i przewrócił się po raz drugi, padając na plecy jak poprzednio, z rozłożonymi na boki łapami.

Jim zmarszczył brwi.

– Próbujesz mi coś powiedzieć, Tibs?

Wiedział, że Tibbles był bardzo wrażliwy na niektóre z wywoływanych przez niego duchów; kocura wyraźnie przerażała niektóre z demonów, nawet jeśli nikt inny poza Jimem ich nie widział. W każdym razie żadna istota ludzka. Więc jeśli Tibbles próbował go ostrzec, bardzo chciał się dowiedzieć, przed czym. Tibbles nie miał żadnego powodu, aby go teraz lubić, najmniejszego, więc to, przed czym go ostrzegał, musiało być cholernie poważne.

– Nie żyjesz, a potem wracasz do życia, potem znowu jesteś martwy. Dobra... co to znaczy?

Tibbles otrząsnął się po raz trzeci, ponownie przewrócił i wstał.

– Nie żyłeś dwa razy, a potem ożyłeś dwukrotnie? Nadal nie bardzo rozumiem.

Tibbles przewrócił się na plecy i znieruchomiał. Po kilku chwilach wstał ponownie. Powtarzał to w kółko. Jim policzył, że kot zrobił to osiem razy. Potem zawył na Jima ponownie i podszedł blisko powąchać grzbiet jego dłoni.

– Dobra... więc byłeś martwy osiem razy. O to chodzi? I co teraz?

Bez żadnego ostrzeżenia Tibbles podrapał go w rękę. Tylko lekko, niemal żartobliwie, ale jednak Jim gwałtownie odsunął dłoń.

– Hej, kocie, to piecze!

Kocie, pomyślał. Czy Tibbles próbuje podkreślić, że jest kotem? Wiem, że jest cholernym kotem. Jest kotem, odkąd go adoptowałem, i bardzo mało prawdopodobne, aby to kiedykolwiek uległo zmianie.

Ale kot, który zmarł osiem razy... Co to znaczy, jeśli w ogóle coś znaczy?

Kot, który zmarł osiem razy. Albo osiem kotów, które zginęły naraz.

Jim nagle przypomniał sobie Bethany przybitą do sufitu w jego klasie, nagą i pomalowaną na biało; i Santanę, nagiego i też pomalowanego na biało, przybitego wysoko wśród gałęzi cyprysu.

Każde z nich otaczało osiem martwych kotów przyszpilonych w tej samej pozycji, którą przyjmował Tibbles na podłodze w kuchni, z rozłożonymi na boki łapami.

Jim chwycił się krawędzi stołu i podniósł się na nogi. Zaczął szybko trzeźwieć. Podłoga przestała falować, a ściany obracać się i wszystko odzyskało ostrość, jak stary zegar na ścianie. Wskazówki pokazywały kwadrans po północy.

- Tibbles - odezwał się Jim. - Co chcesz mi powiedzieć, chłopie? Chodź, daj mi jakiś znak, dobrze? Próbujesz mi powiedzieć, że ktoś inny został gdzieś przybity? Czy to prawda?

Tibbles wybiegł z kuchni na korytarz.

- Wspaniale - mruknął Jim, machnąwszy podrapaną ręką z rezygnacją. - Akurat kiedy myślałem, że zaczynamy się porozumiewać, człowiek i sierściuch, największy przełom zoologiczny od doktora Dolittle'a.

Jednak niemal natychmiast Tibbles przybiegł z powrotem do kuchni i po raz kolejny zawył.

- Jezu, Tibs. Wychodzisz, wracasz. Co jest?

Tibbles wybiegł ponownie na korytarz. Tym razem zatrzymał się tam, zawodząc cicho i wytrwale. Jim czekał na moment, aby odzyskać równowagę, a potem poszedł za nim.

- Chodź, Tibs. Jestem pijany i zmęczony. Nie mam czasu na takie rzeczy.

Tibbles nie przestawał zawodzić i jednocześnie mruczał. Nie tak zupełnie cicho, z zadowolenia, jak zwykle, kiedy Jim oglądał piłkę nożną

w telewizji i w roztargnieniu go głąskała. To było bardziej rżenie umierającego.

Jednocześnie Tibbles patrzył prosto do góry na jedyny obraz olejny, który wisiał między wieszakami a drzwiami do sypialni. Mały obraz, szeroki mniej więcej na dwadzieścia pięć centymetrów, wysoki na piętnaście. Przedstawiał grupę ludzi na pikniku pod drzewem, w promieniach słonecznych sączących się pstrokato poprzez listowie, świadoma imitacja *Śniadania na trawie* Maneta, z tym że kobiety były ubrane.

Jim przyglądał się obrazowi długo, zanim zaczął rozumieć, co mówił mu Tibbles, ale wtedy poczuł ciarki na karku ze strachu.

Obraz został namalowany na terenie West Grove Community College trzy lata temu, kiedy Ricky, Nadine, Jim i kilkoro innych znajomych zebrali się na lunch pod drzewami. Ricky zrobił trzy lub cztery szkice na miejscu, a obraz dokończył później. Dał go Jimowi na pamiątkę.

Osiem martwych kotów, pomyślał Jim. Tereny West Grove Community College. I Ricky, który zaginął.

...

Zatrzasnął za sobą drzwi mieszkania i popędził w dół schodami do Nadine. Zadzwoił i zawołał:

– Nadine! Tu Jim! Nadine!

Nadine otworzyła drzwi i spojrzała na niego zaspana. Miała na sobie zieloną satynową piżamę i najwyraźniej postanowiła spróbować się przespać.

– Czy Ricky wrócił?

– Do diabła z nim. Nie czekam już dłużej. To ostatni raz, zapewniam cię.

Jim pokonał ostatni odcinek schodów i wsiadł do samochodu. Wiedział, że nie powinien prowadzić, ale jak długo będzie musiał czekać na taksówkę? Poza tym czuł się teraz trzeźwy jak świnia, nawet jeśli miał we krwi alkoholu cztery razy ponad dopuszczalną normę.

Jechał na zachód tak szybko, jak tylko mógł, uważając, czy nie mija po drodze samochodów policyjnych. O tej porze, nad ranem, dotarcie do bramy szkoły zajęło mu mniej niż piętnaście minut, a potem przyspieszył na podjeździe do prawie osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i zahamował z poślizgiem tuż przed głównym wejściem.

Obrotowe drzwi były zamknięte, ale lewe boczne otwarte, żeby sprzątaczkę i ochrona mogli wchodzić. Palila się większość świateł. Jim szedł szybko korytarzem do schodów. Po prawej stronie zobaczył sylwetkę samotnej sprzątaczkę myjącej podłogę mopem. Nawet nie spojrzała, kiedy Jim pośpiesznie ją minął.

Pokonywał po dwa stopnie naraz i niemal pobiegł korytarzem do pracowni plastycznej numer cztery. Światła wewnątrz były włączone, bo widział ich blask przez okienko w drzwiach. Wpadł do środka i stanął jak wryty.

Wszyscy uczniowie klasy drugiej byli w środku – Kyle Baxter, Jesmeka Watson, DaJon Johnson, Joe Chang, Hunni Robards, Jordy Brown i cała reszta. Siedzieli w kręgu – niektórzy okrakiem na krzesłach, inni na stołach. Kiedy Jim wbiegł, wszyscy odwrócili się i spojrzeli na niego.

Tak samo Simon Silence, który stał w środku kręgu, trzymając wielką księgę oprawioną w białą skórę. Może to za sprawą sztucznego oświetlenia, ale Jim pomyślał, że jego twarz wygląda jeszcze bardziej płasko niż wcześniej, a oczy ma jeszcze bardziej skośne.

Tylko uśmiechał się tak samo. Podstępny i wszechwiedzący, zadowolony z siebie.

– Pan Rook! – przywitał go. – Nie spodziewałem się pana tak szybko!

Jim powoli zbliżył się do niego na sztywnych z gniewu nogach.

– Co ty tu robisz, do diabła, Simon? Jest środek nocy!

– Tak, panie Rook, wiem. Ale jest dużo później, niż pan myśli.

W rzeczywistości już prawie nadszedł czas.

– Czas na co?

– Na raj, panie Rook. Czas wrócić do samego początku!

Rozdział 15

– Musicie wyjść, wszyscy – polecił Jim. – Nie wiem, w jaki sposób udało się wam tu wejść, nie alarmując ochrony, ale nie wolno wam przebywać w budynku szkoły po godzinach. Poza tym zajęcia zaczynają się o dziewiątej, a w jakim stanie będziecie po nieprzespanej nocy?

– Już prawie skończyliśmy, proszę pana – powiedział Simon Silence. – Wtedy pójdziemy.

– Nie sądzę, Simon. Wyjdziecie teraz.

– Obawiam się, że doktor Ehrlichman nie będzie zbyt zadowolony.

– A jaki związek ma z tym doktor Ehrlichman?

– To pan dyrektor dał nam specjalne pozwolenie, aby spotkać się tu dziś w nocy. To musiało być dzisiaj.

– Doktor Ehrlichman dał wam specjalne pozwolenie? Nie wierzę w to.

– Mój ojciec poprosił go o przysługę. Dziś jest dwudziesty siódmy września, czyli Dzień Bożego Podboju.

– Czyli co?

– Dzisiaj jest rocznica dnia, w którym Lilith została wygnana z raju. Dziś jest dzień, kiedy Kościół mojego ojca odnawia postanowienie, że należy przywrócić świat do stanu, w jakim miał być pierwotnie.

– O czym ty, do cholery, mówisz, Simon? – Jim nie próbował ukryć rozdrażnienia. Był bardzo zmęczony, poza tym wstrząśnięty po spotkaniu z duchem ojca, a na dodatek jeszcze trochę pijany.

– To wszystko znajduje się tutaj, panie Rook. Piekło, o tym mówię. – Simon Silence podsunął książkę, którą czytał. – Proszę... jest pan człowiekiem nauki. Powinien się pan z tym zapoznać. Księga Raju, która została wyłączona ze Starego Testamentu w czwartym wieku, ponieważ mówiła prawdę o Edenie. Wyjaśnia to, co miało się zdarzyć i jak ludzkość

została zdradzona przez własnego Stwórcę z powodu jego zazdrości o to, co sam stworzył.

Gdy Simon Silence przemawiał, Jim rozglądał się po klasie – najpierw po uczniach, którzy słuchali Simona z nabożnym skupieniem na twarzach – a następnie po obrazach na ścianach, rzeźbach i ceramice.

Zniknęły krajobrazy, żaglowce, akty i konie, a każdy obraz stał się portretem satanistycznej postaci o szarej twarzy, którą namalował Ricky Kaminsky, kiedy rozpaczliwie starał się namalować jowialnego, przyjaznego dzieciom Gawędziarza.

Każda rzeźba była też interpretacją samej diabelskiej istoty, z chytrym uśmiechem i rogami, nawet jeśli niektóre z rzeźb były niemal abstrakcyjne, a dwie lub trzy były tylko makietami – surowymi modelami z drutu, skręconymi jedynie, aby powlec je gliną.

Każdy wazon i tabliczkę pokrywała szara, błyszcząca metalicznie glazura, a każdy przedmiot upodabniał się do demona lub symbolu, który wyglądał jak człowiek z rękami i nogami szeroko rozpostartymi wewnątrz kręgu z gwiazd.

Jim pomyślał: Cholera, mam halucynacje. Za dużo wypilem. A jeśli nie mam halucynacji, to dzieje się tu coś bardzo złego.

Odwrócił się do Simona i podniósł rękę, aby przerwać jego przemowę.

– Cicho, Simon. Wystarczy. Nie chcę więcej tego słyszeć. Jeśli naprawdę myślisz, że musisz, możesz mi to wyjaśnić jutro, podczas dużej przerwy. To są zajęcia wyrównawcze z angielskiego, a nie jakieś głupie kółko biblijne. Moje zajęcia wyrównawcze z angielskiego, pamiętasz?

– Ale, proszę pana, została nam ostatnia modlitwa do końca.

– Wychodźcie stąd, Simon, wszyscy. I to natychmiast.

Simon wziął głęboki oddech.

– Bardzo dobrze, panie Rook. Ale nie wiem, jakie będą konsekwencje. To jest Dzień Bożego Podboju i mój ojciec nie będzie zadowolony, jeżeli wszystkie modlitwy nie zostaną odmówione zgodnie z rytuałem.

– Simon, szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, czy twój ojciec będzie tańczył z radości, kręcąc tyłkiem, czy płakał do mszalnego wina. Nie,

skłamałem. Obchodzi mnie, prawdę mówiąc, bo odkąd przekupił doktora Ehrlichmana, żeby przyjął cię do tej klasy, wszyscy tu zachowują się tak, jakbyśmy my dwaj byli centrum wszechświata i nikt inny na tej planecie się nic a nic nie liczył.

– To tylko jedna, ostatnia modlitwa, panie Rook. O tak niewiele proszę, prawda? Potem wszyscy pójdziemy spokojnie, obiecuję.

– Spójrz na te cholerne obrazki! – odparł Jim. – Spójrz na te wszystkie obrazki i na te wszystkie rzeźby, i te wszystkie garnki! To jest jak galeria sztuki prosto z piekła!

Simon rozejrzał się, Jim też, ale portrety Szatana z szarą twarzą zniknęły, podobnie jak wolebny Silence zniknął z baru Barney's Beanery. Teraz ściany pokrywały te malunki, które wisiały tam wcześniej, same amatorskie krajobrazy, zniekształcone konie i koślawe wazony z kwiatami. Ta sama toporna, pstrokata ceramika.

Uczniowie też się rozejrzeli, oszołomieni, unosząc brwi.

– Co się dzieje, psze pana? – spytał DaJon Johnson. – Simon obiecał nam naprawdę specjalną noc, mieliśmy dostać wszystko, czego kiedykolwiek chcieliśmy. Jakby każdy z nas dostał nasz własny raj.

– Och, naprawdę? – zdziwił się Jim. Ale jednocześnie nie mógł się powstrzymać przed myślą o Bethany, która stała w promiennym słońcu na końcu korytarza, i o swoim ojcu, idącym ku niemu z ciemności na plaży w Santa Monica. *Mogę wrócić, tatusiu. Wszyscy możemy wrócić. Simon ci pomoże.*

Tommy Makovicka wstał i powiedział niepewnie:

– Przepraszam pana, ale sam pan mówił, że nikt z nas nie miał wiele z tego życia. Dobra, może to był nasz własny głupi błąd, tych z nas, którzy myśleli, że wiedzą wszystko, i nigdy nie uważali. Ale to wszystko, co Simon nam obiecał. Tylko odmianę.

– Chcemy jedynie szansy na zostawienie znaku, proszę pana – wtrąciła Jesmeka Watson. – Wie pan... żeby ludzie poznali, kim jesteśmy, i w ogóle, że nie jesteśmy nikim.

– Może nas pan nazywać egoistami – przyłączył się Joe Chang. – Ale niech nam pan powie, kto nie jest? Teraz człowiek człowiekowi wilkiem.

Jeśli nie będziemy próbowali szukać naszego własnego rajy, nikt inny nam nie pomoże, prawda? A jeśli nie spróbujemy, to jaki sens miały nasze narodziny? Równie dobrze możemy wejść do oceanu i się utopić.

Jim spojrział na niego i rzekł:

– Co powiedziałeś?

– Nic nie mówię, poza tym że nigdy do niczego nie dojdziemy, jeśli sami sobie nie pomożemy, a Simon też może nam pomóc. Nikt nie proponował nam tego wcześniej.

Mogę wrócić, tatusiu.

Jim długo stał przed swoimi uczniami i nic nie mówił.

Wszyscy możemy wrócić. Simon ci pomoże.

Simon Silence nappełniał Jima niepewnością bardziej niż jakikolwiek inny uczeń, którego kiedykolwiek miał w swojej klasie. W rzeczywistości było to znacznie głębsze uczucie niż niepewność, było bliskie strachu.

Rokrocznie Jim miał do czynienia z co najmniej jednym zarozumiałym, pewnym siebie młodym człowiekiem, który próbował podważyć jego autorytet i zdominować klasę, ale był bogaty w lata doświadczeń pracy jako nauczyciel i zawsze wiedział, jak takiego zatrzymać. Nie poprzez utratę panowania albo próbę poniżenia, ale przez wzmocnienie w nim poczucia własnej wartości, której większości jego uczniów bardzo brakowało, nieważne, jak agresywnie się zachowywali.

Lecz Simon Silence był kimś zupełnie innym. Simon był spokojny i sarkastyczny, do tego całkowicie pewny siebie. Jim był przekonany, że ojciec zapisał go do West Grove Community College z bardzo konkretnym planem. Przybył tutaj, aby nakłonić uczniów klasy drugiej specjalnej, by zostali wyznawcami Kościoła Bożego Podboju – nie tylko uczniami. Całkiem jawnie i bezwstydnie kusił Jima, by go wspierał. Dlatego właśnie Jim czuł się tak niepewne i prawie się go bał.

Kiedy stał przed swoją klasą, myślał: To jest naprawdę przerażające. Ten młody człowiek robi coś o wiele gorszego niż tylko podważanie mojego autorytetu. On mnie kusi. Oferuje mi coś, czego szczerze i desperacko pragnę, i ponieważ potrafię wzywać zmarłych, wiem, że

prawdopodobnie mógłbym to mieć. Ale to przecież nie może być prawda? A jakie, do diabła, będą konsekwencje, jeśli mu się poddam?

– I co pan na to? – spytał Simon Silence. – Jedna, ostatnia modlitwa? Doktor Ehrlichman w końcu zgodził się, abyśmy urządzili to spotkanie, więc co złego może z tego wyniknąć?

– Niech mnie diabli, jeśli znam odpowiedź, Simon – odparł Jim. Rozejrzał się po twarzach wszystkich uczniów w klasie, a każda z nich błagała, aby powiedział „tak”.

Jeśli się nie zgodzę, to czy ich zawiodę? – zastanawiał się. Może Simon oferuje im raj, a jeśli tak, to kim jestem, żeby im tego odmówić? A gdyby Bethany wróciła do mnie i mógłbym nadrobić te wszystkie utracone lata? A gdyby mój tata też wrócił? Czy to naprawdę takie złe?

Spojrzał na zegarek.

– Dobrze – usłyszał własny głos. – Macie pięć minut, a potem musicie stąd wyjść.

Rozległo się zbiorowe, pełne ulgi „taaaak!”, a niektórzy uczniowie klaskali i bębnilili w białe. Simon Silence uśmiechnął się i rzekł:

– To bardzo mądry i hojny gest, panie Rook. Nie pożałuje pan, obiecuję.

To powiedziawszy, podniósł dużą białą księgę i otworzył ją. Na okładce Jim dostrzegł słowo $\pi\epsilon\rho\alpha\sigma\mu\zeta$ wytłoczone w kolorze srebrnym – te same greckie litery, które ktoś nabazgrał na jego biurku, pod wizerunkiem nagiej kobiety z owiniętym wokół niej zielonym wężem.

– Raj – powiedział Simon Silence, jak gdyby czytał w myślach Jima. – To właśnie znaczy. To jest księga, którą usunęli z Biblii niewierzący. Tylko jedna kopia istnieje w języku angielskim... ta właśnie, która należy do Kościoła Bożego Podboju. Powinien ją pan kiedyś przeczytać.

Jim odwrócił się i wyszedł z sali, zamykając za sobą drzwi. Nie chciał słuchać modlitwy Simona. Już czuł się wystarczająco winny. Oparł się plecami o drzwi i na chwilę zamknął oczy, szepcząc: „Bethany”.

• • •

Kiedy jechał do domu, targały nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony trapiły go wątpliwości co do słuszności podjętej decyzji, z drugiej zaś był z niej dumny. Odkąd odkrył, że widzi duchy, zjawy i demony i że może z nimi rozmawiać, próbował wykorzystać swoje umiejętności, aby pomagać ludziom. Chronił rodzinę i przyjaciół, także ludzi wokół siebie, zwłaszcza uczniów, przed krzywdą ze strony sił nadprzyrodzonych. Uspokajał również umysły zmarłych, pomagając im zrozumieć, że naprawdę nie żyją i że już nigdy nie powrócą na ten świat.

Teraz wydawało się, że wielbny Silence i jego syn dadzą mu moc, aby zmienić to wszystko i przywołać zmarłych na ziemię żywych. To uczucie było podobne do stanu narkotycznego. Wiedział, że to jest złe. Musiało być złe. Ludzie zawsze umierają z jakiegoś powodu i nie dostają drugiej szansy. Ale jak wiele szczęścia dałby ich bliskim, gdyby mógł ich sprowadzić ze świata duchów?

Przede wszystkim mógł pokazać ojcu, że życie może trwać dalej nawet wtedy, gdy człowiek czuje, że stracił wszystko, na czym mu zależało. I mógłby odkupić swoje winy wobec Bethany.

Jego uczniowie mieli dostać swój własny raj – dlaczego on nie miałby dostać swojego?

Był kwadrans po czwartej, kiedy wjeżdżał na stromy podjazd przed Briar Cliff Apartments. Było jeszcze ciemno, ale niebo stopniowo zaczynało się rozjaśniać na wschodzie. Wiał chłodny poranny wiatr, a juki szeptały wokół niego, tak jakby wiedziały, że ma się wydarzyć coś doniosłego.

Zatrzymał się przed mieszkaniem Ricky'ego Kaminsky'ego, ale zdecydował, że nie zapuka. Znał Ricky'ego dobrze i był pewien, że odnalazł już drogę do domu i nie byłby zachwycony pobudką z pijackiego, kamiennego snu.

Wspiął się na następne piętro i dotarł do drzwi Summer. Miał zamiar iść dalej do swojego mieszkania, pomyślał jednak: Dlaczego nie? Summer zdecydowanie należy po części do mojego osobistego raju, a co powiedziała zaledwie kilka godzin temu?

Tylko ty i ja, Jimmy. Nikt inny. Tak jak w Edenie.

Nacisnął dzwonek i czekał. Nie było odpowiedzi, więc nacisnął go ponownie, ale tym razem trzymał kciuk przez prawie piętnaście sekund.

W końcu usłyszał, jak otwierają się drzwi gdzieś w środku mieszkania, a w korytarzu zapaliło się światło.

– Kto tam? – spytała Summer niskim, gardłowym głosem. – Która godzina, na miłość boską?

– To ja – odpowiedział Jim. – Przykro mi, jeśli zostawiłem to na tak późno, ale zastanawiałem się, czy nadal chcesz się ze mną napić.

– Jimmy! Jest środek nocy!

– Wiem, Summer. Ale nie mogłem spać. I nie mogłem przestać myśleć o tobie, kochanie.

Nastąpiła długa pauza, a potem Jim usłyszał, jak przekręca się zamek i odsuwa łańcuch. Drzwi się otworzyły, a za nimi stała Summer w żółtej koszulce bez rękawów i białych koronkowych stringach. Blond włosy miała ponakręcane na żółte wstążki, tak że wyglądały jak węże.

– Gdzie byłeś, Jimmy? Spodziewałam się ciebie parę godzin temu!

– Przepraszam, Summer. Coś mi wypadło.

– Nie mów! Jest jakaś szansa, że znowu wypadnie?

– Już prawie... która... czwarta rano. Chyba za późno na tego drinka. A może zbyt wcześnie. Nie wiem, co bardziej.

Summer wzruszyła ramionami.

– Dam radę wypić drinka w środku nocy, jeśli ty możesz. Znasz mnie.

– Okay. Mam trochę prosecco w lodówce, jeśli masz na to ochotę.

– Hej, nie jestem pewna, czy cokolwiek zjem.

– Prosecco jest podobne do szampana, tylko że włoskie.

– W takim razie na co czekamy? Uwielbiam szampana i uwielbiam wszystko, co włoskie, zwłaszcza mężczyzn. Al Pacino, mmm-mmmh! Kiedy był młodszy w każdym razie, a nie taki pomarszczony! Tylko wezmę klucze.

Summer wróciła do środka i pojawiła się kilka sekund później owinięta w krótki biały szlafrok z satyny, podzwaniając kluczymi na palcu. Wspięła

się po schodach w chybotliwych pantoflach na wysokim obcasie, a Jim wprowadził ją do swojego mieszkania.

– Tylko ty i ja, Jimmy – powiedziała, gdy otwierał drzwi, pocałowała koniuszek palca i dotknęła nim jego ust. – Jak w rajskim ogrodzie. Adam i ta druga dziewczyna.

– Ewa.

– Nie, nie Ewa. Ewa była tylko z zebra, nie? Chodzi mi o tę dziewczynę naprawdę sexy, która lubiła po kowbojsku.

– Nie sądzę, żeby kowboje żyli w tamtych czasach, Summer. I nawet nie spodziewaj się, że mieli krowy.

Jim otworzył drzwi i zapalił światło.

– Tibs! – zawołał, gdy wprowadził Summer do kuchni. – Gdzie jesteś, Tibs?

Otworzył lodówkę i wyjął butelkę prosecco.

– Ten kot ostatnio bardzo dziwnie się zachowuje. Czasami wydaje mi się, że jest opętany.

– Cóż, koty... są zaczarowane, co nie? – powiedziała Summer, siadając na kuchennym taborecie i zakładając nogę na nogę. – Dlatego zawsze towarzyszą czarownicom. Czarne koty w każdym razie.

– A co z szaroburymi kotami?

– Myślę, że są dla ludzi, którzy nie mogą się zdecydować, czy chcą być dobrzy, czy źli. Dają pieniądze na cele charytatywne, ale kiedy sklepikarz wyda im zbyt dużo reszty, chowają ją do kieszeni i nie powiedzą ani słowa.

– Mój kot jest szarobury, dzięki – powiedział Jim, strzelając korkiem z butelki prosecco. – Więc to o mnie mówisz.

Summer przesłała mu kolejny pocałunek z palca.

– Zawsze wiedziałam, że masz skrzywiony charakter. Za każdym razem, jak do mnie mówisz, nie możesz oderwać oczu od moich cycków.

Jim nalał dwa kieliszki musującego prosecco, a następnie powiedział:

– A może zabierzemy je do sypialni? Tam jest wygodniej. Mniej pionowo, bardziej poziomo.

- Uwielbiam, kiedy mówisz jak nauczyciel. Dalej, chodźmy. Do sypialni.

Wyszli do przedpokoju i zastali Tibblesa czekającego na nich przed drzwiami sypialni, jakby ich pilnował. Siedział wyprostowany, z oczami jak szparki i uszami położonymi płasko na głowie.

- Więc tu jesteś, sierściuchu - rzucił Jim. - Nadal nie jestem pewien, co chciałeś mi powiedzieć, udając trupa, ale cieszę się, że to zrobiłeś. Inaczej bym się nie dowiedział, co mój mały, wredny przyjaciel, Simon Silence knuł w środku nocy.

- Hm? O co w tym wszystkim chodzi? - spytała Summer.

- O nic - odparł Jim. - W każdym razie nic, co małoby zepsuć tę noc, a raczej to, co z niej zostało. No, Tibs. Przepuść nas, kocie.

Lecz Tibbles został na miejscu, w samym środku wejścia, i jeszcze bardziej zmrużył oczy, jakby chciał pokazać Jimowi, że nie ma absolutnie zamiaru ruszyć się choćby o centymetr. Jim podał kieliszek Summer i pochylił się, by go podnieść, ale Tibbles natychmiast syknął i zamachnął się na niego pazurami, drapiąc go po wierzchu dłoni.

- Dość tego - powiedział Jim, wysysając krew z kłykci. - Mówiłem ci, że dziwnie się zachowuje.

Wstał i wykonał zwrot, jakby się odwracał, ale nagle zakręcił się i chwycił Tibblesa w obie ręce, rzucając go przez całą długość korytarza tak, że z głuchym łoskotem uderzył w drzwi łazienki.

- *Mademoiselle* - zwrócił się do Summer, otwierając drzwi do sypialni i kłaniając się.

- Powinnam zgłosić cię do Wydziału Opieki nad Zwierzętami - rzuciła Summer. - Biedny, bezbronny kotek.

- Nie wiem, co, do cholery, jest z nim nie tak - odparł Jim. - Może powinienem zabrać go do kociego psychiatry. Przede wszystkim udawał, że pada martwy. Osiem razy to zrobił. Potem próbował pokazać mi obraz, który Ricky Kaminsky namalował dla mnie. A na koniec usiadł w drzwiach sypialni, próbując powstrzymać nas przed wejściem.

Summer zaczęła zdejmować szlafrok, odsłaniając jedno ramię, kiedy zatrzymała się i powiedziała:

– Jimmy.

Podszedł do szafki nocnej, aby włączyć lampkę.

– Jimmy – powtórzyła. – Sufit, Jimmy.

Włączył lampę i spojrzał w górę. Natychmiast usiadł na brzegu łóżka w szoku.

Przybity do sufitu, nagi i grubo pokryty białą farbą, wisiał Ricky z rękami i nogami rozłożonymi szeroko. Jego kucyk został rozwiązany i usztywnione farbą włosy układały się promieniście od czubka głowy, jak szprychy w kole. Wokół niego zostało przybitych osiem białych perskich kotów.

Summer upuściła kieliszek prosecco na dywan i wymamrotała:

– O mój Boże, Jimmy. O mój Boże. O mój Boże, nie mogę w to uwierzyć! Jim zdołał wstać, trochę niepewnie.

– Przejdź do salonu – powiedział. – Wykręć dziewięćset jedenaście.

Summer nadal patrzyła na sufit z otwartymi ustami, więc Jim krzyknął na nią:

– Summer! Przejdź do salonu i zadzwoń na policję! Zrób to teraz!

Wyszła z sypialni. Jim przeszedł po dywanie i stanął bezpośrednio pod rozłożonym szeroko ciałem Ricky’ego. Widział teraz, że krew znaczyła cały jasnobezowy dywan i narzutę na łóżku. Nawet trysnęła łukiem na zasłony. Wyglądało to tak, jak gdyby Ricky gwałtownie machnął jedną ręką, gdy był przybijany do sufitu.

Jim nie wiedział, co ma o tym myśleć. To było tak skomplikowane, tak sadystyczne, takie rytualne, a nawet nie potrafił sobie wyobrazić, jakiego rodzaju może to być rytuał. We wszystkich badaniach, jakie kiedykolwiek przeprowadzał na temat mistycznych religii, kultów ofiarnych i czczenia diabła, nigdy nie spotkał się z czymś takim.

Nadal stał, patrząc w sufit, kiedy ciepła kropla krwi spadła mu na policzek. Ricky otworzył oczy i patrzył na niego, jakby nie mógł zrozumieć, gdzie jest i dlaczego ogarnia go tak wielki ból.

- Jim - zachrypiał i więcej krwi pokapało mu z kącika ust. - Jim, pomóż mi. Umieram, Jim. Pomóż.

Rozdział 16

– Summer! – krzyknął Jim. – Powiedz im też, że potrzebujemy sanitariuszy! I strażaków!

Summer wróciła do sypialni z szeroko otwartymi oczami z przerażenia, trzymając słuchawkę.

– Pali się też?

– Ricky wciąż żyje! Potrzebujemy kogoś, kto może go stamtąd zdjąć!

– Nadal żyje? Mój Boże! Dobra, pewnie. Jezus! Sanitariusze. Tak, dobra.

– Była jeszcze połączona z dyżurną i powiedziała jej drżącym głosem, że potrzebna jest również straż pożarna, więc niech wyśle karetkę i zespół ratunkowy.

– Trzymaj się, Ricky! – pocieszał go Jim. – Trzymaj się, chłopie, pomoc w drodze!

Wspiął się na łóżko i przeszedł po materacu, podnosząc lewą rękę tak, że mógł podeprzeć się o sufit. Ricky oddychał ciężko i powoli, a krew nadal spływała mu z kącika ust.

Twarz miał całkowicie oblepioną białą farbą, a oczy tak przekrwione, że wyglądał, jakby założył aborygeńską maskę.

Jim próbował chwycić się gwoździa, który był wbity w prawą dłoń Ricky'ego, ale był śliski od krwi i został wbity o wiele zbyt mocno, aby udało mu się go wyciągnąć ręką.

Mało tego; wszystkie gwoździe wbite w jego ręce, kolana i kostki miały kształt litery „L”, więc nie można było ich wyjąć bez wcześniejszego podważenia.

– Nie dasz rady, Jim – wyszeptał Ricky. – Oni przybili mnie tu mocno, uwierz mi.

- Zdejmiemy cię, obiecuję – powiedział Jim. – Po prostu zostań ze mną, to wszystko. Nie zamykaj oczu i oddychaj.

- Gnoje złapali mnie, jak tylko wyszedłem z mieszkania – dodał Ricky.
- Byłem naćpany. Pijany. Zupełnie nie mogłem ich powstrzymać.

- Nie przejmuj się, Ricky. Oszczędzaj siły.

Lecz Ricky odwrócił głowę i spojrzał na Jima wściekle przekrwionymi oczami.

- Rozebrali mnie do gołej dupy, Jim, a potem sprali na kwaśne jabłko. Czuję, jak pękają we mnie różne rzeczy. Słyszałem, jak łamią się kości. Udawałem martwego, ale to nie zrobiło żadnej, kurwa, różnicy.

Wykaszłał więcej krwi i splunął, a potem dodał:

- Pomalowali mnie całego, zanieśli tu i zrobili mi to. Młotek i gwoździe. I wszystkie te koty na dodatek. Piszcząły, te koty jak wszyscy diabli.

- Kto to zrobił, Ricky? – pytał Jim. – Jak, na Boga, cię podnieśli?

- Dwaj faceci w bieli. To oni. Dwaj faceci ubrani na biało. Starszy i młodszy. Dwaj faceci w bieli.

Jimowi zaschło w ustach. Wielebny John Silence i Simon. Kto inny mógłby to być? Dwóch mężczyzn ubranych na biało? Zwłaszcza że Ricky jakoś nie mógł namalować nikogo, tylko tę szatańską postać o szarej twarzy, która pojawiała się wszędzie tam, gdzie przychodzili ojciec i syn.

- Czy ci dwaj faceci w bieli coś mówili? – chciał wiedzieć Jim. – Zwracali się do siebie po imieniu?

Ricky pokręcił głową i więcej kropli krwi spryskało narzutę na łóżku.

- No, Ricky, zostań ze mną. Musisz. Nie poddawaj się teraz. Jak oni to zrobili, Ricky? Jak, do cholery, udało im się przybić cię tutaj?

Ricky zamknął oczy i wydobył z siebie chrapliwy, charkoczący pomruk. Jim chciał nim potrząsnąć, by go obudzić, ale pomyślał, że wywoła tym tylko więcej bólu, a Ricky cierpiał bardziej, niż Jim mógł sobie wyobrazić. Nie potrafił przestać myśleć o wielkanocnym hymnie: *Nie wiedzieć nam ni pojąć skąd, jakie męki znosić musiał.*

- Ricky – powtórzył. – Trzymaj się, Ricky. To nie potrwa długo.

Gdy to mówił, usłyszał w oddali odgłos syreny pogotowia, a towarzyszył jej głęboki klakson wozu strażackiego.

Ricky ponownie otworzył oczy, spoglądając w dół na łóżko, jakby zapomniał, gdzie jest.

– Ricky, za chwilę będzie tu pogotowie i strażacy, żeby cię ściągnąć.

– Strażacy? – Ricky uniósł brwi i sucha biała farba na czole popękała w bruzdy.

– Trzymaj się, Ricky. Pomyśl o Nadine. Co Nadine bez ciebie pocznie?

Ricky odwrócił głowę ponownie i mrugnął do niego.

– Latali – powiedział stłumionym szeptem.

– Co? Kto latał? Co ty mówisz?

– Ci dwaj faceci w bieli. Tak mnie przybili.

– Co? Nadal nie rozumiem.

– Latali, Jim. Oni, kurwa, latali.

Nadal mrugał do Jima jeszcze przez kilka sekund z regularnością metronomu, ale potem przestał i oczy mu zaszyły mgłą. Głowa opadła do przodu, a z płuc uszedł długi, stłumiony gwizd.

– Ricky! – krzyknął Jim. – Ricky! Sanitariusze już tu są! Ricky! Nie poddawaj się teraz!

Summer wróciła do sypialni, a za nią weszło dwóch sanitariuszy, mężczyzna i kobieta, oboje Afroamerykanie. Kobieta zatrzymała się, gdy tylko znalazła się w drzwiach, i wpatrywała się w sufit z ustami i oczami otwartymi szeroko w niewierze. Mężczyzna powoli opuścił torbę na podłogę i powiedział:

– Cholera jasna!

...

Detektyw Brennan wszedł do pokoju przesłuchań, niosąc kawę i pączka z posypką.

– Śniadanie – powiedział, podnosząc je. – A może obiad.

Jim siedział przy prostym drewnianym stole w samej koszuli. Oczy miał spuchnięte od wypitego alkoholu i z braku snu. Był nieogolony,

włosy miał potargane.

Pokój był pomalowany na jasnozielono, a okna zabezpieczone siatką. Przez jej oczka Jim widział małe oświetlone słońcem podwórko, na którym trzej umundurowani policjanci rozmawiali i śmiali się, a Koreanka siedziała samotnie, czytała książkę i jadła kanapkę.

Detektyw Brennan przyciągnął krzesło i usiadł po przeciwnej stronie stołu. Miał na sobie pogniecioną brązową koszulę, żółty krawat z plamami po keczupie oraz wymięte spodnie w kolorze khaki.

– Więc jaki to ma związek? – spytał, zdejmując wieczko z kubka i dmuchając na kawę.

– Nie wiem, co pan ma na myśli. Jaki związek z czym?

– Troje ludzi zostaje pomalowanych na biało i ukrzyżowanych razem z ośmioma białymi persami i wszyscy są powiązani z panem. Pańska utracona dawno córka, ogrodnik, a teraz kolega malarz z tego samego bloku. Córkę znaleziono w pana klasie, ogrodnika na terenie szkoły, a znajomego malarza odkrywa pan na suficie we własnej sypialni.

– Nie miałem nic wspólnego z żadnym z tych zabójstw. Zupełnie nic. Powtarzałem to przez bite trzy godziny.

– No cóż, mówiąc szczerze, to samo nasi eksperci sądowi mówili o pierwszych dwóch zabójstwach, pańskiej córki i ogrodnika. Po pierwsze, nie było żadnego rodzaju dowodów na to, że może pan być zaangażowany w którekolwiek z nich. Brak odcisków palców, żadnych śladów stóp, żadnej krwi ani włókien, żadnego DNA. Po drugie, nie mógł pan przybić ich w taki sposób, żadnego z nich, bez jakiegokolwiek pomocy mechanicznej, na przykład podnośnika, a i wtedy nie dałby pan rady zrobić tego w pojedynkę. To trzecie zabójstwo, pan Kaminsky... jest jeszcze zbyt wcześnie, aby cokolwiek powiedzieć na pewno. Ale zawsze istnieje możliwość, że skopiował pan dwa poprzednie zabójstwa, aby wyglądało tak, jakby nie miał pan nic wspólnego z tym morderstwem.

Jim pokręcił głową.

– Jaki motyw mogłem mieć, żeby przybić Ricky'ego Kaminsky'ego do sufitu we własnej sypialni, zwłaszcza kiedy zamierzałem wprowadzić tam dziewczynę?

Detektyw Brennan ugryzł duży kęs pączka, a kiedy mówił, lewy policzek mu nabrzmał.

– Dobra... nawet jeśli nie miał pan motywu, to może wie pan, kto miał? Może to ktoś, kto ma dziwny uraz do pana. Zabija pańską córkę, a następnie ogrodnika, a potem tego artystę, który mieszkał pod panem.

– To nie ma żadnego sensu, najmniejszego – stwierdził Jim. – Nawet nie wiedziałem, że miałem córkę, dopóki Bethany nie została zamordowana. Nie znałem tego ogrodnika osobiście, prawie wcale, poza *buenos dias*. A Ricky... jasne, lubiłem go i czasami wychodziliśmy na kilka piw razem, ale nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

– No cóż... pańskie zeznania mają potwierdzenie. Pił pan w Cat'n'Fiddle, jak pan mówi, i wrócił do West Grove Community College około drugiej w nocy, aby zabrać telefon komórkowy, nawet jeśli nie powinien pan prowadzić po takiej ilości alkoholu. Potem wrócił pan i zaprosił panią Summer Parks do swojego mieszkania. – Przerwał, a po chwili dodał: – Obojętnie z jakiego powodu.

Jim nic nie powiedział. Skłamał detektywowi Brennanowi o tym, że zostawił telefon na biurku i wrócił po niego do szkoły. Jednak nie chciał nic mówić o ojcu i synu Silence'ach, dopóki nie dowie się więcej o Kościele Bożego Podboju i obietnicy przywrócenia raju. W jego raju Bethany i jego ojciec wracają do życia, a on nie chciał ryzykować, że do tego nie dojdzie, dopóki nie zrozumie, jak Silence'owie zamierzają to zrobić i jakie będą tego konsekwencje.

Poza tym nie powiedział detektywowi Brennanowi, że Ricky opisał „dwóch facetów w bieli”, a zwłaszcza o tym, że mówił, iż potrafią latać. Podejrzewał, że detektyw weźmie te twierdzenia za halucynacje umierającego człowieka, który na dodatek w chwili śmierci był pijany i pod wpływem peruwiańskiej trawki.

– Kto jeszcze ma dostęp do pańskiego mieszkania? – spytał detektyw Brennan. – Ktoś jeszcze ma klucz? Może była dziewczyna?

– Tylko agencja wynajmu. Może facet od konserwacji. Nie wiem, kto jeszcze.

– Nie ma żadnych śladów włamania, panie Rook. Nie było żadnych śladów walki. I nie było odcisków na dywanie, co mogłoby wskazywać na użycie jakiejś drabinki albo rusztowania w celu przybicia ofiary i tych wszystkich kotów do sufitu.

Detektyw Brennan wepchnął ostatni kawałek pączka w usta, a potem oparł się w krzesło, nieufnie mierząc Jima iskrzącym się zezem zbieżnym.

– Ujmę to w ten sposób, panie Rook. Nie ufam zbyt mocno przeczuciom. Nie jestem jak ten cholerny facet z *Mentalisty* w telewizji. Jednakże w tym wypadku mam bardzo, ale to bardzo silne przeczucie, że wie pan dużo więcej, niż mi mówi.

Wysunął cztery palce, a potem zgiął jeden z nich.

– Trzy rytualne zabójstwa. Cóż, zakładamy, że są to zabójstwa rytualne, ale nie mamy bladego pojęcia, o jaki rytuał chodzi. Ludzie przybici do sufitu i do drzewa w połowie wysokości? Każda ofiara otoczona ośmioma białymi kotami? Sprawdziłem to w Google’u i zupełnie nic nie znalazłem, poza informacjami o ludziach, którzy mają pełno białych kotów do adopcji, bo ich właściciel się przekreślił. Ale myślę, że chyba jednak wie pan, co się święci. W końcu orientuje się pan w tych wszystkich nadprzyrodzonych bredniach, nie? Porucznik Harris mawiał, że w porównaniu z panem Copperfield jest gościem, którego duch kopnął w tyłek, a on go nie zauważył.

– Przysięgam, detektywie – odpowiedział Jim – gdybym miał choćby najmniejsze pojęcie, o co chodzi w tym całym przybijaniu gwoździami, powiedziałbym. Też to sprawdziłem w internecie i mam dziesiątki książek o rytuałach magicznych i religijnych. Ale wciąż jestem tak samo zaskoczony jak pan.

– Dobrze, panie Rook, zostawmy to teraz. Ekipa techniczna mówi, że będziemy potrzebowali pańskiego mieszkania co najmniej przez kolejne czterdzieści osiem godzin. Gdzie będzie pan przebywał w tym czasie?

– Hm, pani Parks wspomniała mi swoją kanapę na najbliższe kilka dni.

– Rozumiem. Swoją kanapę. Bardzo wspomniała mi. Tylko proszę pamiętać, żeby nie wrócić do własnego mieszkania i nie zanieczyścić

miejsca zbrodni. I... panie Rook...

Jim już otwierał drzwi. Zatrzymał się i powiedział:

– Tak, detektywie?

– Koniec z jazdą pod wpływem, rozumiano? Myślę, że i tak mamy wystarczająco dużo martwych ludzi, którymi trzeba się zająć, i pan nie musi się dopisywać do tej listy.

...

Jim przyjechał do szkoły kilka minut po czternastej. Słyszał hałas, który robiła klasa druga specjalna w przeciwnym krańcu korytarza – śmiali się, krzyczeli, przepychali i śpiewali. Rozpoznał Jesmekę Watson i Rebecę Teitelbaum, które śpiewały piosenkę Rihanny skrzekliwym chórem, słyszał, jak Tommy Makovicka rzy ze śmiechu niczym mors, a DaJon Johnson wybija nierówny rytm o ławkę.

Jim wszedł i natychmiast klasa ucichła, choć było jeszcze dużo szurania, szeptów i chichotów. Podszedł do biurka, położył teczkę, a potem odwrócił się do nich. Od razu zauważył brak Simona.

– Dobrze – powiedział. – Myślę, że wszyscy wiemy, co się stało... dlaczego jestem tak późno.

– Jakiegoś faceta ukrzyżowano w pana mieszkaniu – zgłosił się na ochotnika DaJon Johnson. – Widziałem to w wiadomościach dziś rano. To trochę straszne, człowieku. To znaczy... psze pana.

– To prawda – przyznał Jim. – Znalazłem sąsiada przybitego do sufitu w mojej sypialni, gdy wróciłem do domu wcześniej rano... Był przybity tak samo jak ta biedna dziewczyna w mojej klasie i ogrodnik do cyprysu.

– To okropne – odezwała się Hunni Robards. – Musiał się pan porzygać.

– Czy wiadomo, kto to zrobił? – spytał Rudy Cascarelli. – To musi być jakiś seryjny psychol.

– Policja oczywiście się tym zajmuje – odpowiedział Jim – ale w tej chwili nie wiem nic więcej poza tym, co widzieliście w telewizji. Prawdopodobnie nawet mniej.

– Wygląda na to, że ma pan złą passę – zauważył Joe Chang. – Ale nie tak bardzo, jak niektóre bliskie panu osoby.

– Zmieńmy temat, jeśli nie masz nic przeciwko temu – poprosił Jim. – Nie przyszedłbym dzisiaj w ogóle do szkoły, gdybym nie musiał pilnie porozmawiać z wami o tym.

Podszedł do tablicy, podniósł kawałek czerwonej kredy i napisał dużymi literami: RAJ. Potem odwrócił się do klasy, otrzepując dłonie.

Nie mówił nic przez prawie piętnaście sekund. Stopniowo uczniowie zaczęli się uspokajać. Kyle Baxter głośno wydmuchał nos, ale nikt się nie śmiał ani nie pokusił o głupkowaty komentarz, jak zwykle to robili.

Jim przenosił wzrok z jednego ucznia na drugiego.

– Byliście tu wszyscy ostatniej nocy z Simonem. Odkąd Simon dołączył do klasy, wiele mówiło się o raju i o tym, co wszyscy chcieliby mieć dla siebie. Nie jestem pewien, czy zdobycie wszystkiego, czego się chce, to taka wielka rzecz i czy jest to dobre, czy złe. A może się okazać naprawdę czymś złowrogim. Może słyszeliście powiedzenie, że „władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie”. Z tego, co mówicie, zaczynam wnioskować, że moglibyście powiedzieć to samo o raju.

– Ale jak może być złe, psze pana, dostać wszystko, o czym się marzy? – spytała Jesmeka Watson, potrząsając kolorowymi koralikami we włosach.

– Nie wiem, Jesmeko – odparł Jim. – Po prostu chciałbym, żebyśmy na ten temat rozmawiali, chciałbym, abyście powiedzieli mi, co tu się wydarzyło ostatniej nocy i czego się teraz spodziewacie.

Rebecca Teitelbaum, siedząca w ostatnim rzędzie, podniosła rękę. Miś Nudnik wciąż siedział obok niej z żalobnym wyrazem twarzy.

– Simon mówił, że to nie jest tajemnica, proszę pana, i że powinniśmy powiedzieć o tym wszystkim, jeśli nas poproszą.

– Rozumiem. Wobec tego mów. Proszę. Słucham cię.

– Dziś jest dwudziesty siódmy września – wybełkotała monotonicznie Rebecca. – To rocznica dnia, kiedy Bóg wyrzucił z Edenu pierwszą partnerkę Adama, Lilith, i kazał jej nigdy nie wracać. Bóg był na nią zły,

ponieważ wierzyła, że jest równa Adamowi i nie po to została umieszczona na ziemi, aby rodzić Adamowi dzieci i robić to, co Adam jej każe. Lilith wierzyła, że ona i Adam powinni wiedzieć absolutnie wszystko, by mogli wybrać, jak chcą przeżyć swoje życie, żeby mogli podejmować własne decyzje, a nie żeby Bóg podejmował decyzje za nich.

– A co ty o tym myślisz? – spytał Jim.

– Myślę, że miała rację – wtrąciła Hunni Robards, przesuwając gumę do żucia z jednej strony buzi na drugą. – Nawet jeśli ten mięczak Adam się nie przeciwstawił, to przynajmniej Lilith miała jaja, żeby to zrobić.

– A ty, Rudy, jaka jest twoja opinia?

Rudy Cascarelli wzruszył ramionami.

– Dla mnie w porzo, jak kobiety są traktowane równo i w ogóle. Przynajmniej niech sobie myślą, że tak jest. Co w tym złego? I tak muszą dalej gotować i sprzątać, i jeszcze rodzić dzieci, no nie?

– Łuu! – sprzeciwiła się Rebecca Teitelbaum.

Rudy Cascarelli pokręcił głową i roześmiał się.

– Wyj sobie, ile chcesz, kochanie. Znasz jakichś chłopaków, którzy zajdą w ciążę? Bo ja na pewno nie!

– Wszyscy modliliście się tu w nocy, prawda? – zapytał Jim.

– To prawda, proszę pana, tak – odpowiedział Al Alvarez. – To były razem trzy modlitwy. Jedna o Bogu, jedna o Jezusie i jedna o Duchu Świętym. Simon czytał je linijka po linijce ze swojej książki, a my musieliśmy odpowiadać coś jemu na końcu każdej linii.

– Co to znaczy, „odpowiadać”? Tak jak ksiądz mówi w kościele: „Pan z wami”, a wszyscy odpowiadają: „I z duchem twoim”?

– Chyba tak. Powiedział coś w stylu: „Bóg wziął dwie garści błota i ulepił z nich ludzi”. No, może nie dokładnie tak, ale coś w tym stylu. A my wszyscy musieliśmy odpowiedzieć „okay” i jeszcze parę słów, chyba po grecku... czy jakoś tam.

– Mów dalej.

– To chyba wszystko. Powiedział, że te modlitwy pomogą jego tacie zmienić świat z powrotem na taki, jaki powinien być, ponieważ jego tata

mógłby zebrać tę szczególną moc.

– A kiedy to miałyby się stać?

– Przed końcem dzisiejszego dnia, tak nam powiedział. Mówił, że to wszystko zostało wyjaśnione w tej jego książce, co ma się stać.

– W Księdze Raju?

– Zgadza się.

Jim rozejrzał się po klasie.

– Więc gdzie jest teraz Simon?

– Był tutaj w klasie dziś rano, psze pana – odezwał się Kyle Baxter. – Ale powiedział, że musi zanieść tę książkę z powrotem ojcu do kościoła, ponieważ jest wyjątkowa i to jedyny egzemplarz, jaki istnieje.

– Powiedział, że jego tata zmieni świat z powrotem na taki, jaki powinien być, jeszcze przed końcem dnia, ale nie wyjaśnił, jak jego ojciec zamierza to zrobić?

– Powiedział jeszcze jedno – wtrącił Joe Chang. – Że dowiemy się, kiedy to się zacznie dziać, bo zrobi się naprawdę ciemno, jak w czasie zaćmienia słońca, wie pan? Ale po chwili wróci znowu światło.

– To brzmi dość apokaliptycznie, nie sądzicie? Czy nikt z was się nie boi?

– Nie, jeśli to będzie raj – odparła Jesmeka Watson.

– Więc sądzicie, że to rzeczywiście się stanie?

– Dlaczego nie? Niedługo zobaczymy, prawda? Jak nie, to nie, i dalej będziemy skazani na to samo zasrane życie co zawsze.

– Ale nawet jeśli tak się stanie... gdy zrobi się znowu jasno... myślicie, że to naprawdę będzie raj?

– Jeśli dostaniemy to, co chcieliśmy, psze pana, to na pewno.

W jakiś sposób Simon Silence przekonał te wszystkie dzieciaki, że od któregoś momentu dzisiejszego dnia reszta ich życia będzie radosna. A oni mu uwierzyli, myślał Jim.

Tak jak ja wierzę w głębi serca, że walebnny John Silence może dać mi siłę, by przywrócić życie Bethany i ojcu. To szaleństwo. Powinno być niemożliwe. A jednak wierzę w to.

W którymś momencie dzisiaj, dwudziestego siódmego września, coś przeskoczy jak w mechanizmie gigantycznego zegara. Śmierć Bethany, śmierć Santany, śmierć Ricky'ego. Pojawienie się zmarłego ojca na brzegu morza, utopionego i zdezorientowanego. Ciemna postać w kapturze, z początku mglista, ale za każdym razem coraz bardziej realna. Wielebny John Silence znikający z barowego stołka. Zawsze uśmiechnięty Simon Silence z twarzą zmieniającą się w coś dziwnego i zimnego.

Wszystkie te różne elementy układały się w jedno i dzisiaj stworzą całość.

Latali, Jim. Oni, kurwa, latali.

Jim spojrzął na zegarek.

– Przykro mi – powiedział. – Muszę gdzieś iść. Rozdam wam kilka arkuszy z ćwiczeniami na liczbę mnogą. Jak je rozwiążecie, możecie iść.

– Och, nie, proszę pana – odezwała się Jesmeka Watson. – Zostaniemy tu, aż nastanie raj.

– Dobrze, w porządku, róbcie, co chcecie – odparł Jim. – Miejmy nadzieję, że nie nadejdzie zbyt późno i nie będziecie musieli siedzieć tu długo i czekać.

Wyciągnął plik testów z teczki i podał Kyle'owi Baxterowi, aby je rozdał klasie. Potem ruszył korytarzem, zbiegł po schodach i wyszedł głównym wejściem.

Nieomal zderzył się z Sheilą Colefax, która wchodziła po schodach.

– Jim! – zawołała. – Słyszałam, co się stało!

– Nie mogę teraz się zatrzymać! – odpowiedział bez tchu i przebiegł przez parking do swojego samochodu. Otworzył drzwi, rzucił teczkę na miejsce pasażera, wsiadł i uruchomił silnik.

Opuścił osłonę przeciwsłoneczną i spojrzął na własną twarz w lusterku. Wyglądał na zaniedbanego i szalonego, na dodatek nie ogolił się. Ale nie było na to czasu. Wyjechał pospiesznie z parkingu, popędził podjazdem i z piskiem opon skręcił w lewo na Sunset, wywołując kanonadę protestujących klaksonów.

Miał tylko nadzieję, że dotrze na Lookout Mountain Avenue, do Kościoła Bożego Podboju, zanim zrobi się przedwcześnie ciemno i nadciągnie raj.

Rozdział 17

Ruch na Sunset znowu osiągnął normalne, ślimacze tempo, więc zanim Jim dotarł do skrzyżowania z Laurel Canyon Boulevard i przejechał trzy kilometry do Lookout Mountain Avenue, było już za pięć czwarta.

Lookout Mountain Avenue była wąska, jasna i zapyłona, z rozpadającymi się domami, skleconymi amatorsko garażami i zachwaszczonymi podwórkami. Jim jechał powoli, starając się dojrzeć numery domów.

Czuł się spokojniejszy, ale jeszcze bardziej zdeterminowany, by dowiedzieć się, co robią teraz obaj panowie Silence'owi. A ściślej, chciał wiedzieć, kim albo czym są. Czy to naprawdę oni przybili Ricky'ego do sufitu i czy potrafią latać? Czy może po prostu Ricky miał zwidy?

Chociaż obaj byli paskudni, Jim musiał przyznać, że zarówno ojciec, jak i syn charakteryzowali się silnym osobistym magnetyzmem. Obaj potrafili przyciągać ludzi do siebie – nie tylko dlatego, że oferowali im wszystko, czego tamci najbardziej pragnęli. Mieli jeszcze jeden urok – urok, który był dość nieokreślony, jak słodko-kwaśny smak ich jabłek.

Jim wiedział, że łatwo może im ulec. Mogę przywrócić życie Bethany i ojcu, myślał, i przeżyją resztę życia, jak gdyby nic się im nie stało. Komu miałyby to zaszkodzić?

Jednak dręczył go jeszcze wrodzony sceptycyzm, jego własne zasady i logika. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że nie może istnieć coś takiego jak jeden raj dla wszystkich, ponieważ czyjś raj zawsze okazuje się piekłem dla kogoś innego. Dlatego musiał zadać Silence'om jedno palące pytanie, zanim zstąpią ciemności. Ile to wszystko będzie kosztować i kto za to zapłaci? Moralnie, duchowo i pod wszelkimi innymi względami.

Dotarł do długiego, wysokiego muru po prawej stronie drogi. Był otynkowany, pomalowany na czerwono i porośnięty pnączami. W połowie

murów znajdował się łukowaty otwór z żeliwną bramą. Nad nią widniał złoty napis: *Kościół Bożego Podboju*.

Zaparkował samochód na nierównym, zarośniętym chwastami poboczu po przeciwnej stronie drogi i wysiadł. Nie było nikogo w zasięgu wzroku, a jedynym dźwiękiem był nieustanny szum samochodów, gdzieś w oddali warkot helikoptera i cykanie cykad.

Żeliwna brama wydała jęk protestu, kiedy ją otwierał. Za nią rozpościerał się wyłożony kamieniami ogród. Panowała tu cisza i cień, ogród był mocno zaniedbany. W donicach i żardynierach straszły tylko zeschnięte chwasty i chociaż stała tu ozdobna kamienna fontanna z tańczącą nimfą, była sucha, a samą figurę pokrywały płyty żółto-czarnych porostów.

Szedł przez ogród, aż dotarł do budynku kościoła. Był bladoróżowy, wyblakły od słońca i wyglądał, jakby kiedyś służył za dom pomniejszej gwiazdki filmowej albo dyrektorowi odnoszącemu umiarkowany sukces. Został wybudowany w stylu hiszpańskim, pokryty dachówkami, z cienistą kolumnadą dookoła. Jedynym przejawem życia było stadko przepiórek, które siedziały na szczycie głównego budynku i od czasu do czasu wydawały piskliwe wrzaski godowe.

Jim zszedł krótkimi schodami, a potem obszedł kolumnadę, aż dotarł do dwuskrzydłowych rzeźbionych dębowych drzwi, których jedna połowa była częściowo otwarta. Zajrzał do środka i zobaczył szeroki hol recepcji z błyszczącymi brązowymi kafelkami na podłodze i z półokrągłymi schodami, które prowadziły do galerii na piętrze. Ozdobny kryształowy żyrandol zwisał z sufitu jak gigantyczna sieć pajęczna. Wyczuwał lekki zapach kadzidła z drewna sandałowego.

Po drugiej stronie holu znajdowały się kolejne dwuskrzydłowe drzwi, dla odmiany szeroko otwarte. Za nimi był jasny, nasłoneczniony pokój, choć przez to słońce wszystko wydawało się Jimowi rozmazane i nie potrafił stwierdzić, czy ktoś jest w środku.

– Halo! – zawołał. – Pastorze Silence! Simon! Jest tu kto?

Począł czekać, ale ponieważ nie było odpowiedzi, zawołał ponownie:

– Pastorze Silence! Tu Jim Rook! Muszę z panem porozmawiać!

Nadal nie było odpowiedzi. Począł jeszcze chwilę, a potem pchnął uchylone drzwi nieco szerzej i wszedł do środka.

– Wielebny Silence!

Przeszedł przez hol do pokoju w głębi. Było to najwyraźniej główne pomieszczenie, w którym zbierali się członkowie Kościoła Bożego Podboju, bo znajdowało się tu co najmniej dziesięć rzędów prostych białych krzeseł z przejściem pośrodku. W pokoju było bardzo jasno, ponieważ trzy ściany od podłogi do sufitu wypełniały okna, zasłonięte jedynie cienkimi białymi zasłonami z muślinu. Na wprost krzeseł znajdował się ołtarz przykryty krwistoczerwonym obrusem. Na ołtarzu stały dwie, również krwistoczerwone, świece w srebrnych świecznikach, a między nimi niewielka srebrna figurka mężczyzny z rękami i nogami rozłożonymi wewnątrz obręczy, jak u człowieka witruwiańskiego Leonarda da Vinci.

Przed postacią leżała otwarta książka, a gdy Jim podszedł do ołtarza, zobaczył, że to ta sama, z której Simon Silence czytał uczniom w klasie w nocy... oprawiona na białą Księga Raju.

Powinien ją pan kiedyś przeczytać.

Jim podszedł do samego ołtarza. Księga Raju była dość cienka. Wyglądała, jakby nie była dłuższa od Księgi Rodzaju, Księgi Liczb albo Księgi Kapłańskiej, lub którejkolwiek z pozostałych ksiąg Biblii. Strony, na których ją otwarto, zostały oznaczone dwoma krwistoczerwonymi paskami jedwabiu, wyhaftowanymi w okrągłe symbole podobne do srebrnej postaci mężczyzny z rozpostartymi kończynami.

Jim się rozejrzał. W kościele panowała niesamowita cisza. Nie słyszał nawet pogwizdujących na dachu przepiórek. Pochylił się i zaczął czytać.

I Pan Bóg stworzył Lilith z prochu ziemi, by dać ją Adamowi za żonę. Jej włosy były długie i czerwone jak róża, policzki były białe i czerwone. Usta były niczym wąskie drzwi, piękne w swym wystroju, jej słowa były gładkie jak olej. Jej usta były również czerwone jak róża i słodsze od wszystkich słodyczy świata.

Była naga, ale z uszu zwisało jej sześć ozdób, a z szyi sznury i ozdoby, a zdobiło ją czterdzieści ornamentów minus jeden.

Lecz ponieważ Lilith była ukształtowana z tej samej ziemi co Adam, nie uznawała go za swojego pana i nie stała się jego służącą. Zostawiła go, a Pan Bóg rozgniewał się na nią i wygnał z raju. Jej domem stały się pustynie i wszelkie pustkowia i poprzysięgła zemstę za niesprawiedliwe traktowanie, które ją spotkało.

Pan Bóg, zanim stworzył dla Adama inną żonę, wysłał trzech aniołów, by poszukali Lilith i wrócili z nią do raju. A imiona aniołów były Senoy, Sansenoy i Semangelof. Lecz Lilith odrzuciła ich błagania i odmówiła powrotu do raju, jeśli miałyby to oznaczać przyjęcie Adama jako swego pana.

Gdy Lilith odmówiła powrotu, Pan Bóg rzucił na nią klątwę, według której setka jej potomstwa będzie umierać każdego dnia po wieki wieków, a po śmierci trafi do piekła. Lilith z zemsty została kochanką Samaela, nieobrzezanego arcydemonia, znanego również jako Anioł Śmierci, a tym samym stała się królową demonów.

Samael i Lilith poczęli syna Saklasa. A kiedy Saklas dorósł, Lilith wysłała go w przebraniu węża do raju. Saklas skusił Ewę, by zjadła owoc z drzewa poznania, a Pan Bóg wygnał Adama i Ewę z raju za nieposłuszeństwo. W taki sposób Lilith się zemściła.

Jim wciąż czytał, gdy dość blisko niego rozległ się głos:

– Przyszedeł pan, panie Rook! Dobrze! Spodziewaliśmy się pana.

– Jezu! – zawołał Jim i cofnął się szybko o krok od ołtarza.

Wielebny John Silence stał zaledwie trzy metry od niego w luźnej białej koszuli i workowatych białych spodniach, uśmiechając się. Simon Silence siedział na jednym z gładkich białych krzeseł, dwa rzędy od tyłu; wyglądał poważniej, a jego twarz wydawała się bardziej płaska niż kiedykolwiek, jakby przyciskał ją do wystawy sklepowej.

– Musimy pana przeprosić za to, że nie wyraziliśmy się jaśniej – rzekł wielebny Silence. – Ale powinien pan ze swojego nauczycielskiego doświadczenia wiedzieć, że aby uczniowie zrobili to, czego się od nich chce, należy sprawić, by uwierzyli, że postępują dokładnie odwrotnie.

– Ricky Kaminsky – odezwał się Jim.

Wielebny Silence wciąż się uśmiechał, niespieszony.

– Tak, panie Rook. Ricky Kaminsky. Co z nim?

– Jeszcze żył, kiedy go znalazłem. Powiedział, że przybiło go do sufitu dwóch mężczyzn w bieli.

– Jeszcze żył? To niewiarygodne. Jaki wytrzymały musiał być z niego człowiek!

– Wy go zabiliście? Wy go tam przybiliście?

– Tak.

Jim otworzył i zamknął usta, ale tak nim wstrząsnęło bezpośrednio wyznanie Silence'a, że wypuścił powietrze z płuc i nie padło już żadne słowo.

– Zanim pan zapyta – dodał wielebny Silence – To także my przybiliśmy Bethany Edwards i Alvara Estebana.

– Co?

– Potrzebowaliśmy ludzi blisko pana albo przynajmniej ludzi, których pan znał. Mogliśmy wybrać Sheilę Colefax albo Summer Parks, ale los tak chciał, że do tych trzech najłatwiej było się nam zbliżyć.

– Zabiliście moją córkę – powiedział Jim. Poczuł, jakby dusił się cierniową kulą, i nie mógł powstrzymać łez napływających mu do oczu. – To była moja córka i wiedzieliście o tym, zanim jeszcze sam dowiedziałem się o jej istnieniu, i zamordowaliście ją, kurwa, przybiliście ją do sufitu! Jesteście psychopatami! Ty i twój psychiczny syn! Obaj psychopaci!

– Panie Rook, bardzo proszę...

Pastor Silence podniósł obie ręce w uspokajającym geście. Zbliżył się o krok, ale Jim cofnął się i krzyknął:

– Nie podchodź do mnie, psychopatyczny morderco! Dzwonię na policję, i to natychmiast!

– Myślę, że najpierw powinien pan posłuchać... – zaczął pastor.

– Posłuchać! Słuchać czego? Jakiegoś mordercy psychopaty stukniętego na punkcie bzdur ze Starego Testamentu? Twój syn pisze wypracowania o świecie w ogniu, o ludziach, których nigdy nie powinno być, i stosach płonących kości! Obaj jesteście szurnięci! Dzwonię na policję!

Jim wydobyl z kieszeni komórkę i wybrał 911, ale wielebny Silence po prostu pokręcił głową.

– Tu nie ma zasięgu, panie Rook. Kościół Bożego Podboju to martwa strefa, jak to się mówi.

– Okay. To zadzwonię z zewnątrz. Do zobaczenia później, psychopato.

– Proszę, panie Rook... proszę poczekać! Jeśli zrezygnuje pan teraz, to nigdy nie będzie pan w stanie przywrócić Bethany do życia... ani swojego ojca... ani Estebana czy Ricky'ego. Przyznaję, że upiekliśmy dwie pieczenie na jednym ogniu. Musieliśmy złożyć trzy ofiary z ludzi, zanim stworzyła się możliwość przywrócenia raju. I to była moja decyzja, aby poświęcić trzy osoby bardzo blisko z panem związane. W każdym razie osoby, które pan znał.

Jim wytarł łzy grzbietem dłoni. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

Silence chodził powoli tam i z powrotem, a Simon pozostał z tyłu sali, na swoim miejscu, pochylony do przodu, posępny.

– Prawdą jest jednak, że na żadnym medium ani na żadnej osobie o zdolnościach parapsychicznych nie można polegać. Nikomu z nich nie można ufać, na całej planecie. Niektórzy rzeczywiście wierzą, że mogą komunikować się z tymi, którzy przeszli na drugą stronę, i oddając im sprawiedliwość, pewnie naprawdę słyszą głosy. Ale oszukują samych siebie.

Pastor Silence przestał krążyć i podszedł prosto do Jima, aby spojrzeć mu w oczy. Gdybym miał broń, pomyślał Jim, rozwaliłbym ci łeb, kurwa, tu i teraz. Ale wiedział, że musi słuchać. Musiał się dowiedzieć, jak to wszystko składa się w całość. Inaczej nie będzie żadnej nadziei na ogarnięcie całości.

– Może to pana zaskoczy, panie Rook – powiedział pastor Silence – ale jest pan jedyną osobą na świecie, która rzeczywiście widzi zmarłych i z nimi rozmawia, która widzi duchy i demony, a także inne zjawy. Nikt inny tego nie potrafi, obojętnie jak bardzo udaje. Nikt. Ani jeden człowiek. Nie mam pojęcia dlaczego. Co się stało, kiedy znalazł się pan w stanie śmierci klinicznej, gdy był pan chłopcem... kto wie? Może to wcale nie przez to. Może urodził się pan z tą zdolnością, a dopiero wtedy, gdy prawie

pan umarł, dowiedział się pan o tym. W każdym razie ja wiem o tym zupełnie przez przypadek. To była Margaret Keaton, pamięta pan?

Ta nauczycielka z Santa Monica, która zastrzeliła swojego męża, bo rak sprawiał mu tyle bólu, a następnie sama się zastrzeliła. Nie wierzyła, że nie żyje, prawda? Aż do momentu, kiedy porozmawiała z panem. Wziął ją pan na spacer przez cmentarz Woodlawn i pokazał jej grób, w którym została pochowana, i wtedy uwierzyła. Byłem tam tego popołudnia, panie Rook, i widziałem, jak rozmawia pan z duchem tej kobiety, i wtedy zdałem sobie sprawę, że po wiekach poszukiwań w końcu trafiliśmy na osobę, o którą mogliśmy się tylko modlić.

Jim zaczął odczuwać zawroty głowy, prawie jakby miał zemdleć.

– Chyba muszę usiąść – powiedział. – Nie... nie pomagaj mi. Nie chcę twojej pomocy. Nie zbliżaj się do mnie.

Podszedł do pierwszego rzędu krzeseł i usiadł. Wielebny Silence poszedł za nim, ale zatrzymał się w pełnej szacunku odległości.

– Szklankę wody? Simon może przynieść.

– Nie, dziękuję. Wolałbym umrzeć z pragnienia.

– Bardzo dobrze. W pełni rozumiem, dlaczego jest pan zły. Ale musiałem się upewnić, że pomoże nam pan sprowadzić raj i że nie zmieni pan zdania.

– Mordując moją córkę?

– Tak, mordując pańską córkę. Ponieważ tylko pomagając nam sprowadzić raj, będzie pan mógł przywrócić ją do życia.

– Jezu. Wiem, co to jest szantaż, ale to przerasta wszystko. Ty i twój syn jesteście chorzy, a nawet więcej niż chorzy.

Wielebny Silence uniósł brew.

– Ponad sześćset osób zostaje zamordowanych w tym mieście każdego roku, panie Rook. Ponad sześćset... i za co? Za nic, po prostu życie staje się bardziej niebezpieczne i nieprzyjemne. Ale sensowna ofiara z tych trzech osób zmieni wszystko dla wszystkich. Przywróci raj.

– Bijecie kogoś na śmierć, potem malujecie białą farbą i przybijacie do sufitu, otaczając martwymi kotami. Co to za ofiara?

– To rytualna ofiara składana przez wyznawców Baala.

– Baala? Masz na myśli króla piekła? Jesteś jeszcze bardziej szalony, niż myślałam.

– Widziałeś postać z mgły. Widziałeś twarz na obrazach Kaminsky’ego. Widziałeś, kto stał za twoim ojcem nad brzegiem morza. Nie możesz temu zaprzeczyć.

– Chcesz mi powiedzieć, że to był Baal?

Wielebny Silence pokiwał głową pobłażliwie, jak nauczyciel zachęcający bardzo powolnego ucznia.

– Rytuał wzywania Baala jest taki: należy wybrać trzy niewinne osoby i ukarać je za brak winy. Następnie malowane są na białą, aby wykazać, że nie popełniły żadnego grzechu. Potem są przybijane wysoko, aby zakpić z Kalwarii i pokazać, że Jezus nie był nikim wyjątkowym, kiedy został niesłusznie ukrzyżowany za to, że był dobry, i że Syn Boży nie posiada wyłącznego prawa do bezsensownego męczeństwa.

– Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Co z kotami? Skąd się tu biorą koty?

– Białe koty symbolizują czystość i szczęście. Wyznawcy Baala przybijali żywego białego kota do bramy tego, kto wyrządził im krzywdę, na znak, że jego szczęście się skończyło, i żeby nawiedziły go ubóstwo i choroby.

– I z powodu tych szalonych wierzeń zabiliście moją córkę?

– Och, daleko temu do szaleństwa, panie Rook – powiedział pastor Silence. – Każda z tych trzech ofiar otwiera kolejne drzwi do Baala i pozwala mu sprawować władzę w świecie ludzi. I mężczyzn, i kobiet, pozwolę sobie dodać. Pierwsza ofiara odblokowuje ograniczenie, które daje Duch Święty. Druga ofiara odblokowuje ograniczenie dane przez Syna Bożego. A trzecia ofiara odblokowuje ograniczenie stworzone przez samego Pana Boga. Baal jest teraz wolny, panie Rook, po raz pierwszy od czasu ukrzyżowania Jezusa Chrystusa. I z pana pomocą przywróci ziemi prawowity stan.

Jim wstał. Zerknął na Simona, a potem przeniósł wzrok na jego ojca.

- Wiesz, co myślę? - powiedział. - Myślę, że jesteś nienormalny. I myślę, że ja tak samo zwariowałem, słuchając tego steku bzdur.

Wielebny Silence uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Jak pan może tak mówić? Sam pan widział wielkiego Baala.

- Byłem zmęczony. Byłem zestresowany. Miałem halucynacje. Za dużo piwa, za mało snu.

- Jak pan myśli, jak przybiliśmy do sufitu i do drzewa tych wszystkich ludzi?

- Nie wiem i nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć.

- Zrobiliśmy to tak, panie Rook - powiedział wielebny Silence, rozkładając szeroko ramiona; zamknął oczy na chwilę, a potem wznosił się w powietrze, aż znalazł się prawie dwa metry nad podłogą.

Rozdział 18

Jim cofnął się niezgrabnie o trzy lub cztery kroki, aż wpadł na krzesło. Widział już wcześniej lewitujące duchy i był świadkiem tego, jak dusza wychodziła z ciała śpiącego i ulatywała przez otwarte okno.

Lecz nigdy nie widział, aby żyjący człowiek uniósł się nad podłogę za sprawą samej siły woli, tak jak zrobił to wielebny John Silence na jego oczach. Był zaszokowany i przerażony, ale jednocześnie było to dla niego dziwnie fascynujące.

– Jak, do cholery, to robisz? – spytał.

– Proszę się nie niepokoić – odparł pastor Silence kojącym głosem. – Mój syn i ja nie jesteśmy tymi, na kogo wyglądamy.

– A kim jesteście?

– Dowie się pan już wkrótce, kiedy zbierzemy się na Wielkie Pojednanie.

– Ciągłe myślisz, że wam pomogę?

– Oczywiście, panie Rook. Naprawdę nie ma pan innego wyjścia. Chce pan odzyskać swoich bliskich, prawda? Nie chce pan, aby coś złego przydarzyło się pańskiej klasie. Cóż... żadnych więcej krzywd niż to absolutnie konieczne.

– Moja klasa? Masz na myśli drugą specjalną? Co z nimi? Przysięgam na Boga, jeśli skrzywdzisz kogoś z nich...

– Proszę, nie przysięgać na Boga – powiedział Silence. Kiedy to mówił, stopniowo zniżał się do podłogi, a po kilku sekundach jego sandały bezgłośnie zetknęły się z wypolerowanym dębowym parkietem. – We wszystkich doniosłych momentach trzeba składać ofiarę i pańska klasa będzie musiała się poświęcić, jak wielu innych.

– Co rozumiesz przez ofiarę? Nie zamierzasz poprzybijać ich do sufitu?

– Dowie się pan już wkrótce, panie Rook. Czy nie widzi pan, że robi się ciemno?

Jim się rozejrzył. Pastor Silence miał rację. Słońce zbladło i w pokoju zrobiło się mroczno. Przez budynek zaczął wiać lekki zimny podmuch, a muślinowe zasłony unosiły się i opadały, jakby oddychały. Simon Silence nadal siedział skulony z tyłu sali, a jego twarz stawała się coraz bardziej gładzia. Uśmiechał się do Jima triumfalnie spode łba.

– Czas już iść – powiedział wielebny Silence. – Nie ma pan nic przeciwko temu, żeby nas podwieźć, co?

– Podwieźć was? Dokąd?

– Z powrotem do szkoły, oczywiście. Tam uczniowie będą na pana czekać. Tam też zbiorą się nasi wierni. Tam będzie pan asystować Baalowi podczas Wielkiego Pojednania.

Jim poczuł, jakby jego mózg był fizycznie rozrywany. Miał teraz zdradzić wszystko, w co kiedykolwiek wierzył, i sprzeniewierzyć się wszelkim zasadom, które uczyniły go tym, kim był. Do tej pory sprzeciwiał się ludziom, którzy mu grozili, bez względu na to, jakie naturalne i nadprzyrodzone moce posiadali. Ale jaką miał alternatywę? Jeśli nie przywróci do życia Bethany, Santany i Ricky'ego, skoro ma możliwość to zrobić, będzie tak samo winny ich zabójstwa jak Silence'owie.

W sali zrobiło się ciemniej, a powiew przybrał na sile, aż czerwony obrus na ołtarzu zaczął falować.

– Dobra – zdecydował Jim. – Ale wiedz, że nie robię tego z własnej woli.

– Oczywiście, że nie. – Wielebny Silence się uśmiechnął. – Niewielu ludzi, którzy włożyli najbardziej doniosły wkład w historię świata, uczyniło to bez przymusu. Zrobili tak, ponieważ było to konieczne. A teraz twój wyjątkowy i wspaniały dar daje nam okazję, aby tego dokonać, ponieważ trzeba naprawić krzywdy, które Bóg nam wyrządził od czasu Edenu.

– Chodźmy już, dobrze? – powiedział Jim. – Nie potrzebuję kazań.

Simon Silence wstał i czekał, aż Jim i jego ojciec podejną nawą na tył sali i dołączą do niego. Cała trójka opuściła budynek kościoła i poszła gęsiego przez zapuszczony ogród. Jim spojrział w górę. Niebo było przerażająco ciemne, a błyskawice rozświetlały chmury. Gdy minęli główną bramę, wiatr wzbił pył i suche liście juk, które turlały się w poprzek drogi z dźwiękiem grzechotników.

Jim otworzył tylne drzwi samochodu po stronie kierowcy.

– Dalej – powiedział, wskazując ruchem głowy, żeby obaj usiedli z tyłu.
– Nie chcę, aby którykolwiek z was siedział obok mnie, dziękuję.

– Nie powinien pan być tak niechętny, panie Rook – odpowiedział pastor Silence, gdy wsiadał za synem. – Po dzisiejszym dniu, obiecuję, będzie pan gwiazdą.

Jim nic nie powiedział, ale zatrzasnął za nimi drzwi, a potem sam wsiadł do samochodu.

•••

Droga do West Grove Community College minęła bez nieprzewidzianych zdarzeń, choć zrobiło się tak ciemno, że każdy pojazd jechał z włączonymi światłami. Zaczęło padać. Żaden z pasażerów z tyłu się nie odzywał.

Po kilku minutach Jim włączył radio, aby usłyszeć, czy którakolwiek ze stacji informuje o nagłym popołudniowym zaciemnieniu, ale odbierał jedynie niekończące się szumy i trzaski.

Minęli bramę college'u. Gdy powoli wjechali na podjazd, Jim z rosnącym zdumieniem spostrzegł, że cały dziedziniec i wszystkie stoki dookoła głównego budynku są zapełnione tysiącami uczniów. West Grove przyjęło ponad osiem tysięcy pięciuset uczniów w nowym roku szkolnym i wydawało się, że prawie wszyscy zebrali się tutaj.

Mimo że już głośno grzmiało i deszcz zalewał cały dwudziestoosmiohektarowy kampus, uczniowie stali w bezruchu, przemoczeni, chociaż niektórzy z nich trzymali otwarte książki, skoroszyty albo zamknięte czasopisma nad głowami.

Jim zwolnił, gdy dotarł na obrzeża tłumu, a potem się zatrzymał. Kilku uczniów odwróciło się i skrzywiło, widząc jego samochód, ale żaden

z nich nie zainteresował się jego przybyciem i natychmiast odwrócili się twarzami w przeciwnym kierunku.

Jim spojrzął na pastora Silence'a w lusterku wstecznym.

– Co oni tu robią? Tu muszą być wszyscy uczniowie z całej cholernej szkoły i jeszcze paru na dodatek.

– Ma pan rację. Wszyscy uczniowie poza tymi, którzy wyjechali gdzieś dalej, na kurs albo z kraju, albo leżą chorzy w łóżku. Może pan tu zaparkować samochód, a my wysiadzimy.

Jim podjechał do krawężnika. Ojciec i syn wysiedli i stanęli obok samochodu, czekając, aż do nich dołączy. Jim poczekał chwilę w środku, zastanawiając się, czy nie powinien szybko się wycofać i wynosić stamtąd, ale wtedy pastor skinął na niego i wskazał na zegarek, a Jim odczytał z ruchu jego warg: „Chodźmy, panie Rook! Tracimy czas!”.

Wysiadł z samochodu na deszcz. Przedzierał się przez tłum razem z Silence'ami. Niektórych uczniów trzeba było szturchać mocno nawet dwa razy, żeby się odsunęli, ale żadnemu z nich to najwyraźniej nie przeszkadzało. Skupiali się na tym, co działo się na środku dziedzińca.

Kiedy Jim torował sobie drogę do przodu, zobaczył w końcu to, na co wszyscy patrzyli. Była to zakapturzona postać siedząca ze skrzyżowanymi nogami na asfalcie w szarych szatach przesiąkniętych deszczem. Mimo że siedziała, była prawie tak wysoka jak uczniowie, którzy zebrali się wokół. Głowę pochyliła do przodu, tak że twarz pozostała całkowicie ukryta w ciemnym wnętrzu kaptura. Ramiona miała zgarbione, a szaty upchane pod spód tak, że widać było tylko lewą szarą dłoń, która luźno spoczywała na kolanie. Jim od razu poznał pierścień z poskręcanych węży.

Przybył tu. Był tu, w świecie rzeczywistym, w deszczu, i teraz widział go nie tylko Jim, ale wszyscy – każdy z tysięcy uczniów. Święta Trójca trzymała go w izolacji w otchłani od tysięcy lat, ale teraz pastor Silence za sprawą trzech fałszywych ukrzyżowań go uwolnił. Przybył i był gotowy na Wielkie Pojednanie – odwrócenie wszystkiego, co Bóg ustanowił od stworzenia Adama.

Choć Jim spodziewał się widoku zakapturzonej postaci i powtarzał sobie całą drogę, że będzie w stanie sobie z nią poradzić, poczuł głębokie,

zimne uczucie strachu – zwłaszcza gdy postać poruszyła się lekko pod szatami, jakby wiedziała, że przybył na miejsce.

Jednak naprawdę niepokoił go uczniowie jego klasy. Byli tu wszyscy trzynaścioro, stali w półkolu za zakapturzoną postacią, z rękami opuszczonymi przy bokach, mokrzy i ociekający deszczem, ale z cierpliwymi obliczami, jakby byli gotowi czekać już na zawsze, gdyby musieli.

– Proszę pana! – zawołał DaJon Johnson. – Myśleliśmy, że już się pan nie zjawi!

Jim ostrożnie okrążył zakapturzoną postać, by do nich dołączyć.

– Co wy tu wszyscy robicie? – spytał. – Kyle... Joe... Jesmeka?

W tym momencie dyrektor Ehrlichman przeszedł przez tłum. Jego łysą głowę znaczyły krople deszczu, a marynarka koloru khaki była ciemna od wilgoci. Dyrektor wyciągnął rękę i powiedział:

– Jim! Czekaliśmy na ciebie!

– Co tu się dzieje, Walter? – spytał Jim. – Co robi tu moja klasa?

Dyrektor Ehrlichman rozłożył ręce i obrócił się powoli dookoła.

– Jaka frekwencja! Popatrz na nich wszystkich! Nasi akolici! Nasi wierni akolici!

– Walter, to nie są nasi akolici. To są nasi uczniowie! To tylko dzieciaki ze szkoły!

Lecz w tym momencie wielbny Silence zrobił krok do przodu, a tuż za nim Simon. Ich mokre białe lniane koszule marszczyły się na wietrze.

– Wielkie Pojednanie wymaga zgromadzenia, panie Rook, a jakie zgromadzenie może być odpowiedniejsze niż uczniowie pańskiej szkoły? Dyrektor Ehrlichman zrobił wielki wysiłek, by zgromadzić ich tu wszystkich. Obiecał każdemu z nich, że znajdzie swój osobisty raj.

– Oj, proszę pana! – odezwał się Al Alvarez. – To będzie niesamowite! Niech pan pomyśli! Wszystko, czego zawsze chcieliśmy!

Wielbny Silence przechylił głowę na bok i powiedział:

– On ma rację, panie Rook. W ciągu kilku minut pańska Bethany może tu stanąć i trzymać pana za rękę. I pański ojciec. Baal da panu niezbędną

moc, musi pan jedynie ich wezwać. Pańscy apostołowie pomogą.

– Moi apostołowie? To moja klasa, uczniowie, nie moi apostołowie. Nie jestem Jezusem, na miłość boską.

– Ach... ale to, czego dokona pan dzisiaj, będzie jak nakarmienie pięciu tysięcy. A to znacznie większe osiągnięcie, ponieważ jest jeszcze tak wiele tysięcy... i zamiast rozdawać im chleb i ryby, spełni pan ich pragnienia!

Jim nie mógł przestać myśleć, że to bluźnierstwo. Lecz spojrzął po twarzach zgromadzonych uczniów, a następnie z powrotem na własną klasę, doktora Ehrlichmana i resztę nauczycieli. Widział Sheilę Colefax, która uśmiechała się do niego, Rogera Balla, nauczyciela matematyki, Hestona Greene'a, który wykładał nauki społeczne. Cato Philips, trener futbolu, kiwał do niego zawzięcie głową i pokazywał oba kciuki.

Wielebny Silence próbował położyć rękę na ramieniu Jima. Jim podniósł ramię, aby go odsunąć, ale pastor pochylił się ku niemu i powiedział ściszym, przymilnym głosem:

– Nie może pan teraz zawieść tych wszystkich ludzi, panie Rook. Proszę na nich spojrzeć! Proszę spojrzeć na ich twarze! Oni wszyscy liczą na pana... każdy z nich! Zgromadzili się tu, spodziewając się rajy, a pan jest jedyną osobą, która może im to dać! Teraz... niech pan chwyci swoich uczniów za ręce i stańcie w kręgu wokół Baala. Niech się zacznie przyzywanie martwych!

– Chodź, Jim! – zawołał doktor Ehrlichman. – Dla dobra West Grove! Pomyśl, jak podniesie się morale, kiedy każdy uczeń będzie miał to, czego zawsze pragnął! Pomyśl, jak bardzo wzrośnie nasza reputacja! Pomyśl o naszych notowaniach! I nie zapominaj, ile pieniędzy wielebny Silence da nam na obiekty sportowe!

Pastor Silence pochylił się jeszcze bliżej i dodał uwodzicielskim tonem:

– Proszę pomyśleć, jak się pan poczuje, panie Rook, kiedy dostanie pan to, czego chce!

To istne szaleństwo, pomyślał Jim. Jest tu ponad osiem tysięcy uczniów i my, ich nauczyciele, i wszyscy stoimy podczas burzy wokół posępnego szarego demona, spodziewając się, że będziemy szczęśliwi.

I wtedy nagle przyszło mu na myśl: Właściwie dlaczego nie? Czy Bóg kiedykolwiek obdarował nas szczęściem? Czy Bóg daje nam cokolwiek poza bólem, cierpieniem i tragiczną stratą? Od kiedy Adam i Ewa zostali wygnani z Edenu, co mieli mężczyźni i kobiety oprócz znoju, zwątpienia, okrucieństwa i zdrady?

Odwrócił się do DaJona Johnsona i wyciągnął rękę.

– Chodź, DaJon, zróbmy to. I wy także utwórzcie krąg, dobrze? Niech wszyscy trzymają się za ręce wokół naszego przyjaciela w kapturze.

– Nigdy nie będzie pan tego żałował, panie Rook – powiedział pastor Silence. – Pańskie imię będzie żyło wiecznie.

Jim nie odpowiedział, tylko podał prawą dłoń DaJonowi Johnsonowi, a lewą Rebecce Teitelbaum. Wkrótce Jim z trzynaściorgiem uczniów klasy drugiej specjalnej stanęli kręgiem wokół siedzącej na ziemi zakapturzonej postaci, trzymając się za ręce i drepcząc w pełnym skupieniu. Jesmeka Watson potrząsnęła głową, by pozbyć się kropli deszczu, aż koraliki zabrzęczały w jej włosach.

– Czy wszyscy jesteście na to gotowi? – spytał Jim.

– Jeśli teraz nie jesteście gotowi, to nigdy już nie będziemy! – stwierdził Rudy Cascarelli. – Hej... czuję się tu jak jakiś pedał, kiedy trzymam za ręce dwóch chłopaków!

Tuż nad ich głowami rozległ się rozzwierający grzmot. Potem, kiedy huk odbił się echem po dwakroć od wzgórz i z pomrukiem zamilkł, nastąpił po nim cichy szum, który przeszedł przez tłumy uczniów stojących dookoła nich w narastającym jak tsunami dźwięku, by w końcu opanować cały kampus.

Jim zrozumiał, co to było. To był dźwięk nadziei i podniecenia. Prawie każdy uczeń, który zapisał się do West Grove, zdawał sobie sprawę, że musi pilnie się poprawić. Tego popołudnia w deszczu oferowano im sukces i szczęście – bez nauki, prac domowych i egzaminów. Musieli jedynie okazać swoje przywiązanie do Baala.

Wielebny Silence obszedł krąg uczniów klasy Jima, a potem podszedł do niego samego i stanął z tyłu. Jim poczuł jego lekko czosnkowy oddech. Pastor uniosł ręce i zaśpiewał wysokim, drżącym głosem:

– Pan Bóg wziął w obie ręce po garści ziemi i z każdej ulepił człowieka, jednego mężczyznę i jedną kobietę. I byli sobie równi. Ale czy Pan Bóg traktował ich na równi?

Jim był zaskoczony, gdy wszyscy z klasy drugiej specjalnej zawołali chórem:

– Okay!

Takiej odpowiedzi musiał nauczyć ich Simon Silence, kiedy zabrał ich na modlitwę w środku nocy. Ale nagle przyszło mu do głowy, że „okay!” wcale nie oznaczało „tak”. Wiedział, że pierwsze użycie słowa „okay”, oznaczającego „w porządku”, zostało odnotowane dopiero pod koniec XVIII wieku. Ta odpowiedź musiała być greckim słowem *óxi* i brzmiała jak „okay”, ale w rzeczywistości oznaczała „nie”. Każda odpowiedź na to, co rzekomo uczynił Bóg, kiedy stworzył raj, brzmiała „nie!”.

Pastor Silence śpiewał:

– Pan Bóg wyrzucił Lilith z raju, ale kiedy zdał sobie sprawę, że Adam będzie potrzebował żony, aby rozmnożyć rasę ludzką, posłał aniołów, by ją przyprowadzili z powrotem. Lecz cóż Lilith powiedziała aniołom?

– *Óxi* – skandowała klasa.

– I czyż Pan Bóg nie przeklął potomstwa Lilith na zawsze tak, że setka z nich powinna umierać każdego dnia? I czy było to sprawiedliwe? Czy to było miłosierne?

– *Óxi!*

– Ale znaleźliśmy zbawiciela i dziś potomstwo Lilith odzyska raj, którego nie dał mu Pan Bóg i Jezus Chrystus, i Duch Święty. I wielki Baal powstanie ponownie i zapanuje nad światem, który prawnie należy do niego. W końcu ujrzymy Boży Podbój, czyli Zwycięstwo nad Bogiem, na które czekaliśmy z taką cierpliwością przez wiele tysięcy lat. Pokłońcie się wszyscy wielkiemu Baalowi!

Fala dźwięku pośród tłumu robiła się coraz głośniejsza i głośniejsza. Było to bardziej echo niż ludzkie głosy, aż Jim poczuł, jakby brzęczały mu zęby.

Bardzo powoli i spazmatycznie, jak jakiś automat, postać w kapturze zaczęła rozwijać szatę i wstawać. Pod mokrymi szarymi szatami wydawała się szczupłą jak szkielec, ale wyprostowawszy się całkowicie, miała prawie pięć metrów wzrostu i górowała nad wszystkimi.

Obracała głową w kapturze z boku na bok, jakby rozkoszując się każdą chwilą reinkarnacji i wielkim tłumem, który zebrał się, by ją przywitać. Na Jimie wywarło największe wrażenie to, że nikt z tłumu nie wydawał się przestraszony. Zamiast tego wszyscy wpatrywali się w postać nieomal z uwielbieniem.

Pastor Silence śpiewał:

– O wielki Baalu! Jestem twoim sługą i... Patrz! Przywiodłem ci jedynego człowieka, który może wezwać dzieci Lilith z krainy śmierci.

Postać w kapturze spojrzała na Jima, który wciąż trzymał się za ręce ze swoją klasą, tworząc krąg. Jim dostrzegł oczy błyszczące we wnętrzu kaptura. Wydawało się, że postać nieustannie na niego spogląda, nie porusza się ani nic nie mówi. Nagle wyciągnęła w jego stronę szarą, kościstą lewą rękę, ze srebrnym pierścieniem z węży mieniącym się na palcu.

– Proszę ją wziąć – zachęcał go wielebny Silence. – Niech pan ujmie tę rękę, a moc, jakiej pan potrzebuje, będzie dana.

Jim puścił rękę DaJona Johnsona i Rebecki Teitelbaum. Wiedział, że to decydująca chwila. Jeśli nie chwyci ręki należącej do zakapturzonej postaci, całe to zgromadzenie będzie musiało rozejść się bez podarowanego raję, którego tak rozpaczliwie pragnęli. Wielebny Silence i Simon będą musieli wrócić do kościoła i modlić się o znalezienie kogoś innego, kto, tak jak on, będzie mógł wezwać duchy z zaświatów – i kto wie, ile lat im to zajmie.

Ale gdyby odmówił i nie przyjął tej wyciągniętej dłoni, trzy ofiary z Bethany, Santany i Ricky'ego byłyby tylko bezsensowną rzezią. Jak mógłby z tym żyć?

Wielebny Silence podszedł bardzo blisko niego od tyłu i mruknął:

– Śmiało, panie Rook. Proszę pamiętać, co powiedział Khalil Gibran. „Śmierć jest prorokiem bez czci i poetą, który jest obcy pośród swoich”.

Niech pan weźmie rękę Baala, a pokona pan śmierć.

Rozdział 19

Jim ujął dłoń Baala. Była zaskakująco sucha, jak skóra węża, ale też intensywnie zimna; wyczuwał każdą kość w stawach palców. Była przeciwieństwem dłoni jego ojca, tamta była prawdziwa i twarda.

Pomyślał: Nie mogę w to uwierzyć. Trzymam rękę jednego z legendarnych władców piekła. To prawie tak, jakbym trzymał się za rękę z Szatanem.

Uczniowie cały czas nie przerywali cichego, dźwięcznego buczenia, a błyskawice ciągle rozświetlały niebo, nadając chmurom wygląd taniej teatralnej scenografii.

Z wnętrza kaptura doszedł głęboki, stłumiony głos Baala:

– Jesteś naprawdę jeden. Ten jedyny. Nigdy nie wierzyłem, że ten dzień nadejdzie. Widzę przez twoje oczy. Widzę tak wielu zmarłych czekających na powrót.

– Poczekaj – zaoponował Jim, chociaż gardło miał ściśnięte ze strachu i tak bardzo brakowało mu tchu, że ledwo mógł mówić. – Wielebny Silence złożył mi obietnicę.

– Wielebny Silence? Ha! To najbardziej ironiczne nazwisko dla kogoś, kto nigdy nie był wielbiony i kto rzadko milczy.

– Być może, ale nie zamierzam ci pomóc, dopóki nie oddasz mi tych trzech osób, które zostały ofiarowane, by ciebie wyzwolić. Wiesz... przybite razem z kotami. Najpierw chcę odzyskać tych troje. I mojego ojca też. Taka była umowa.

– Zatem wezwij ich – powiedział Baal. – Wezwij ich, przywołaj, a ja dam ci siłę potrzebną, by przywrócić im życie.

Jim próbował uspokoić oddech. Serce waliło mu mocno. Pomyślał o Bethany stojącej na końcu korytarza, niewyraźnej w blasku słońca.

– Pomyśl o tych wszystkich rzeczach, które moglibyśmy zrobić razem, tatusiu. Moglibyśmy jeździć na pikniki. Moglibyśmy spacerować brzegiem morza. Moglibyśmy razem czytać książki na wietrznym wzgórzu. Moglibyśmy rozmawiać i rozmawiać, i rozmawiać, i nigdy nie kończyć rozmów.

Pomyślał o Santanie, kiedy spojrzął na niego, przerywając mu rozkopywanie nor na podwórku w Briar Cliff Apartments.

– Hola, señor Rook!

Pomyślał o Rickym, jak siedział przed sztalugami, próbując namalować Gawędziarza.

– Kiedyś myślałem, że lata sześćdziesiąte były dziwne. Potem, że siedemdziesiąte. Ale dzisiaj... kurczę. Cały pieprzony świat jest dziwny.

Wreszcie pomyślał o swoim ojcu, stojącym na plaży w Santa Monica, jeszcze mokrym mimo upływu trzydziestu trzech lat.

– Jak mogę być duchem? To nie ma żadnego sensu!

Kiedy myślał o nich, czuł lekkie zimne mrowienie przesuwające się w górę ręki. Zupełnie jakby poddano go transfuzji krwi, tylko takiej bezpośrednio po wyjęciu jej z lodówki. Zimno zalało mu ramię, przeszło na plecy, spłynęło po drugim ramieniu, a następnie szybko wypełniło całe ciało, tak że nie mógł opanować drżenia.

Zajrzał w mroki kaptura Baala i zobaczył, że jego oczy błyszczą jeszcze intensywniej niż kiedykolwiek.

– Czujesz to? – spytał Baal. – Czujesz tę siłę? To moc przeciwstawia się śmierci. To moc nieśmiertelności. Pan Bóg myślał, że jest panem życia i śmierci, ale zapomniał, że kiedyś byliśmy aniołami i eksterminowaliśmy grzeszników i bałwochwalców na Jego polecenie. Wraz z twoim darem możemy przywrócić do życia wszystkich, którzy tak niesprawiedliwie zginęli, i możemy zniszczyć wszystkich, którzy nigdy nie powinni istnieć.

Jim miał zamiar spytać Baala, co ma na myśli, gdy usłyszał czyjeś wołanie:

– Tato! Tatusiu!

Odrzucił się, chociaż Baal trzymał go za rękę tak boleśnie mocnym chwytem, że nie mógł się uwolnić. Poprzez tłum uczniów biegła do niego

Bethany, o jasnobrązowych, związanych wstążką włosach; miała na sobie tę samą szarą szatę, w której ukazała się mu w szkole. Jej twarz jaśniała radością.

Jeszcze zanim dotarła do Jima, zobaczył Ricky'ego i Santanę, jak też szli przez tłum; a niedaleko za nimi dostrzegł swojego ojca, Williama „Billy'ego” Rooka. Tym razem ojciec nie miał na sobie garnitur, w którym utonął, ale swoją ulubioną brązową kurtkę ze sztruksu i wojskowe spodnie khaki.

Bethany przybiegła do niego z wyciągniętymi rękami, ale wtedy zobaczyła, że Jim trzyma rękę Baala, i natychmiast się zatrzymała.

– Och, dobrze – powiedziała, starając się zająrzeć do wnętrza jego kaptura. – Nie skończyłeś jeszcze wzywania? To niesamowite. – Dziewczyna nie wydawała się wcale zdenerwowana.

– Wiesz, co to jest? – spytał Jim. – Nie przeraża cię ani trochę?

– To jest Baal – odparła. – Kiedyś też należałam do Kościoła Bożego Podboju. Oni zawsze mówili o Baalu, o uwolnieniu go i o tym, jak wygląda i że mają nas wszystkich zabrać z powrotem do raju.

– Kościół Bożego Podboju ciebie zabił – oznajmił Jim. – Oni cię pobili i zamordowali, a zrobili to, aby jego uwolnić.

Bethany zerknęła na wielebneho Silence'a i Simona.

– Powiedzieli, że muszę ponieść ofiarę. Powiedzieli, że przywrócisz mi życie. Obiecali i uwierzyłam im. I... patrz... zrobiłeś to. Znowu żyję. I czuję się całkiem dobrze. I kocham cię.

Ricky kiwał głową i trzymał ręce w górze tak, aby Jim mógł zobaczyć, że wszystkie otwory po gwoździach się zamknęły.

– Nie wiem, kurwa, człowieku, jak to zrobiłeś, ale też się czuję dobrze. Nie żebym zaraz wybaczył tym draniom Silence'om. Tylko poczekajcie, wy dwaj. Pewnego dnia, kiedy najmniej się tego będziecie spodziewali, dopadnę was i dokopię wam obu tak, że się nie pozbieracie i nie będziecie tacy milczący.

Santana chwycił Ricky'ego za ramiona i powiedział:

– *Sostendré capa, señor, me creo...* Potrzymam panu płaszcz, proszę mi wierzyć.

Billy Rook podszedł i stanął obok Bethany. Jeszcze nie rozumiał, że jest jej dziadkiem.

– No, Jim! – zawołał, a w jego głosie kryła się nuta triumfu. – Mówiłem ci, że nie jestem duchem, co?

Jim spojrzał na rękę Baala, wciąż mocno ściskającą jego dłoń. Węże na srebrnym pierścieniu ożyły, skręcały się i wiły, jak gdyby były w agonii. Jim podniósł głowę i spojrzał w oczy Baala. Baal wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem podniósł wolną rękę i ściągnął kaptur. Jego szare, ostro wyrzeźbione rysy były dokładnie jak te namalowane przez Ricky'ego, nie wyłączając dwóch guzłowatych rogów wystających spomiędzy włosów. Wyniosły, arystokratyczny, z haczykowatym nosem i bardzo cienkimi wargami, z podbródkiem ostrym jak dłuto.

– To ty – rzucił Ricky. – To ty mieszałeś mi w farbach, co? I w mojej głowie też? To wcale nie przez to peruwiańskie gównno. Spójrz na siebie. Co ty, kurwa, jesteś? Pół człowiek, pół cholerna koza?

Baal go ignorował, ale Jim powiedział:

– Uspokój się, Ricky. Proszę. Nie czas na to.

– Cholera, w połowie koza i w połowie długi strumień sików, tym on jest – mamrotał Ricky, ale tym razem pod nosem.

Baal przemówił bezpośrednio do Jima:

– *Dotrzymałem mojej części umowy, teraz ty musisz dotrzymać swojej.* – Miał triumf na twarzy, ale głos zniżył do groźnego szeptu.

– Dobrze – odparł Jim. – Czego ode mnie chcesz?

Wielebny Silence podszedł do niego. Wsunął dłoń pod koszulę i wyciągnął duży złoty medalion z wytłoczoną na nim twarzą kobiety. Podsunął go Jimowi, aby mógł się lepiej przyjrzeć. Kobieta miała drobną twarz i mogłaby być piękna, gdyby nie jej porażający, przepełniony wściekłością wzrok.

– To jest Lilith – powiedział pastor Silence. – Gdy Pan Bóg przeklął potomstwo Lilith na całą wieczność, stworzyła ten medalion. Powstał

z pierścieni, które dał jej Bóg na znak, że jest żoną i służką Adama, i aby udekorować jej nagie ciało dla przyjemności Adama. Powiedziała, że w miarę jak będą mijały wieki, medalion będzie zasilany duszami wszystkich jej potomków, których Bóg przeklął i skazał na śmierć. To jakby starodawna wersja pamięci masowej.

– Więc... w zasadzie co? – spytał Jim. Uświadamiał sobie, że niebo staje się coraz jaśniejsze i burza przetacza się na wschód. Przestało też padać. Zebrani uczniowie zaczęli się niepokoić, a ich pełne nadziei buczenie było coraz bardziej nierówne.

– Niech pan ściśnie ten medalion mocno palcem wskazującym i kciukiem – wyjaśnił wielebny Silence. – Kiedy pan to zrobi, przywoła pan każde z miliona przeklętych przez Boga dzieci Lilith. Przy pańskich możliwościach powinien pan ujrzeć je pod postacią wielkiego tłumu, a przy nieograniczonej potędze Baala powinien pan przywołać ich wszystkich z powrotem do świata żywych.

– Przepraszam, mówisz o milionach?

– Gdyby mógł pan wskrzesić każdego z milionów ludzi, którzy zginęli w obydwóch wojnach światowych, nie zrobiłby pan tego?

– Jezu... jak możesz oczekiwać ode mnie odpowiedzi na takie pytanie?

– Bo to bardzo przypomina to, co pan teraz robi, panie Rook. I... jeśli nie ma pan nic przeciwko... proszę nie używać w ten sposób tego imienia na J.

– Tatusiu, proszę – błagała Bethany. Jim spojrzał na nią. Nie potrafił pogodzić się z tym, jak spokojnie przyjęła to wszystko... własną śmierć, zmartwychwstanie, pojawienie się Baala. Ale podobnie jak wielu młodych ludzi, których zwodzą sekty religijne, uległa wpływom Silence'ów do tego stopnia, że pozwoliła, by ją złożyli w ofierze, a on nie mógł winić jej za to. Ona nadal wierzyła.

Gdybym tylko o tym wiedział, pomyślał Jim. Wydostałbym ją stamtąd jak najszybciej. Ale jak mógł się czuć winny? Nawet nie był świadom jej istnienia. Teraz jednak wiedział i nie mógł pozwolić jej umrzeć ponownie.

– Proszę, panie Rook! – odezwała się Hunni Robards. – Tak bardzo pragnę tego raj!

– Wszyscy tego chcemy – wtrącił Joe Chang. – Jak pan tego nie robi, to nie mamy na co czekać. Nie ma przyszłości. Nic. Zostaniemy na dnie tej sterty gówna na zawsze.

– To prawda, proszę pana – powiedziała Rebecca Teitelbaum. – I to nie tylko chodzi o naszą klasę... ale o wszystkich uczniów. Jest pan mentorem dla każdego z nich. Wie pan, co jest napisane w Talmudzie: „każde źdźbło trawy ma anioła, który się nad nim pochyla, mówiąc: rośnij, rośnij”.

Do tych wszystkich prośb dołączył dyrektor Ehrlichman i zawołał, jak mu się wydawało, swoim najbardziej autorytatywnym tonem:

– No dalej, Jim! Ruszajmy z tym przedstawieniem, co?

Jim zawahał się i wtedy wyszło słońce. Rozejrzał się wokół po ponad ośmiu tysiącach twarzy, wszystkie lśniły, wszystkie błagały, by podarował im raj.

Skinął głową, a wielebny Silence zdjął z szyi medalion Lilith i podał mu. Jim trzymał go w lewej dłoni, gładząc opuszkami kciuka wybrzuszoną twarz Lilith.

– Teraz proszę go ścisnąć bardzo mocno – polecił wielebny Silence. – Niech pan poczuje dusze w jego wnętrzu, wszystkich, którzy upadli na przestrzeni wieków. W grobach, w trumnach, na cmentarzach. Niech pan ich poczuje i wezwie! Drzemią teraz, ale może pan ich zbudzić na nowo!

Jim ścisnął medalion tak mocno, jak tylko mógł, kciukiem i palcem wskazującym. Jednocześnie Baal ujął jego prawą rękę jeszcze mocniej i znów odczuł ten chłodny przypływ siły wypełniający jego ramię. Tym razem jednak była dużo mocniejsza i zimniejsza... tak zimna, że aż zadrżał.

Tłum uczniów zaczął śpiewać dziwnie wysokim chórem, po części nabożnie, po części rozpaczliwie, jakby tysiące śpiewaków spadało z tysięcy metrów. Jim pomyślał: Tak to musiało brzmieć, kiedy Bóg wypędził wszystkich aniołów, którzy go nie zadowolili, a oni spadli z nieba.

Oczami wyobraźni nagle zobaczył męską twarz – śniadą, o bliskowschodnich rysach, zarośniętą – odwracała się do niego, jakby wyrwał ją ze snu. Potem inną twarz, a potem kolejną. Nagle pojawiła się

cała masa migoczących twarzy: mężczyzn, kobiet i dzieci, a wszyscy z nich patrzyli, jak gdyby właśnie zostali obudzeni. Migotanie robiło się coraz szybsze i szybsze, aż twarzy nie można było rozpoznać, bo zlały się w jedną plamę.

Uczniowie śpiewali coraz wyżej i wyżej, aż wydawali przeszywający uszy, nieustanny krzyk. Klasa druga specjalna dołączyła do śpiewu, chociaż Bethany, Santana i ojciec Jima stali w milczeniu. Twarze przywrócili do Baala, a ich oczy lśniły wdzięcznością. W końcu Baal zwrócił im życie.

Tylko Ricky wyglądał na obrażonego i ciągle spoglądał na Jima, jakby chciał powiedzieć: *Co robisz, człowieku? Czy jesteś pewien, że wiesz, co robisz? Ten kozi syn może i przywrócił mnie do życia, ale przede wszystkim nie powinni mnie zabijać.*

Migotanie twarzy nagle ustało, jak gdyby taśma filmowa dobiegła końca i teraz tylko trzepotała na szpuli, a ekran pozostał pusty.

Baal puścił dłoń Jima i powiedział:

– *Stało się. Przekleństwo wieków zostało zniesione.*

Zmarli powrócili do nas.

Wielebny Silence położył rękę na ramieniu Jima.

– Postąpił pan bardzo dobrze, panie Rook. Teraz... chciałbym odzyskać mój medalion.

Jim odwrócił się i wykrzyknął:

– Jezu!

Wielebny Silence był wciąż ubrany na białą, ale jego twarz zmieniła się dramatycznie. Czaszka mu się zwęziła, oczy zrobiły się skośne, a nos wyostrzył się jak orli dziób. Dwa długie, zakrzywione kły wystawały spod górnej wargi, a spomiędzy nich wyskakiwał rozwidlony język.

– Nie domyślił się pan, kim naprawdę jestem... ani przez chwilę? – spytał. Jego głos się nie zmienił, chociaż teraz brzmiał jeszcze bardziej szyderczo.

– Jesteś diabłem – odparł Jim. – Tylko nie mam pojęcia, którym z nich.

– Oczywiście tylko pan widzi mnie w tej postaci – powiedział wielebny Silence. – I oczywiście Pan mój i Mistrz, Baal. Jestem Samael, kochanek Lilith. Jak myślisz, dlaczego poświęcałem się przez tyle wieków, aby odwrócić klątwę, którą Bóg na nią zesłał? Ona przeciwstawiła się Bogu i postanowiła zostać ze mną jako równa mnie, jako matka tak wielu moich dzieci, zamiast wrócić do Adama jako służka.

– Samael? Anioł Śmierci?

– Cóż, tak zwać mnie Żydzi. Niegdyś byłem zwany katem Boga. Ale odmówiłem spełnienia bożej klątwy rzuconej na Lilith i zabicia własnych dzieci.

Jim słyszał słabe krzyki dobiegające z drugiej strony kampusu. Bethany podeszła do niego i wzięła go pod rękę.

– To już koniec, tatusiu. Zrobiłeś to. Powinniśmy iść.

Wielebny Silence uśmiechnął się do niej i rozwidlonym językiem oblizwał wargi.

– Ma pan mądrą córkę, panie Rook.

Jim się odwrócił. Okrzyki stawały się coraz głośniejsze i był pewien, że słyszy też wołanie. Przez tłum uczniów przeszła fala, a następnie jęk, jak gdyby wszyscy zaczęli zdawać sobie sprawę, że coś jest nie tak.

– Co się dzieje? – zapytał. – Myślałem, że dajemy tym dzieciom to, czego chciały!

– *Być może zwodziliśmy cię* – rozległ się głęboki głos tuż za nim. To był Baal. – *Może należy uważniej studiować pisma. Samael jest Aniołem Śmierci, ale Baal... Baal jest Panem Kłamstw.*

Zaśmiał się szorstko, bez radości, a potem naciągnął kaptur z powrotem na głowę, zakrywając twarz.

– Co zrobiłeś?! – krzyknął na niego Jim. – Co, do diabła, zrobiłeś?

– „Diabeł” to właściwe słowo – odpowiedział Baal. – *Ale niczego nie zrobiłem. Aby się stało, potrzebny był twój udział. Jeśli człowiek ma gorszego wroga od Boga, to jest nim on sam.*

Wtedy siwy dym zaczął wylewać się z niego, a wiatr niósł go na wschód.

– Przestań! – wrzeszczał Jim. – Przestań!

Ale w ciągu kilku sekund Baal stał się smugą dymu i uleciał do nieba.

Krzyki i wrzaski stały się teraz znacznie głośniejsze i nagle uczniowie wokół nich zaczęli biegać niczym stado bydła, wystraszone przez dzikie psy. Większość pobiegła przez dziedziniec na tyły szkoły, ale niektórzy zyzgakami pokonywali parking i zbiegali z boczem w kierunku kortów tenisowych i znajdującej się za nimi drogi.

Jim znowu odwrócił się do wielebnego Silence’a, drżąc z gniewu wywołanego zdradą i świadomością własnej głupoty.

– Musimy to zatrzymać – powiedział. – Nie wiem, co się tutaj dzieje, ale musimy to zatrzymać.

Doktor Ehrlichman przepchnął się do nich i pociągnął pastora za rękaw. Nie mając daru Jima, widział wielebnego Silence’a, a nie diabła Samaela.

– Co się dzieje? Dlaczego moi uczniowie uciekają? Obiecałeś im raj, i mnie też!

Lecz pastor wyrwał rękaw i rzekł:

– A czego się spodziewałeś? Kto przy zdrowych zmysłach myśli, że może mieć wszystko, co tylko zechce, za nic? Jaki rozsądny człowiek myśli, że zasługuje na raj?

– Powiedz mi, co się tutaj dzieje, szarlatanie – nakazał doktor Ehrlichman.

Jim poczuł zapach dymu i to nie był tylko dym pozostały po ulotnieniu się Baala. Nagle zobaczył pomarańczowe płomienie strzelające z boku budynków szkoły od strony boiska i gęsty czarny dym zaczął się wznosić do nieba.

Bethany ponownie szarpnęła go za ramię i powiedziała:

– Tato, naprawdę powinniśmy iść!

– Ona ma rację, panie Rook – odezwał się Santana z niepokojem. Uczniowie nadal biegali bezładnie. – *Es hora para que nos vayamos, y tan rápidamente como sea posible!**

William Rook podszedł wyraźnie zdezorientowany.

- Nie rozumiem, Jim! Jestem teraz prawdziwy, tak? Nie jestem duchem! To nie jest koszmar? Powiedz mi, że to nie jest koszmar, Jim! Powiedz mi, że jestem prawdziwy!

Jednocześnie Simon Silence pojawiał się za prawym ramieniem ojca. Uśmiechał się, ale jego twarz zupełnie przypominała gadzią. Nawet oczy miał żółte, z czarnymi pionowymi szczelinami zamiast źrenic.

Jim zrozumiał teraz, kim – a właściwie czym – on jest, czym był przez cały czas, odkąd przyszedł do klasy drugiej specjalnej. Simon Silence to wąż, którego Samael posłał do Edenu, by szeptał Ewie do ucha, aby nie była posłuszna Bogu, za co została wygnana z Raju jak Lilith. To było tak przerażająco oczywiste. Simon Silence nawet dawał mu jabłka – owoce z drzewa poznania i wspomnień, które powinny zostać zapomniane.

- Brawo, panie Rook – powiedział ze skinieniem głowy. - Ma pan teraz wszystko, czego pańskie serce pragnęło, tak samo jak my.

Nad stadionem dym wznosił się wysoko ku południowemu niebu, a Jim zauważył, że eukaliptusy też stanęły w ogniu. Ich wysokie pnie trzaskały, a ogniste liście wirowały w powietrzu.

Joe Chang, Jordy Brown i reszta klasy podeszli do Jima.

- Co mamy teraz zrobić, proszę pana? Czy to nadchodzi raj, czy co? To zupełnie nie przypomina raj!

Jim spojrzał na pastora i Simona – Samaela i jego węża – i odpowiedział:

- Nie, Joe. Raj został odwołany ze względu na tych przebiegłych, kłamliwych drani. Uciekajcie stąd wszyscy tak szybko, jak tylko możecie. Idźcie do mojego mieszkania. Briarcliff pięć siedem siedem pięć jeden, tuż na górze North Van Ness.

- Dlaczego mamy to zrobić, proszę pana?

- Chcę was dokładnie policzyć, aby upewnić się, że wszyscy są cali i zdrowi. I musimy porozmawiać o tym, co tu się stało i co będziemy robić dalej. Tak... idźcie! Idźcie stąd i powiedzcie innym z klasy, gdzie się mamy spotkać.

- Tak, proszę pana!

Nie trzeba im było tego powtarzać. Natychmiast zwołali wszystkich z klasy, a potem pobiegli na parking dla uczniów, mijając skrzydło z pracownikami.

– My też stąd idziemy – powiedział Jim do Bethany, Santany i Ricky’ego. Jego ojciec, Billy, wyglądał na zdezorientowanego, więc Jim chwycił go za rękę i rzekł: – Chodźmy, tato. Wszystko będzie w porządku.

– Co... nie zostanie pan, by posmakować owoców swej pracy – spytał wielebny Silence. – Nie co dzień można być świadkiem własnej apokalipsy!

Simon Silence, wciąż chętnie spoglądając ponad ramieniem ojca, zacytował swoje wypracowanie o raju, słowo w słowo: *Dla mnie raj nastanie w dniu, kiedy po całym świecie rozprzestrzenia się pożary. Będą widoczne od jednego horyzontu po drugi i Ci, Którzy Nigdy Nie Powinni Istnieć, będą je podsycać.*

– Daj spokój – powiedział Jim. Ścisnął mocno rękę Bethany i ruszył szybko w stronę zaparkowanego samochodu, a tuż za nim William Rook, Ricky i Santana. Inne samochody już wyjeżdżały z parkingu z piskiem opon, pędząc podjazdem w kierunku bramy, ale jeszcze setki uczniów kręciły się w panice na dziedzińcu oraz wokół szkolnych budynków i biegały po zboczach z krzykiem. Wszędzie wybuchały pożary. Jim usłyszał głośny wybuch i rozpryskujące się szkło, a kiedy spojrział w lewo, zobaczył smoczy jęzor ognia buchający z okna pracowni chemicznej, od którego zajęły się zwisające gałęzie jałowców.

Ze szczytu stoku po prawej stronie słychać było więcej krzyków i wtedy zorientował się, dlaczego wszyscy uczniowie biegną. Przez szczyt stoku, jak fala przyboju, nadciągały tysiące ludzi, z których większość miała na sobie coś, co wyglądało jak brudne białe szaty. Tysiące – a było ich jeszcze więcej niż uczniów – przelewały się przez szczyt wzgórza tak szybko, że z łatwością doganiały uczniów i zalewały niczym fala.

– Co to jest, na Boga? – spytał Ricky.

– To są martwi ludzie, którzy ożyli – wyjaśnił Jim.

– Jak zombie? O tym mówisz? Zombie? Zejdź na ziemię, Jim! Nie ma czegoś takiego jak zombie!

Dotarli do samochodu. Jim wyjął kluczyki, upuścił je, więc musieli ukłęknać i szperać pod samochodem, żeby je odnaleźć.

– Na twoim miejscu, Jim, pospieszyłbym się – powiedział Ricky. – Kimkolwiek są ci ludzie, zombie czy nie, pędzą tu całkiem żwawo. I... Jezu!

– Co? – spytał Jim, wstając.

Potok figur w białych szatach pokonał już ponad połowę zbocza. Pędziły w kompletnej ciszy i były dziwnie nieostre, ale nikt nie miał wątpliwości, co stanie się z tymi, którzy im nie uciekną. Zostawiali wchłonięci i znikali. Jednak zaledwie po kilku sekundach z głębi biegnącej wścieklej hordy wylatywały w powietrze części ciał – ręce, nogi, głowy i torsy, które wyglądały jak krwawe beczki, i długie surrealistyczne pętle jelit.

– Wsiadajcie! – wrzasnął Jim. Żadnemu z nich nie musiał tego powtarzać. Bethany i ojciec Jima wsiedli z przodu, a Ricky i Santana wgramolili się do tyłu. Jim właśnie uruchomił silnik, gdy młody czarny chłopak zastukał w okno i krzyknął:

– Weźcie mnie ze sobą! Weźcie mnie!

Ricky otworzył drzwi i wpuścił go.

– Oni rozrywają wszystkich na kawałki, ludzie! – belkotał uczeń. – Rozrywają ich wszystkich na kawałki! Moją dziewczynę! Moją dziewczynę! Cholera, człowieku! Marię! Darli na kawałki, na moich oczach!

Jim wcisnął gaz do dechy. Postacie w białych szatach znajdowały się niecałe sto metrów od nich i Jim nie miał ani czasu, ani miejsca, aby zawrócić, nie zderzając się z nimi czołowo. Biegli do samochodu tak szybko, że zdawali się rosnać z każdą sekundą coraz bardziej. Choć tak trudno było skupić się na nich, Jim widział, że niektóre z ich brudnych szat wyglądały jak galabije ze szpiczastymi kapturami, jednak większość z nich ubrana była w całuny, mocno poplamione krwią i płynami ustrojowymi, na dodatek pożółkłe z powodu upływu czasu.

To nie były zombie – nie tak jak te z Haiti albo żywe trupy z filmów. To byli martwi ludzie, dziesiątki tysięcy martwych ludzi, dzieci i wnuki

Lilith, wszyscy przywróceniu do życia, żądni zemsty na dzieciach Ewy za przejęcie życia, które powinno być ich.

Gdy pierwsi z nich dotarli do samochodu i uderzyli w błotnik od strony kierowcy, Jim wrzucił wsteczny bieg i wycofał się podjazdem z prędkością prawie czterdziestu kilometrów na godzinę, aż z opon poszedł dym.

Postacie w białych szatach biegly za nimi, ale Jimowi udało się zakręcić kierownicą i obrócić samochód, aż zawieszenie się zakołysało, i znalazł się przodem do bramy.

Kiedy znowu wcisnął gaz, zobaczył, że droga za bramą jest zapełniona tysiącami białych postaci, jak na ogromnym maratonie, i oni też będą nieubłaganie w ich stronę.

* Najwyższy czas, abyśmy poszli stąd jak najszybciej (hiszp.).

Rozdział 20

– Co teraz robimy, Jim?! – krzyknął Ricky. Obrócił się, aby spojrzeć przez tylną szybę, a postacie w białych szatach już wylały się na podjazd i zmierzały w ich stronę. – Jeszcze parę sekund, i nas złapią!

Jim zwolnił na chwilę. Bethany powiedziała głosem przechodzącym nieomal w pisk:

– Nie możemy tak po prostu ich przejechać, tatusiu, to żywi ludzie!

– Wiem, kochanie. Ale jak myślisz, co z nami zrobią, jak nas dopadną?

– Rozerwą nas na kawałki! – odezwał się ciemnoskóry uczeń. – Oderwali Marii rękę! Zrobili to na moich oczach! Oderwali jej rękę!

– Wielebny Silence obiecał mi, że dostanę z powrotem życie – powiedziała Bethany ze łzami w oczach. – Oni mnie nie zrania, prawda? Nie ośmiela się.

– Może ciebie nie ośmiela się skrzywdzić, dziewczyno – rzekł chłopak – ale mnie nikt nie obiecał czegoś takiego.

– On ma rację – przyznał Jim. – Trzymajcie się mocno. Zabieramy się stąd.

Trzy figury w białych szatach rzuciły się na bagażnik, bębniąc wściekle pięściami, ale Jim wcisnął pedał gazu i samochód wyrwał do przodu, aż opony zabuksowały na asfalcie, a tył ślizgał się z boku na bok. Białe postacie spadły na jezdnię i natychmiast pochłonęły je setki innych, które wciąż nadciągały za nimi.

Odziane na biało figury, które wbiegały na wzgórze, dotarły do bram szkoły. Jim wciskał do oporu pedał gazu i mercury, jadąc osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, uderzył pierwszą z nich. Kolejne zderzenia dudniły jak pioruny, niczym zapora ogniowa artylerii, i jedno ciało po drugim odbijało się od maski. Jim widział jedynie, jak postacie w białych szatach wlatywały w powietrze, wirując z rozpostartymi rękami. Niektóre

z nich wpadały prosto na przednią szybę i na dach. Niektóre spadały na pobocze. Inne znikwały pod przednim zderzakiem, a samochód kołysał się i podskakiwał, przejeżdżając po nich kołami.

– To koszmar, Jim – powtarzał w kółko William Rook. – Boże mój, synu, to koszmar.

Bethany położyła Jimowi rękę na ramieniu, jak gdyby chciała go wesprzeć i uspokoić, ale jednocześnie powtarzała:

– Proszę, wybacz nam, proszę, wybacz nam, proszę, wybacz nam. – Jim nie potrafił powiedzieć, czy modli się do Boga, czy do Baala, ale potem pomyślał: Może to nie ma znaczenia.

Santana zamknął mocno oczy i mamrotał zdrowaśki po hiszpańsku, wielokrotnie się żegnając. Ricky cały czas siedział odwrócony, obserwując białe odziane postacie, które ich goniły.

– Gnoje nadal nadciągają, Jim! – wołał. – Gnoje nadal nadciągają, całymi chmarami!

Obojętnie jak wiele postaci w białych szatach powalali, więcej biegło do nich. Ale Jim trzymał gaz wciśnięty w podłogę i mercury nadal pruł przez nich – łup! łup! łup! – z rykiem silnika, ślizgając się oponami na rozdartych szatach i skórze.

Jednak gdy wdzierali się coraz dalej i dalej w gęsty tłum, zaczął sobie uświadamiać, że białe postacie nie tylko są rozmazane, że trudno skupić na nich wzrok, ale też brakuje im materialności zwykłych ludzi. Kiedyś przejechał jelenia, gdy jechał nocą przez góry, a od siły uderzenia złamał sobie przedni ząb i kompletnie rozbił swojego ukochanego chevy'ego impalę. A teraz, mimo że te białe postacie spowalniały ich, a oni podskakiwali dziko, gdy po nich przejeżdżali, nie były one na tyle materialne, aby ich zatrzymać, co stałoby się, gdyby były zwykłymi ludźmi.

– Jedź dalej, człowieku! – zachęcał go Ricky. – Chyba widzę światło na końcu tych zombie!

Miał rację. Tłum zaczął rzednąć, aż tylko kilka postaci w białych szatach biegło drogą, a te ignorowały samochód albo go nie widziały,

a może zobaczyły ciała leżące pokotem po jego przejeździe i nie chciały dokonać swego życia tak szybko po zmartwychwstaniu.

Dotarli do Sunset i Jim zakręcił kierownicą tak, że mercury pokonał zakręt poślizgiem i ruszył na wschód. Jim podał swój telefon komórkowy przez ramię Ricky'emu i poprosił go, aby zadzwonił pod 911. Ricky próbował raz za razem, ale nie było sygnału. Radio w samochodzie tak jak wcześniej nie działało, nic tylko niekończący się szum.

Jim był zaskoczony małym ruchem, chociaż samochody pełzły jeszcze wolniej niż zwykle. Kampus West Grove Community College w większości zasłaniały teraz budynki i drzewa, ale gdy Jim odwrócił głowę i spojrzął, zobaczył, że główny gmach stoi w ogniu, jak również wszystkie drzewa wokół niego, w tym gigantyczny cyprys, do którego został przybity Santana. Gęsty słup białoszarego dymu wznosił się na setki metrów w niebo.

– Wygląda na to, że teraz będziesz uczyć w namiocie, stary – zauważył oschle Ricky. – To znaczy jeżeli pozostanie przy życiu ktokolwiek, aby pobierać nauki.

Bethany ścisnęła Jima za ramię.

– Tato? – odezwała się. Kiedy odwrócił się do niej, próbowała się uśmiechnąć, by go pocieszyć, ale nie potrafił jej powiedzieć, czy odczuwa wyrzuty sumienia. Jak brzmiało to stare powiedzenie: „Kto się z diabłem układa, ten...”?

– Wszystko w porządku – zapewnił. – Wszystko, będzie dobrze, zobaczysz.

Lecz ledwo minęli skrzyżowanie z North Canon Drive, ojciec Jima wskazał na południe, w stronę Beverly Hills.

– Popatrzcie na to! – krzyknął. – Całe cholerne miasto płonie!

Słupy dymu wznosiły się wszędzie dookoła – od Culver City w południowo-zachodniej części miasta po Huntington Park i Montebello. Helikoptery krążyły w górze, lśnić w słońcu, a gdy Jim opuścił szybę, słychać było zawodzenie, warkot i klaksony.

– Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z nami, chłopie – powiedział Ricky.

Jakby w odpowiedzi, ponad sto postaci w białych szatach przybiegło Benedict Canyon Drive z lewej strony i zalało ulicę przed nimi, żeby zniknąć na North Rodeo Drive. Postacie pędziły tak szybko i były tak niewyraźne, że mogły sprawiać wrażenie zjaw, a nie realnych osób, ale Jim wiedział, że są prawdziwe i że to jego wina, że tu się znalazły.

– Myślisz, że ci martwi-żywi ludzie są tylko tutaj, w Los Angeles? – spytał Santana. – Myślisz, że może są na całym świecie? Może w Meksyku? Mam rodzinę w Rosarita, matkę, babcię i dwie siostry.

– Nie mam bladego pojęcia, Santana – odpowiedział Jim. – Jedyne, co możemy zrobić, to starać się znaleźć sposób, aby wysłać ich wszystkich z powrotem tam, gdzie jest ich miejsce.

– Chciałbym się dowiedzieć, jak masz zamiar to zrobić, człowieku – powiedział Ricky. – Kiedy byłem w college'u, udało nam się wcisnąć siedemnaście osób do volkswagena garbusa. Jak wcisniesz miliony ludzi z powrotem do diabelskiego medalionu, który ma siedem centymetrów średnicy?

– Nie wiem, Ricky – odpowiedział mu Jim. – Ale wróćmy do mnie do domu i spróbujmy się nad tym zastanowić.

To powiedziawszy, wyjechał na środek drogi i wcisnął gaz. Inni kierowcy trąbili na niego, ale on nie zwracał na to uwagi. Wyprzedzał kolejne samochody w sznurze pełzającym z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Podarte całuny wciąż furkotały spod samochodu, zahaczone o tłumik.

Przeciwnym pasem drogi przemknęła policja drogowa, migając światłami i wyjąc syrenami, ale policjanci wewnątrz nawet na nich nie spojrzeli.

– Chyba gonią tych żywych umarłaków – powiedział Santana – a nie nas, żywych ludzi.

Ale wówczas chyba uświadomił sobie, że on też został sprowadzony z martwych, więc zamilkł, aż dotarli do Briar Cliff Apartments.

•••

Nadine była tak zszokowana, kiedy otworzyła drzwi mieszkania i zobaczyła Ricky'ego, że aż kolana się pod nią ugięły, i obaj, Ricky i Jim, musieli ją podtrzymać za łokcie, aby nie upadła.

Pomogli jej wrócić do środka i posadzili na kanapie. Nie mogła powstrzymać się przed dotykiem Ricky'ego – jego rąk i twarzy – i powtarzała ze łzami spływającymi po policzkach:

– To nie jest możliwe. To nie jest możliwe. To cud.

Ricky usiadł obok niej.

– Nadine, kochanie, nauczyłem się dzisiaj, że dużo rzeczy, w które nie wierzyłem wcześniej, jest możliwych. Zawsze myślałem, że świat jest pełen szajsowatych dziwactw, ale jest dziwniejszy i bardziej zaszrany, niż kiedykolwiek potrafiłem to sobie wyobrazić. Nie słyszałaś, co się dzieje?

– Co masz na myśli?

– Nie oglądałaś wiadomości, czy czegoś?

– Nie. Telewizja nie działa prawie cały dzień, a ja nie wychodziłam.

– Lepiej pójść na górę – powiedział Jim. – Chyba słyszę moją klasę.

– Dobrze, Jim. Opowiem Nadine o wszystkim, a potem przyjdziemy do ciebie. Mam ochotę zapalić.

Jim wyszedł z mieszkania Kaminskych i wszedł na następne piętro. Zatrzymał się przy drzwiach Summer i zadzwonił. Dzwonił do jej drzwi już wcześniej, zaraz po powrocie, ale nie było odpowiedzi. Domyślił się, że musiała pójść na rozmowę kwalifikacyjną albo do kosmetyczki zrobić sobie manicure. Nadal nikt nie otwierał, więc poszedł do własnego mieszkania. Z dachu po przeciwnej stronie duża czarna wrona zakrakała do niego drwiąco. Nie lubił krukowatych. Przypominały mu o demonach i pechu.

Oprócz jego ojca, Bethany i Santany dotarli tu Joe Chang z Hunni Robards i Jordy Brown. Jim poszedł do kuchni, aby przygotować wszystkim coś do picia, kiedy rozległo się stukanie do drzwi i wszedł DaJon Johnson z Rebeccą Teitelbaum. Po kolejnych dziesięciu minutach pojawili się Al Alvarez i Jesmeka Watson, a następnie Tommy Makovicka,

niosąc kask motocyklowy z czerwono-biało-niebieską flagą Czech na obu bokach.

Wkrótce zjawili się wszyscy uczniowie jego klasy poza Simonem. Jim dał im piwo lub napoje gazowane i napełnił trzy miski doritos, preclami oraz chipsami ziemniaczanymi.

Tibbles wyszedł z ukrycia i najwyraźniej ucieszyło go to nieoczekiwane towarzystwo. Obszedł pokój, obwąchując każdego z nich, i z gracją przyjmował głaskanie i łaskotanie pod brodą. W końcu podszedł do kanapy i wskoczył na kolana Hunni.

Jim, zanim przemówił do uczniów, poszedł do ojca, który siedział na balkonie, wciąż zdenerwowany i zdezorientowany.

– Widzisz ten dym za drzewami, synu? Najwyraźniej płonie kolejny dom.

– Jak się czujesz, tato?

William Rook rzucił mu ukradkowe spojrzenie, prawie jakby się zawstydził.

– Nie wiem jeszcze. Cieszę się, że wróciłem, tak mi się wydaje. Ale w ogóle nie czuję, że minęło tyle czasu.

– Trzydzieści trzy lata, tato. Długo byłeś topielcem.

Ojciec ścisnął go za rękę.

– Wiem. Ale problem w tym, że nadal czuję się tak samo jak wtedy, gdy wchodziłem do oceanu. Wciąż brakuje mi twojej mamy.

– Mnie też, tato. Ale to sprawka czasu. Czas to najpaskudniejszy złodziej. Zabiera ci rzeczy i nie chce ich oddać, za żadne skarby świata.

– Znowu masz mnie. Masz Bethany. Nie mogę uwierzyć, że jestem dziadkiem i mam osiemnastoletnią wnuczkę! Odzyskałeś też swoich przyjaciół.

– Wiem. Ale ile to kosztowało? Ile z tych dzieci zostało tam rozdartych? Ilu jeszcze niewinnych ludzi zginie?

Ojciec pokręcił głową ze zrozumieniem.

– To nie twoja wina, synu. Działałeś w dobrej wierze. Skąd mogłeś wiedzieć, kim naprawdę byli ci Silence'owie i co naprawdę knuli.

– Powinienem był wiedzieć. Nie podobali mi się, nie ufałem im i miałem podejrzenia od chwili, kiedy ich zobaczyłem po raz pierwszy. Ale myślałem tylko o sobie... o tym, czego sam chciałem. Jakie to samolubne.

– Nie musisz mi mówić o egoizmie. Zostawiłem cię samego na plaży, Jim, i wszedłem do wody.

Jim położył rękę na wąskim ramieniu ojca.

– Wiem, tato. Ale to już zostało zapomniane. Teraz martwię się czymś ważniejszym. Czy wysłać tych żywych-martwych ludzi z powrotem do świata zmarłych.

– Jim... – powiedział jego ojciec.

– O co chodzi, tato?

– Jeśli okaże się... hm, jeśli okaże się, że ja też muszę tam wrócić, to niech tak będzie. Ty wiesz i ja wiem, że tak naprawdę nie powinno być mnie tutaj.

– Straciłem cię już raz, tato. Nie chcę cię stracić po raz drugi.

Długo milczeli, a potem Jim wrócił do salonu i klasnął w dłonie, by zwrócić uwagę wszystkich.

– Słuchajcie! Wiem, jak bardzo pragniecie wrócić do domów i uspokoić rodziców, że nic wam się nie stało... a także sprawdzić, czy oni są zdrowi. Ale to, co się dzisiaj wydarzyło, stało się z powodu każdego z nas, także z mojego powodu. Podkusiło nas i pomyśleliśmy, że możemy mieć wszystko, czego kiedykolwiek pragnęliśmy, nie pracując na to, nie myśląc o konsekwencjach, jakie to będzie mieć dla innych ludzi. I ulegliśmy tej pokusie... zarówno ja, jak i wy. W rzeczywistości jestem o wiele bardziej odpowiedzialny za to, co się stało, bo jestem starszy i powinienem być mądrzejszy, a moim zadaniem jest dbać o was.

– Pan także jest człowiekiem – powiedział DaJon Johnson. – Chciał pan odzyskać nieżyjącego tatę i zamordowaną córkę. Rozumiemy to. Nie winimy pana ani nic w tym stylu. Nigdy nie trzeba było słuchać tego kolesia.

– Uwierzyłam mu – zaprotestowała Jesmeka Watson. – A dlaczego nie miałabym tego zrobić? Mam głos, mam wygląd. Umieję się ruszać.

Musiałam się tylko przebić.

Kyle Baxter uniósł rękę.

– Też mu uwierzyłem – powiedział. – Kiedy ktoś mówi ci, że może dać ci szczęście, radość, zadowolenie, wierność i spełnienie, to co masz mu powiedzieć? Nie powiesz przecież: „Nie, dzięki”, prawda?

– Dobrze – rzekł Jim – wszystkich nas oszukał. Teraz musimy się dowiedzieć, jak odwrócić to, co zrobiliśmy, lub przynajmniej jak uratować sytuację.

– Może powinniśmy schwycić się za ręce i stanąć w kręgu, i wyrecytować te wszystkie modlitwy od tyłu – zaproponował Al Alvarez.

– To na nic – odpowiedziała Hunni Robards. – Nie pamiętam ich od przodu, a co dopiero od tyłu.

– Może powinniśmy pójść do kościoła wielebnego Silence'a i przeprowadzić egzorcyzm – podsunął Kyle Baxter. – W sumie od strony technicznej to demon.

– Do egzorcyzmów potrzebujesz kapłana, co nie? – odezwał się Tommy Makovicka. – Potrzebujesz kapłana i wody święconej, i tych wszystkich stosownych modlitw, jakiegokolwiek by były.

– Mam kilka ksiązek z rytuałami wyganiania demonów – powiedział Jim. – Ale nie jestem przekonany, czy one naprawdę działają.

– To może warto spróbować – zasugerowała Rebecca Teitelbaum. – Moja babcia zawsze rzucała czary na moje łóżeczko, jak byłam mała: kawałek karty kabalistycznej z czosnkiem i rutą, a w tym małe lusterko. Mówiła, że to nie dopuszcza demonów, i pewnie zadziałało, bo ani razu mnie nie opętały.

– Ten parszywy stary niedźwiedź, co z nim wszędzie łąsisz, na pewno jest opętany – odparował DaJon Johnson. – Chyba rzucił na mnie urok. Snurowadło mi się rozwiązało, jak tylko na mnie spojrzeł, i potknąłem się, spadłem ze schodów i prawie się zabiłem.

Wszyscy patrzyli po sobie bez pomysłu. Jim próbował znowu zadzwonić z komórki, ale nadal nie było sygnału. Jego stacjonarny telefon

też milczał, a w telewizorze nic tylko śnieg. W oddali nadal zawodziły syreny i słychać było ciągły warkot helikopterów.

– Jest pewien duch, który czasami kontaktuje się ze mną – wyznał Jim.
– Ksiądz Michael. Nie byliśmy katolikami, ale on był przyjacielem naszej rodziny. Po tym, jak mój tata zniknął, bardzo nam pomagał. Mimo że umarł, wciąż ze mną rozmawia, radził mi, gdy miałem kłopoty, i nadal mi pomaga. Mogę spróbować skontaktować się z nim... sprawdzić, czy ma jakieś pomysły. On jest księdzem, więc chyba wie wszystko o Samaelu i Lilith.

– Powinien pan z nim porozmawiać – poradził Joe Chang. – Wygląda na to, że nikt z nas nie ma pomysłu, co robić. Chyba tylko możemy skoczyć do mojego kuzyna Gao i pożyczyć od niego dziewczynkę, a potem poszukać pastora i rozwalić mu łeb. To może zadziałać.

– Daj mi kilka minut – poprosił Jim.

Przeszedł do sypialni i zamknął drzwi. Sufit został oskrobany po tym, jak Ricky został do niego przybity razem z kotami, ale było jeszcze w tynku kilkadziesiąt małych dziur. Jim usiadł na skraju łóżka, tak że widział siebie w lustrze na drzwiach szafy.

– Ojcie Michaelu – wyszeptał. – Tu Jim, ojcie Michaelu... Jim Rook. Muszę z tobą porozmawiać, ojcie Michaelu.

Nie było reakcji. Nawet jeśli duch nie chciał z nim rozmawiać, Jim zazwyczaj wyczuwał szelesty i szepty ze świata duchów, zupełnie jakby goście bawili się w chowanego za zasłonami. Teraz jednak... nic.

– Ojcie Michaelu, błagam cię. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Popełniłem straszny błąd i nie wiem, jak go naprawić.

Na kilka sekund zapadła cisza. Potem usłyszał dźwięk, jakby nożem skrobano po talerzu, kakofoniczny odgłos, od którego bolał zęby, i w lustrze pojawiła się wymizerowana, brodata twarz i nałożyła na jego własne odbicie. Był pewien, że to ksiądz Michael, ale zanim miał szansę porozmawiać z nim, twarz zniknęła – i znów widział tylko siebie siedzącego na skraju łóżka.

Pozostał tak jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy powinien spróbować wezwać ojca Michaela kolejny raz. Wydawało się, że

zmarłychwstanie milionów dzieci Lilith nie tylko zakłóciło sygnały radiowe, telefoniczne i telewizyjne, ale zablokowało też wszelki kontakt ze światem duchów. Dzieci Ewy zostały odcięte, nie mogły się komunikować ze sobą, a nawet ze zmarłymi przyjaciółmi i krewnymi. Nie mogły już wołać o pomoc, ani z tego świata, ani z tamtego.

Jeszcze tam siedział, kiedy usłyszał nieśmiałe pukanie do drzwi sypialni.

– Tato? Tu Bethany.

Wstał i otworzył je.

– Udało się? – spytała, ale po wyrazie jego twarzy poznała, że nie. – Ricky tu przyszedł, z dołu, z...

– Nadine – odezwała się Nadine, która stała w korytarzu tuż za Bethany. Nadine przewiązała sobie włosy i poprawiła makijaż, nałożyła fioletowe cienie do powiek i fioletową szminkę. Ricky założył czarną kowbojską koszulę z czerwonymi wypustkami i obcisłe dżinsy.

– Jest tu Summer? – spytała Nadine.

– Nie. Dlaczego? Dzwoniłem do jej drzwi kilka razy, ale nikt nie otwierał.

– Hm, Ricky opowiedział mi, co się dzieje, i naprawdę mnie to martwi. Około pierwszej zapytałam Summer, czy chciałaby zejść do mnie na kieliszek wina... no wiesz, żebym nie musiała sama topić smutków. Powiedziała, że chętnie. Miała wizytę u Floyda, żeby zrobić pasemka, ale powinna była wrócić bez problemu przed wpół do czwartej. No a teraz jest już dawno po piątej.

– Floyd? – pytał Jim. – Gdzie to jest?

– Róg Selma i North Cahuenga.

– Powinienem jej poszukać.

– Hej – odezwał się Ricky. – Pójdę z tobą.

– Tato... – powiedziała Bethany.

– Muszę, kochanie. Ona jest moją sąsiadką i moją przyjaciółką.

– Ricky, ty nie musisz – wtrąciła Nadine. – Proszę, kochanie. Nie chcę cię stracić jeszcze raz.

Ricky chwycił Nadine za oba nadgarstki i pocałował ją w czoło.

- Będzie dobrze, Nadine. Jeśli jest jakaś rzecz, której nauczyła mnie śmierć, to nie bać się śmierci.

- Chodź - powiedział Jim. - Idziemy.

Rozdział 21

Jechali powoli Hollywood Boulevard, rozglądając się za Summer. Ledwie minęło wpół do szóstej, ale już zaczynało się ściemniać. I to wcale nie dlatego, że słońce chyliło się ku zachodowi, ale z powodu gęstego czarnego dymu, który nadlatywał ze wszystkich płonących budynków.

Ruch był niezwykle mały, już kiedy jechali z West Grove Community College z powrotem do Hollywood, ale teraz ulice były prawie puste. Od czasu do czasu jakiś SUV toczył się w przeciwnym kierunku, ale nikt się nie zatrzymywał i nie spuszczał przyciemnianych szyb. Kilka osób biegło chodnikiem, a Jim zwolnił, gdy dotarli do Hollywood and Vine, ponieważ zobaczył młodego czarnego chłopaka z włosami pofarbowanymi na zielono, ubranego w błyszczący zielony dres, stojącego niezdecydowanie przy krawężniku.

– Hej, chłopcze! – zawołał do niego.

– Co tam, stary? Czego chcesz?

– Uciekasz przed czymś czy tak po prostu sobie biegasz?

Młody człowiek spojrzał niespokojnie przez ramię i znowu zaczął biec. Jim dogonił go i jechał obok niego z tą samą prędkością.

– Nie widzieliście ich? – wysapał chłopak. – Musieliście ich widzieć! Jak duchy! Jak armia duchów!

– Duchy?

– No... całe tysiące! Wszyscy ubrani w prześcieradła! Ale to nie mogą być duchy! Widziałem, jak zabijali ludzi! Wyrywali im ręce i nogi! Rzucali w powietrze! Duchy nie mogą robić czegoś takiego! I podpalali wszystko!

– Gdzie oni są?

– Wszędzie, człowieku! A biegają tak szybko, że nie można przed nimi uciec!

– Podwieźć cię? – zaproponował Jim.

– Dzięki... ale nie! Mój przyjaciel... ma tu studio muzyczne... kawałek stąd! Skream Records? Biegnę się tam ukryć! Zamknę się od wewnątrz... w kabinie nagraniowej! I nie wyjdę! Dopóki te duchy... dopóki te duchy nie znikną!

Skręcił w Cosmo Street, wąską uliczkę z biurówcami po obu stronach, i wtedy widzieli go po raz ostatni.

– Cholera – odezwał się Ricky. – Miejmy nadzieję, że Summer znalazła sobie jakąś kryjówkę.

Hollywood Boulevard był cudownie pozbawiony wszelkiego ruchu, więc Jim dodał gazu i dotarli do North Cahuenga. Skręcił ostro w lewo, popędził w dół do następnego skrzyżowania, dopóki nie zobaczył zakładu fryzjerskiego Floyda na przeciwległym rogu Selma Avenue. Znajdował się w parterowym budynku z czarno-białą fasadą ze sztucznego marmuru. North Cahuenga i Selma były całkowicie wyludnione, choć wiał po nich dym i wirował czarny popiół, a gdzieś tam stały zaparkowane samochody.

Jim zatrzymał się przed fryzjerem i razem z Rickim wysiedli z samochodu. Odór spalenizny i dym podrażniły im oczy, aż zaczęły łzawić, a Ricky kichnął dwa razy i musiał wytrzeć nos rękawem swojej kowbojskiej koszuli.

– Słuchaj! – powiedział Jim.

Niedaleko słyszeli syreny i ludzkie krzyki.

– Cholera, człowieku – odparł przerażony Ricky. Ale to było wszystko.

Jim podszedł do okna i zajrzał do salonu. Światła się paliły, ale nie było śladu ani po klientach, ani po personelu.

Pchnął drzwi, ale były zamknięte. Szarpnął więc za klamkę i zastukał w szybę.

– Jest tam kto? Szukam dziewczyny o imieniu Summer! Nie było żadnej reakcji, więc znowu uderzył w drzwi.

– Summer, jesteś tam? Tu Jim!

Znowu nic.

– Równie dobrze możemy wracać, Jim – powiedział Ricky. – Jeśli jej tu nie ma, to może być wszędzie.

– Tak – przyznał Jim niechętnie. – Masz rację. – Cofnął się i popatrzył w górę i w dół ulicy. Wtedy to dojrzał jasnoniebieską hondę civic należącą do Summer, zaparkowaną około siedemdziesięciu metrów dalej, w połowie schowaną za gigantycznym landcruiserem. – Ale jej samochód nadal tu jest, patrz... Nie mogła odejść daleko. Chyba że ktoś ją zabrał.

Wrócił do drzwi fryzjera i uderzył w nie ponownie.

– Summer! Tu Jim Rook! Summer!

Nagle przestraszony przystojny młody człowiek w obcisłym różowym T-shircie i czerwonych aksamitnych spodniach pojawił się po drugiej stronie drzwi. Summer stała tuż za nim, z włosami wciąż w srebrnej folii. Młody mężczyzna przekręcił zamki, górny i dolny, i otworzył drzwi.

– Summer – powiedział Jim. – Jezu! Mieliśmy już odjechać i zostawić cię tutaj!

Summer wyszła, potykając się, przytuliła go i pocałowała, a potem przytuliła też Ricky'ego.

– Wszyscy schowaliśmy się w łazience! Usłyszeliśmy twoje stukanie do drzwi i myśleliśmy, że to ci okropni ludzie wrócili!

– Nie wiem, jak mogli nas nie zauważyć! – powiedział młody człowiek, prawie krzycząc. – Były ich setki! Przybiegli ulicą i rozdzielali ludzi na kawałki!

Jim wziął Summer za rękę i ścisnął ją mocno.

– Cieszę się, że jesteś bezpieczna, kochanie. Chodźmy stąd.

– Włamali się do Umami Burger – dodał młody mężczyzna. – Włamali się do Coffee Etc po drugiej stronie ulicy, włamali się do Big Wanga, nawet do salonu Hookah Lounge. Wybijali szyby i rozrywali klientów na kawałki!

– Hm, staraj się schować bezpiecznie – powiedział mu Jim. – I dzięki za opiekę nad Summer. Naprawdę.

– Bardzo proszę. Summer to nasza ulubiona klientka, prawda, Summer? Więcej niż klientka, to najdroższa przyjacielka!

Jim, Summer i Ricky wsiadli do samochodu Jima, a młody mężczyzna zamknął zakład i wycofał się na zaplecze. Jim zawrócił i udał się z powrotem na North Cahuenga. Widział teraz, że większość okien kawiarni po drugiej stronie ulicy nie ma szyb, i choć było zbyt ciemno, żeby dojrzeć coś wewnątrz, zobaczył połamane krzesła i przewracane stoły, i jakieś kształty, które mogły być rozczłonkowanymi ciałami.

– Och, Jimmy, nawet nie wiesz, jak się wystraszyłam – powiedziała Summer, podnosząc oparcie między nimi tak, aby mogła podwinąć nogi pod siebie i przytulić się do niego. – Kiedy zobaczyłam, jak ci straszni ludzie biegną pod oknami, prawie się zisałam ze strachu. Jesteś moim rycerzem w lśniącej zbroi, naprawdę. No, obaj jesteście. Ty i Ricky. Moi rycerze w lśniących zbrojach, obaj.

Czarny dym, którego tumany wypełniały ulice, gęstniał i stawał się coraz bardziej drażniący. Chociaż samochód Jima był klimatyzowany, smród spalenizny wywoływał łzawienie i palił w zatokach. Ricky znowu kichnął, potem znowu, i za każdym razem Summer powtarzała:

– Na zdrowie, Ricks!

Jim już skręcał w prawo, z powrotem na Hollywood Boulevard, kiedy odezwał się Ricky:

– Oooo! Cholera! Spójrz tam, Jim!

Okolo ośmiuset metrów w górę ulicy kolejna fala postaci w białych szatach zmierzała w ich kierunku, poruszając się całą szerokością ulicy. Właśnie mijali Pantage's Theater i zbliżali się do nich szybko – szybciej niż prawdziwa fala przypyływu.

Jim skręcił kierownicą i wjechał z powrotem na North Cahuenga. Jeżeli będą mieli szczęście, to postaci w białych szatach ich nie zauważą.

– To oni! – wrzasnęła Summer, wpatrując się jak krótkowidz w Hollywood Boulevard. – To ci okropni ludzie! Ale... kim oni są? Skąd się wzięli?

Jim nic nie odpowiedział. Był zbyt zajęty szybką jazdą przez North Cahuenga do Franklin Avenue. Zastanawiał się, czy nie skręcić w prawo pod Hollywood Freeway i wtedy być może ominie kolejną falę postaci w białych szatach.

Lecz gdy pędzili przez Yucca Street i do Franklin pozostało im niecałe dwieście metrów, Ricky powiedział:

– Już skręcili za róg, człowieku! Gonią nas!

Jim zerknął w lusterko. Widział w nim białe postacie i nie było wątpliwości, że się do nich zbliżają. Musiało być ich co najmniej tysiąc; biegly za nimi z ponurą determinacją. Jim zastanawiał się, czy wiedzą, kim on jest, i dlatego go gonią. Może wielebny Silence wysłał te postacie, aby go znalazły i rozerwały na kawałki, zanim wymyśli sposób, wysłania ich z powrotem do świata duchów.

W zasadzie to nawet miał nadzieję, że tak jest, bo to by oznaczało, że istnieje taki sposób.

– O mój Boże! – odezwała się Summer. – Jak oni mogą biegać tak szybko? Nikt tak szybko nie biega!

– Te cholery mogą – powiedział Ricky. – Dobrze, że nie było ich tu, kiedy urządzaliśmy w Los Angeles igrzyska olimpijskie.

– Myślisz, że to zabawne? – odpowiedział Jim.

– Wcale nie. Zaraz się zesram ze strachu, jeśli chcesz wiedzieć.

Jim skręcił we Franklin Avenue bez hamowania, a mercury wykonał obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, czemu towarzyszył wrzask Summer.

– Jezus, człowieku! – Nawet Ricky się poskarżył. – Zabijesz nas, zanim oni to zrobią!

Lecz Jim znowu wprowadził silnik na wysokie obroty i ruszył na wschód, rozjazdem pod autostradą. Poza nimi na drodze znajdowały się tylko nieliczne porzucone samochody z szeroko otwartymi drzwiami. Jezdnia była zasypana przeróżnymi śmieciami, jedzeniem, bagażami, wózkami dziecięcymi oraz fragmentami ludzkich ciał. Jim starał się nie patrzeć na nie bezpośrednio i omijał je, jeśli tylko mógł. Przejechał końcówkę odciętej damskiej nogi, która groteskowo wleciała w powietrze jak przy kankanie.

W końcu skręcili na Briarcliff Road, z rykiem silnika pokonując stromy, ciasny zakręt; z poślizgiem wjechali na miejsce parkingowe przed Briar Cliff Apartments.

- Wysiadać! - rzucił Jim. - I do środka! Będą tu lada chwila!

Wbiegli schodami na drugie piętro do mieszkania Jima. Kiedy dotarli do drzwi, Jim spojrział w dół ze schodów i zobaczył pierwsze białe postacie biegnące ku nim.

W większości byli to młodzi mężczyźni z czarnymi brodami, ale widział też kobiety o potarganych włosach oraz dzieci. Ich całuny i szaty wydawały się jeszcze bardziej obrzydliwe, niż tych, których widział na początku - pobrudzone dymem i opryskane świeżą krwią, a także krwią i płynami sprzed wieków, kiedy ubrano ich przed pochówkiem.

Nadal całkowicie milczeli i nadal byli rozmazani i nieostrzy, tak że ich oczy wyglądały jak mroczne otwory. Santana nazwał ich żywymi trupami, i to idealnie do nich pasowało.

- Do środka! Szybko! Już tu są! - krzyczał Jim. Wepchnął Summer do przedpokoju, a potem zatrzaskał za sobą drzwi; zaryglował je i założył łańcuch.

- Myślisz, że to ich powstrzyma? - spytał Ricky.

- Nie wiem. Miejmy nadzieję, że tak. - Jim rozejrzał się i zobaczył małe, ale ciężkie dębowe biurko na końcu korytarza, w którym przechowywał paragony, wkrętaki, zużyte baterie oraz przeterminowane karty kredytowe i sznurki. - Pomóż mi!

Razem, stękając, przepchnęli biurko aż pod drzwi.

- Co robicie, ludzie? - spytał DaJon Johnson, wychodząc z salonu. - On właśnie mi powiedział, że te straszne martwe kolesie są już na zewnątrz.

- Są, tak - powiedział Jim i jakby na dowód, że mówi prawdę, rozległ się ogłuszający trzask tuż za drzwiami wyjściowymi, potem drugi, a następnie usłyszeli walenie w okna kuchenne.

Jim przeszedł do kuchni. Na galerii za oknami tłoczyły się postacie w białych szatach i wściekle dobijały się do okien. Usta miały rozciągnięte szeroko, jakby wyły, ale nie wydawały żadnego dźwięku. Szyba w lewym oknie pękła i rozpadła się na kawałki, a w oknie po prawej stronie pojawiła się pajęczyna rys.

DaJon Johnson i Ricky poszli za Jimem do kuchni. Joe Chang, Al Alvarez i Kyle Baxter dołączyli do nich z salonu. Jim rozejrzał się i zobaczył, że wszystkie dziewczyny zgromadziły się razem, a jego ojciec stał w odległym kącie, spoglądając bezradnie.

– Wchodzą! – krzyknął Al Alvarez. – Próbują wypchnąć całe cholerne okno!

Sześć lub siedem rąk w białych szatach wcisnęło się przez okno po lewej stronie, zupełnie niczym macki ośmiornicy. Wszystkie dłonie były pocięte o rozbite kawałki szkła, które pozostały w ramie, i krew opryskała cały parapet wyłożony żółtymi kafelkami, ale to ich nie powstrzymało. Truposze chwyciły za ramę i zaczęły ją gwałtownie wyrywać na zewnątrz.

Jim wyciągnął spod blatu szufladę ze sztućcami i wysypał zawartość na stół w kuchni. Sięgnął po dwudziestopięciocentymetrowy nóż do mięsa.

– Bierzcie, co chcecie! – powiedział do Ricky’ego i swoich uczniów.

Wszyscy wybrali noże, z wyjątkiem Rudy’ego Cascarellego, który sięgnął po szpikulec do mięsa o dwóch zębach, oraz Kyle’a Baxtera, który zdecydował się na chiński tasak. Jim podszedł do zlewu, pochylił się nad nim i zaczął dźgać w ręce, które chwyciły za ramę okienną. DaJon Johnson podniósł dwa noże i zaatakował białe postacie niczym opętany szalem wojownik, siekąc zaciekłe i nieubłagane po palcach, dłoniach, przedramionach i łokciach.

Lecz to Kyle Baxter zadawał najbardziej spektakularne ciosy. Uniósł tasak wysoko nad głowę, zamarł, a następnie spuścił go tak mocno, że uciął jedną z białych dłoni w nadgarstku. Spadła do zlewu i chociaż biała postać nie krzyknęła, natychmiast wycofała rękę przez okno, znikając w tłumie i spryskując krwią szaty innych napastników.

Kyle Baxter machał tasakiem raz za razem, odcinając jeszcze przynajmniej pięć dłoni i więcej palców, niż Jim mógł zliczyć. Jim nie przypuszczał, że może on być tak krwiożerczy, ale Kyle nie przerywał cięć, a pod nosem powtarzał całą litanię słów związanych z zabijaniem i kaleczeniem: „Masakra! Egzekucja! Ciąć! Dziesiątkować! Unicestwić! Zabijać! Nadziać na miecz!”.

Po niespełna dziesięciu minutach, bez żadnego dźwięku, postacie w białych szatach nagle wycofały ręce przez okno i znikły. Jim słyszał ich kroki na schodach, a potem zapadła cisza.

Rozejrzał się po kuchni. Wszystkie szyby były wybite, a zlew ociekał krwią, pełen owłosionych dłoni jak gniazdo martwych ptaszników. Może białe postacie po prostu uznały, że mają już dość i że to nic im nie da.

– Myślisz, że to już koniec? – spytał Ricky. – Myślisz, że zrozumieli?

– Nie powiem ci, Ricky. Myślałem, że chcą mnie dopaść, ale może się myliłem.

Summer weszła do kuchni, ale Jim szybko wypchnął ją z powrotem.

– Nie chcesz tego widzieć, kochanie.

Kiedy znaleźli się w salonie, Bethany powiedziała:

– Oni już tu nie wrócą, tatusiu? Proszę, powiedz, że nie.

– Sam chciałbym wiedzieć – odparł Jim.

– A jeśli oni nadal tam na nas czekają? – odezwała się Jesmeka Watson.

– Jeśli oni nadal tam są, jak mamy wrócić do domów?

– Nie wiemy nawet, czy jeszcze mamy dokąd wrócić – powiedział Al Alvarez. – Nie działają telefony, więc nie mamy możliwości sprawdzenia.

Jim wyszedł na balkon. Chociaż podwórko na tyłach gęsto osłaniały drzewa, widać było, że pożary ogarniały miasto od jednej strony do drugiej. I panowała taka cisza. Żadnego ruchu na autostradach. Żadnych syren. Żadnych helikopterów. Żadnych samolotów pasażerskich lądujących na lotnisku LAX.

Od czasu do czasu słyszał tylko pojedyncze, sarkastyczne „kra” jakiejś nieznośnej wrony.

Wyszła do niego Bethany.

– Co zrobimy, tato? Myślisz, że z mamą wszystko w porządku?

Jim objął ją ramieniem.

– Tam, gdzie mama mieszka... na pewno, na pewno nic jej nie jest.

– Ale co teraz zrobimy?

– Nie wiem, Bethany. Naprawdę nie wiem.

- Nie możemy tu zostać na zawsze, prawda? Może powinniśmy spróbować uciec. Ci martwi ludzie chyba nie mogą być wszędzie...

- Tego też nie wiem. Wielebny Silence powiedział, że są ich miliony. Powiedział, że Bóg przeklął dzieci Lilith, i setka ich umierała każdego dnia. Jeśli uważasz, że tak naprawdę się stało, to daje to trzydzieści sześć i pół miliona na tysiąc lat. A ile tysięcy lat minęło od wyrzucenia Lilith z Edenu?

- Mogą być wszędzie - odpowiedziała. - Może od nich nie ma ucieczki? DaJon Johnson i Rudy Cascarelli też wyszli na balkon.

- Chce pan na to spojrzeć?

- Co takiego?

- Wyjrzelśmy na drogę na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy te truposze się ulotniły.

- I co?

- Niech pan sam przyjdzie i zobaczy na własne oczy.

Jim wszedł za nimi do salonu i przedpokoju. Odsunęli już biurko na bok, tak aby można było otworzyć drzwi, chociaż nie odryglowali ich jeszcze, a Joe Chang stał obok nich z rękami złożonymi na piersi jak bramkarz w nocnym klubie.

Otworzył je, chociaż nie zdjął łańcucha, dopóki nie ogarnął wzrokiem schodów.

- W porządku, proszę pana. Wygląda, że jest czysto.

Jim wyszedł na schody. Podszedł do barierki i spojrzał w dół. Setki postaci w białych szatach zebrały się na drodze - milczących, nieruchomych, wpatrujących się w niego. Kiedy wychylił się trochę bardziej, zobaczył, że tłoczą się też na podeście przed drzwiami Ricky'ego i Nadine i na schodach prowadzących do mieszkania Summer.

- Wygląda na to, że są gotowe czekać, ile będzie trzeba - stwierdził Rudy Cascarelli. - Jak szybko skończy nam się jedzenie?

- Może jutro - odpowiedział Jim. - Nie byłem w sklepie od dwóch tygodni. Siedemnaście osób nie przeżyje zbyt długo na dwóch mrożonych obiadach z piersią kurczaka.

- Naprawdę nie mamy wyboru - powiedział DaJon Johnson. - Albo oni nas zagłodzą, albo spróbujemy się stąd wyrwać, a wtedy rozerwą nas na kawałki. Jak myślicie, jak daleko uda nam się dotrzeć?

Jim nadal stał na podeście schodów, kiedy wyszedł Ricky. Widział milczący tłum w białych szatach czekający na drodze.

- Cholera - rzucił.

- Co jest, Ricky?

- Mam problem, Jim. Co, na Boga, mam teraz zrobić?

Rozdział 22

– Jaki problem? – spytał Jim. – Jaki może być większy od tego?

– Chodzi o Nadine. Jest cukrzykiem. Zaczyna zapadać w śpiączkę, potrzebuje insuliny.

– O Boże. Hm... jest kilka puszek mountain dew throwback w lodówce. Zawiera prawdziwy cukier. To powinno pomóc.

– Musi dostać swoją insulinę, Jim. Taki ma typ cukrzycy. Nie zabrała nic ze sobą, bo nie sądziła, że tak długo tu zostaniemy.

Jim wrócił do mieszkania. Nadine leżała w łóżku z przymkniętymi oczami, jakby się zdrzemnęła. Policzki miała blade, z wyjątkiem dwóch niezdrowych rumieńców, a czoło błyszczało jej od potu. Summer siedziała na łóżku obok i trzymała ją za rękę.

– Jim... – powiedziała Nadine ochryple. – Przepraszam, że sprawiam taki kłopot. Potrzebuję tylko zastrzyku.

– Nie martw się, Nadine. Wymyślimy coś. Bethany... możesz mi przynieść puszkę mountain dew throwback z lodówki? Nie, rozmyśliłem się, Rudy, ty możesz mi ją przynieść?

Nie wiedział, czy Kyle Baxter i Tommy Makovicka skończyli już sprzątać zlew i wyrzucili odcięte ręce do kosza.

– Muszę coś zrobić, Jim – odezwał się Ricky. – Jeśli Nadine nie dostanie zastrzyku w ciągu dwudziestu minut, zapadnie w śpiączkę, a potem może umrzeć.

Jim przeszedł przez salon na balkon, gdzie czuwały Hunni Robards i Jesmeka Watson, jednocześnie paląc.

– Nie widać, żeby te truposze wracały? – zagadnął Jim.

Jesmeka Watson pokręciła głową.

– Jeszcze nie, proszę pana.

Spojrzał w dół na podwórze, ale nie było nikogo. W połowie budynku, oddzielając jego front od tyłu, znajdował się trzymetrowy drewniany płot z bramą, ale brama była teraz zamknięta na kłódkę, a postacie w białych szatach nie potrafiły się wspinać. Zobaczył jeszcze łopatę Santany obok na wpół rozkopanej nory, którą musiał porzucić, kiedy Silence'owie przyszli po niego.

Przechylił się przez balkon jeszcze bardziej i dostrzegł, że od rynny na dachu do ziemi biegnie rura spustowa. Wyglądało na to, że jest w zasięgu ręki – i oczywiście taka sama odległość dzieliła ją od balkonu Nadine na pierwszym piętrze pod nimi.

– Zrobimy tak – zdecydował, przywołując Ricky'ego. – Zejdziemy, weźmiemy insulinę dla Nadine i wrócimy tą samą drogą.

– Jak myślisz, kim ja jestem, człowieku? Gepardem?

– To jedyny sposób, Ricky. Nie możemy wejść od frontu, bo nas rozerwą na strzępy.

Ricky spojrzał na podwórze i wyduł policzki.

– Chyba masz rację. Dobrze, w takim razie... zrobmy to. Ale jak spadnę i złamię sobie, kurwa, kark, to nigdy ci nie wybaczę. A zastrzyki Nadine są w szafce w łazience, gdybym spadł.

Jim poszedł do samego końca balkonu, przyciągnął krzesło do poręczy i wszedł na nie, kołysząc się w przód i w tył przez kilka chwil jak linoskoczek dla złapania równowagi. Potem wyciągnął prawą rękę i złapał rynnę. Potrząsnął nią, aby sprawdzić, czy nie jest zbyt luźna. Briar Cliff Apartments nie zostały zbudowane według wysokich standardów, a on nie chciał, aby rynna oderwała się od ściany, kiedy będzie w połowie drogi na dół.

– Dobra. Niech się dzieje, co chce.

To powiedziawszy, wychylił się po ścianie i chwycił rynnę także lewą ręką. Rynna przechyliła się, a na jego twarz posypała się sucha zaprawa; przez ułamek sekundy bał się, że uchwyt puścą. Wisiał tak przez jakiś czas, nie ruszając się, i mrugając, próbował usunąć drobiny z oczu, i wypluć je z ust. Na szczęście mocowania wytrzymały.

– Okay, Ricky – powiedział. – Chyba wytrzyma. Schodzę.

Nerwowo zsunął się po rynnie obok balkonu Summer do mieszkania Ricky'ego i Nadine. Mimo że mieszkali na parterze, do wyłożonego kamieniami patio pod ich balkonem były przynajmniej trzy metry. Jim musiał sięgnąć lewą ręką i chwycić się skrajów ich ściany, a następnie wyciągnąć daleko lewą nogę, aż stopa znalazła się na górnej części poręczy. Gdyby upadł do tyłu, mógłby złamać sobie kręgosłup lub rozbić głowę.

Ricky też gramolił się w dół po rynnie, parszkając przy tym jak koń.

– Jezu, nie mogę się zatrzymać! – wysapał i butem uderzył Jima w czubek głowy. Ten przesunął się w bok i przeskoczył przez balustradę balkonu, lądując na leżaku Nadine i wywracając go na bok. Jeszcze nie zdążył wstać z podłogi, kiedy Ricky już wylądował na nim. Obaj leżeli tak przez chwilę, starając się odzyskać oddech.

Przesuwane drzwi do mieszkania Ricky'ego i Nadine były uchylone, więc bez trudu weszli do środka. Zaczynało się już ściemniać i w salonie panował półmrok. Przez szparę w drzwiach kuchennych zobaczyli białe postacie tłoczące się na galerii na zewnątrz. Niektóre z nich miały głowy obwiązane szmatami lub chustami, inne miały wysokie szpiczaste kaptury jak Ku-Klux-Klan. Żadna się nie poruszyła ani nie wydała jakiegokolwiek dźwięku, po prostu czekali.

Ricky pociągnął nosem.

– Jak, do diabła, uciekniemy przed tymi kreaturami? – spytał.

– Pomyślmy o tym później, kiedy już damy Nadine zastrzyk.

– Ale nie masz zielonego pojęcia, kurwa, co?

– Nie, Ricky, nie mam, a jeśli w ten sposób sugerujesz, że to wszystko moja wina, to tak jest, i gdyby to miało w czymś pomóc, poszedłbym tam i oddał się im. Ale szczerze mówiąc, myślę, że to tylko pogorszy sprawę.

Ricky klepnął Jima w ramię.

– Daj spokój, Jim – powiedział. – Nie obwiniam cię. Większość z nas robi w dobrej intencji rzeczy, które, jak się okazuje, są do dupy.

– Jednak nie wszyscy robimy coś, w rezultacie czego giną setki ludzi i połowa Los Angeles zostaje spalona.

– Nie martw się. Czasami robimy jeszcze gorsze rzeczy. Mój stary był asystentem mechanika pokładowego na *Bockscarze* w dniu, kiedy zrzucili bombę atomową na Nagasaki. – Strzelił palcami i dodał: – Siedemdziesiąt tysięcy ludzi zginęło tak po prostu... mężczyźni, kobiety i małe dzieci.

Przeszedł do przedpokoju i otworzył drzwi do łazienki. Nie było tam okna, więc musiał włączyć światło. Jim czekał na niego pośrodku salonu, oglądając niektóre z jego obrazów i rzeźb. Wyliniała czerwona papuga ciągle siedziała na drążku, a kiedy podszedł bliżej do klatki, wydała z gardła szorstki i wrogi skrzek i wrzasnęła:

– *Silence!*

– Och, wypchaj się! – rzucił Jim.

Ricky otworzył drzwi do łazienki trochę szerzej, gdy wychodził, i właśnie wtedy światło padło na chwilę na obraz Gawędziarza, który wciąż stał na sztalugach.

Ku zdziwieniu Jima już nie wyglądał na Baalę, z rogami i połyskliwą szarą skórą; od razu poznał nową twarz. Obraz przedstawiał starszego mężczyznę z zadbaną siwą brodą. Miał poważną minę, ale w jego oczach było coś jednocześnie sympatycznego i przebiegłego. To był ksiądz Michael, ten sam, z którym Jim próbował bezskutecznie się skontaktować, gdy zamknął się w swojej sypialni.

Podszedł powoli do portretu. Ksiądz spoglądał na niego z nieskończonym współczuciem. Ricky był zrządem, pijakiem i palaczem, lecz też genialnym malarzem. Ale w jaki sposób, do diaska, udało mu się namalować tak dokładną podobiznę księdza Michaela? O ile Jim dobrze pamiętał, Ricky nigdy nie spotkał księdza, który przecież umarł już dawno temu.

Wyciągnął rękę i opuszkami palców dotknął malowidła. Farba była jeszcze lepka, więc Ricky musiał namalować go zaledwie kilka godzin temu.

Ricky zgasił światło w łazience i podszedł z butelką insuliny i strzykawką.

– Mamy, co trzeba – powiedział. – Teraz spróbujemy wdrapać się z powrotem po tej pieprzonej rynnice!

Jim kciukiem wskazał Gawędziarza.

– Kiedy to namalowałeś? To bardzo dziwne. Wygląda dokładnie jak zmarły ksiądz, z którym starałem się skontaktować.

Ricky zmrużył oczy, patrząc na obraz.

– Nigdy – odparł.

– Co masz na myśli, mówiąc „nigdy”? Jest tu, patrzę na niego. Farba jest jeszcze świeża.

– Nigdy tego nie namalowałem, człowieku. Nigdy w życiu nie widziałem tego starego pryka. Ostatni raz, kiedy patrzyłem na ten portret, był na nim diabeł.

Pozostał ten jedyny sposób, odezwał się ksiądz Michael.

Ricky odwrócił się do Jima.

– Co powiedziałeś? – spytał.

Pozostał ten jedyny sposób. Zapomnieli, że użyli tego obrazu, aby Baal mógł zacząć się pojawiać. Pamiętali dym, pamiętali malowidła w klasie, pamiętali telewizję i drzwi do świata duchów. Ale zapomnieli o Gawędziarzu.

– Ty to mówisz? – dopytywał się Ricky.

Jim patrzył na podobiznę księdza Michaela z niedowierzaniem. Duchy przemawiały do niego dziesiątki razy, zarówno dobrotliwe, jak i wrogie, ale mieściły się głównie w jego głowie. Słyszał, jak wiał wiatr i jak ptaki z obrazu śpiewały, jak szumiał ocean na pejzażach, ale nigdy portret nie przemawiał do niego głośno.

Możesz pokonać Samaela, powiedział ksiądz Michael. Jego głos niósł się echem, jak gdyby mówił w pustej sali, a w pewnym sensie tak było. *Jest na to sposób.*

– Cholera, człowieku, nie wierzę w to – rzucił Ricky. – Jesteś brzuchomówcą czy co?

Jim powoli pokręcił głową, wciąż wpatrując się w ojca Michaela.

– To ten obraz, Ricky. To obraz mówi do nas. Twój Gawędziarz.

– Oj, daj spokój, Jim. Nabierasz mnie. Masz głos jak ten Ahmed, martwy terrorysta. Słuchaj... chodźmy stąd. Nie mamy na to czasu. Musimy zrobić Nadine zastrzyk.

– Ricky, mówię poważnie. Ojciec Michael rozmawia ze mną za pośrednictwem obrazu, ponieważ to jedyny sposób, w jaki może to zrobić.

– Ojciec Michael – powtórzył Ricky z przesadnym sceptycyzmem.

– To prawda, ojciec Michael. Ksiądz, który przyszedł z nami porozmawiać po samobójstwie mojego taty.

– Twojego nieżyjącego taty, który jest teraz na górze i żyje.

– To prawda. I o to chodzi. Życie i śmierć zostały wywrócone do góry nogami.

Musicie złożyć ostateczną ofiarę, Jim. To jedyna droga.

– Co masz na myśli?

– Jezu – powiedział zrozpaczony Ricky. – Teraz rozmawia sam ze sobą, na miłość boską!

Musisz zrezygnować ze swojego raj. Musisz zrezygnować z osób, które tak bardzo chciałeś przywrócić do życia.

– Masz na myśli mojego ojca? I Bethany?

Kiedy ludzie umierają, Jim, są martwi. Jedyna nieśmiertelność jest tylko w niebie lub w piekle. Ludzie nie mogą wrócić i chodzić po ziemi, jakby nadal żyli. To jest wbrew wszelkiej naturze. To niezgodne z wolą bożą.

– Hej, a co ze mną? – spytał Ricky. – Ja też umarłem, czyż nie? I Santana. Nie możesz zrezygnować ze mnie, człowieku. Nie chcę być, kurwa, martwy. Nie znowu.

Ojciec Michael powiedział:

Wiesz, w czym imieniu przemawiam, prawda, Jim? Nie możesz spojrzeć na Jego twarz, ale możesz usłyszeć Jego głos przeze mnie. On też widział, co zrobili Baal, Samael i wąż. Dał dzieciom Ewy szansę na okazanie swojego przywiązania do Niego poprzez oparcie się pokusie. Ale trudno było się oprzeć owocowi z drzewa poznania.

Pochlebstwa Baala znowu okazały się zbyt zwodnicze, aby wykazać się silną wolą i troską o innych.

Widzicie rezultat – martwe dzieci Lilith powstały z grobów wielkim i morderczym tłumem i wylewają swoją gorycz na żyjące dzieci Ewy. Setki są już

martwe, a kolejne niezliczone rzesze umrą, zanim Baal zabierze ich wszystkich do swojego królestwa w piekle.

– Ale co ja mogę zrobić? – spytał Jim. – Zacząłem to. Pozwoliłem, aby to się stało. Jak mogę to zatrzymać?

Musisz zrezygnować ze swojego raju i zrzec się daru.

– Co?

Musisz zrezygnować z daru widzenia duchów, demonów i innych podobnych istot, musisz wyrzec się tego na zawsze, do końca swojego życia.

– Co to da dobrego?

Dzieci Lilith mogą chodzić po ziemi dopóty, dopóki możesz je widzieć... podobnie jak ludzie, których przywróciłeś do życia. Baal dał ci moc, aby je sprowadzić z powrotem, ale moc bez wizji nie ma znaczenia.

– Jim – powiedział Ricky. – Wierzysz w to gównno? Ktokolwiek to jest, chce mnie znowu zabić, człowieku, a ty mi tego nie zrobisz, prawda? I... słuchaj... musimy zanieść insulinę Nadine. Nie możemy tracić więcej czasu na rozmowy z tym cholernym obrazem. To szaleństwo!

Zbierz swoich trzynastu uczniów i chwycicie się za ręce w kręgu, jak przedtem. Wyrecytujcie to zaklęcie trzykrotnie, a Baal zniknie, Samael zniknie i Lilith zniknie. Potem powiedz: „Niech moje oczy zamkną się na świat duchów na wieki”.

– I to wszystko? Wszystkie te żywe trupy poznikają?

Wrócą do grobów, z których ich wezwałeś. Tak.

– A co z tymi wszystkimi ludźmi, których rozszarpali na kawałki?

Martwi muszą pozostać martwi, chyba że inna jest łaska boża.

– Ale jeśli nie mogę się zdecydować, co zrobić? Prosisz mnie, abym poświęcił własną córkę! Prosisz mnie, abym poświęcił własnego ojca! Prosisz mnie, abym poświęcił mojego przyjaciela!

Jeśli nic nie zrobisz, twoi bliscy będą żyć tak długo, jak długo zdołają unikać dzieci Lilith. Ale cały świat i ludzi spotka największa katastrofa, o jakiej nie mieli pojęcia.

– Ale jak to możliwe, że to moja odpowiedzialność? Dlaczego to musi zależeć ode mnie? Cholera, jestem tylko zwykłym nauczycielem

angielskiego, a nie bogiem!

Jesteś jedynym, który widzi duchy. Jesteś jedynym, który może rozmawiać ze zmarłymi. Jesteś jedyną osobą, która może dogadać się z demonami. To jest twój dar i twoje przekleństwo.

– Nie prosiłem o nie, zdaje się, co?

Wielcy muzycy nigdy nie proszą o swój talent. Ani twórcy, naukowcy czy pisarze. Ale czy tego chcesz, czy nie, każdemu darowi towarzyszy odpowiedzialność, by używać go mądrze. Wielki dar, używany egoistycznie, może spowodować katastrofę.

– Mam już tego dość – warknął Ricky. – Rób, co chcesz, Jim, ale nie zamierzam słuchać wykładów mojego własnego obrazu, kurwa, nawet jeśli go nie namalowałem.

– Dobra – odparł Jim. – Idę.

Spojrzał na portret księdza Michaela i zobaczył, że zaczyna się zmieniać. Olejna farba rozpuszczała się i zaczynała spływać z płótna, więc twarz księdza Michaela wpięrow się zapadła, a następnie rozplynęła.

Przez ułamek sekundy Jim dojrzał kolejną twarz, która pojawiła się pod nią. Błada, eteryczna, trochę owalna, o przedziwnych oliwkowozielonych oczach. Znikła natychmiast, ale Jim stał przed sztalugami, oszołomiony, jakby został rażony paralizatorem.

Widziałem Boga, pomyślał.

W rogu pokoju czerwona papuga przesuwiała się hałaśliwie z jednego końca drążka na drugi i wrzeszczała:

– *Silence!*

– Chodź, Jim – ponaglał go Ricky.

– Tak, już. Przepraszam.

Gdy wyszedł na balkon, po raz ostatni spojrzał na obraz, ale nie było na nim twarzy, tylko brązowoszara plama podkładu, czekająca na twarz Gawędziarza.

• • •

Minęło prawie dziesięć minut sapania, chrząkania i zjeżdżania po rynnie, zanim zdołali się wspiąć z powrotem do mieszkania Jima. DaJon Johnson i Al Alvarez wychylili się, by schwycić ich za koszule i wciągnąć na balkon.

Ricky, kiedy już przetoczył się przez barierkę balkonu, natychmiast udał się do sypialni, aby zrobić Nadine zastrzyk z insuliny.

Bethany podeszła do Jima i przytuliła się.

– Tato... jesteś niesamowity! – powiedziała.

Po chwili jego ojciec poklepał go po ramieniu i dodał:

– Brawo, synu! Niezła wspinaczka!

Jim krótko uściskał ich oboje.

– Dajcie mi chwilę. Sprawdzę, czy wszystko porządku z Nadine.

Wszedł do sypialni. Nadine siedziała wsparta na dwóch poduszkach i miała dużo więcej życia na twarzy. Uśmiechnęła się słabo do Jima, gdy podszedł do łóżka.

Ricky siedział obok niej, paląc swojego cienkiego peruwiańskiego skręta.

– Dzięki, Jim. Uratowałeś Nadine, naprawdę.

Zaproponował Jimowi skręta, ale ten pokręcił przecząco głową.

– Przepraszam, Nadine – rzekł. – Ricky i ja musimy porozmawiać.

– W porządku. Muszę się teraz wyspać, tak czy inaczej.

W korytarzu, przy zamkniętych drzwiach do sypialni, Ricky powiedział:

– Wiem, o co w tym wszystkim chodzi, Jim, i wiem, co mam robić. Oczywiście, nie chcę umierać, ale jaki mam wybór? Kolejne tysiące ludzi mają zginąć? Albo tylko ja, Bethany, Santana i twój tata... który i tak nie żyje już od ponad trzydziestu lat.

– Ricky... wiesz, że nie mogę cię o to prosić.

– Masz, kurwa, rację, nie możesz. Mój tata przez całe życie miał koszmary o Nagasaki. Nikt nie pytał tych japońskich cywilów, czy są gotowi umrzeć, czy nie. Wiesz, że kapitan Chuck Sweeney spuścił bombę dwa i pół kilometra od ustalonego punktu, co oznaczało, że prawie połowę miasta osłoniły wzgórza? Stąd wzięło się słynne zdanie: „Spieprzyłeś, co,

Chuck?”. Ale mój tata zawsze się zastanawiał, czy kapitan Sweeney nie zrobił tego celowo.

Jim oparł się o ścianę. Widział siebie w lustrze naprzeciw – nieogolonego, z potarganymi włosami i workami pod oczami. Jasnoniebieska dżinsowa koszula miała szare i brązowe otarcia od wspinaczki po rynnę. Pomyślał: Spójrz na siebie. Nie wierzę, że los całej planety jest w moich rękach. To po prostu nie wydaje się możliwe.

– Nie powiesz Bethany, co? Ani swojemu tacie, ani Santanie? – mówił Ricky. – Lepiej niech nie wiedzą, uwierz mi.

Oczy Jima napełniły się łzami.

– Nie chcę cię stracić, Ricky. Nie chcę tracić nikogo z was.

– Wiem, stary. Ale życie to gówno, a potem się umiera. A potem wracasz do życia i nadal jest gówno, i znowu się umiera po raz drugi, wcześniej czy później. Nie chcę umierać ponownie, Jim, wierz mi, ale jaka jest alternatywa? Jak mówię, nie ma innego wyjścia.

– Jesteś odważny, Ricky.

– Nie, nie jestem. Jestem pragmatyczny, to wszystko, a między odwagą a pragmatyzmem jest wielka różnica.

– Nie z mojego punktu widzenia.

Ricky objął Jima.

– Chodź, Jim. Jestem dość wstawiony teraz, więc zrobmy to, zanim zmienię zdanie.

Rozdział 23

Jim przeszedł do salonu, gdzie zebrali się wszyscy, i uniósł ręce, aby zwrócić ich uwagę.

– Okay. Posłuchajcie, proszę!

Tibbles spojrział na niego z kolan Hunni Robards, a Jim widział już ten wyraz u niego: te zwężone oczy, te położone uszy. Tibbles wyczuwał, że coś poważnego miało się wydarzyć. Coś nadprzyrodzonego i przerażającego.

Jim zastanawiał się: Nawet jeśli zrezygnuję ze swojej wrażliwości parapsychoicznej, czy Tibbles zachowa coś ze swojej?

Bethany podeszła do niego i wzięła go za rękę, uśmiechając się z dumą i miłością. Jezu, pomyślał.

– Słuchajcie wszyscy – rzekł głośno – myślę, że znalazłem sposób, aby odesłać te żywe trupy z powrotem do grobów i mauzoleów, skądkolwiek wyszli. To proste zaklęcie... egzorcyści nazywają to wypędzeniem. Nie mam pojęcia, czy to zadziała, ale teraz myślę, że wszystkiego warto spróbować, zanim zginie jeszcze więcej niewinnych ludzi... i zanim my zginiemy.

– Kurna, skąd będziemy wiedzieć, że to nie pogorszy wszystkiego? – spytał DaJon Johnson. – Ostatni rytuał miał rzekomo dać nam raj, a co dostaliśmy? Mamy Dzień Zmarłych i na dodatek zombie!

– Niczego nie mogę zagwarantować, DaJon – powiedział Jim – ale ten rytuał został mi przekazany przez kogoś, komu zaufało wielu ludzi.

– Powinniśmy spróbować, proszę pana – odezwała się Rebecca Teitelbaum. Nie chesała się, odkąd uciekli z West Grove College, i włosy sterczały jej we wszystkie strony. – Wie pan, co jest napisane w Talmudzie. „Kto niszczy jedno życie, jest tak samo winny, jak gdyby zniszczył cały

świat, ale ten, kto ratuje jedno życie, zdobywa tyle zasług, jakby uratował cały świat”.

– Tak, cokolwiek to znaczy – powiedział Rudy Cascarelli. – Teraz sobie myślę, że wszyscy pojedziemy do piekła na wózku!

– No, makaroniarzu, wiesz wszystko o wózkach – odpowiedział Al Alvarez. – Lody owocowe! Dla każdego!

Rudy Cascarelli popchnął go.

– Może wybić ci kilka zębów, koleś?

– Wystarczy – wtrącił Jim. – Mamy dość kłopotów bez wzajemnych kłótni. Teraz, proszę... niech wszyscy wezmą się za ręce i staną w kręgu tak samo, jak to zrobiliśmy na terenie kampusu.

Wszyscy wstali, choć nieśmiało, i złapali się za ręce. Rudy Cascarelli pchnął Ala Alvareza jeszcze raz, a Al mu się odwzajemnił.

Jim trzymał Bethany jedną ręką, a ojca drugą. William Rook odwrócił się do syna.

– Cokolwiek się stanie, Jim, wiedz, że jestem z ciebie dumny – powiedział. – I przepraszam, że zostawiłem cię wtedy na plaży.

Ricky stał po przeciwległej stronie koła, pomiędzy Jesmeką Watson a Joem Changiem. Puścił do Jima oko i skinął głową, jak gdyby chciał go uspokoić, że wszystko będzie dobrze, i że nie czuł się urażony tym, że sprawy tak się potoczyły. Zresztą i tak Jim czuł się już wystarczająco winny.

– Okay, a teraz powtarzajcie za mną... Baalu, zniknij, Samaelu, zniknij, Lilith, zniknij. Musimy powiedzieć to trzy razy.

Recytowali słowa: „Baalu, zniknij, Samaelu, zniknij, Lilith, zniknij”.

Kiedy to powiedzieli, popatrzyli na siebie.

– Zmieniło się coś? – spytał Kyle Baxter.

Joe Chang skrzywił się i wzruszył ramionami.

– Nic, stary... jak dotąd, według mnie, nie.

– Może powinniśmy powtórzyć to jeszcze raz, proszę pana – zasugerowała Rebecca Teitelbaum.

– Nie, nie sędzę – odparł Jim. – Jeszcze ja sam muszę powiedzieć pewną rzecz i to chyba zakończy rytuał.

Przymknął na chwilę oczy, przywołując siłę, by stracić Bethany, ojca, Ricky’ego i Santanę. Gdy otworzył je ponownie, Ricky patrzył na niego wściekle i bezgłośnie wymawiał słowa:

– *Dalej, Jim! Dalej! Do kurwy nędzy, powiedz to!*

Jim odchrząknął i wyrecytował:

– Niech moje oczy... niech moje oczy zamkną się...

– NIE! – wrzasnął ktoś. – NIE!

Oślepiający trzask pioruna rozświetlił środek ich kręgu. Był jaśniejszy i głośniejszy niż tysiące petard. Zrobiło się tak jasno, że przed oczami pływały mu czerwone plamy. Dopiero kiedy zamrugał kilka razy, stopniowo ujrzał, co się stało.

Wielebny John Silence stał przed nimi, z pięściami podniesionymi z wściekłością. Ale to już nie był ten wielebny John Silence, którego pamiętali: to był Samael, Anioł Śmierci, ze zniekształconą, demoniczną twarzą. Rozwidlony język ciągle wystrzeliwał mu spomiędzy warg, jak gdyby wąż leżał zwinięty w jego ustach, i oczywiście tak było. To był jego syn, Simon, który kusił Ewę i Jima.

Jego ubranie w niesamowicie przerażający sposób opalizowało, a koszula trzepotała i powiewała na wietrze, którego Jim nie odczuwał. Oświetlił twarze i oczy wszystkich uczniów, tak że sami wyglądali jak demony, jak słudzy Samaela.

– Masz zamiar zaprzepaścić swoją okazję! – ryknął Silence. – Jeśli wypowiesz te słowa, stracisz swoich bliskich na zawsze!

Bethany mocno ścisnęła dłoń Jima.

– Tato? – wyszeptwała.

– Czyżby nie powiedział ci, dziewczynko? Jeśli zakończy ten rytuał, umrzesz po raz drugi! Byłem przygotowany, by cię poświęcić dla dobra Baala, ale tak samo postąpi twój ojciec!

– Tato?

Jim przełykał ślinę i przełykał, ale nie mógł wykrztusić słowa. William Rook zwrócił się teraz do niego:

– Jim? Czy to prawda? Miałeś z nas zrezygnować?

Wielebny Silence, lśniący i targany wiatrem, z rozwianymi włosami, podszedł tak blisko, że ich nosy niemal się stykały, i uśmiechnął się do niego.

– Oto człowiek bez żadnych zasad! Oto człowiek gotowy zdradzić tych, którzy kochają go najbardziej! Oto człowiek, który zdradził cały świat!

Jim czuł na twarzy kropelki śliny Silence'a i otarł policzek wierzchem dłoni. Wziął kilka głębokich oddechów, a potem powiedział:

– Idź precz, Samaelu. Oszukałeś mnie. Okłamałeś mnie. Ty mnie podkusiłeś. Byłem słaby, przyznaję. Ale nigdy więcej.

– Tato! – błagała Bethany. – Tatusiu, proszę, nie! Tatusiu!

– Niech moje oczy zamkną się na świat duchów...

– Tato! Tato! Tatusiu!

– NIEEEEEEEE!!! – zaryczał wielebny Silence i chwycił Jima za ramiona. Jego czarne paznokcie były ostre jak szpony, przebiły mu koszulę i zraniły ramię.

Jim krzyknął z bólu. Wielebny Silence potrząsnął nim tak gwałtownie, że Jim puścił ręce Bethany i Williama Rooka, upadając kolanami na podłogę.

– Ja bym cię ochronił! – krzyknął do niego Silence. – Chroniłbym ciebie i twoich bliskich na zawsze! Te dzieci Lilith, na zewnątrz, wzięłyby wszystkich innych... ale ciebie nigdy! Zawarłeś umowę! Zawarłeś umowę z Baalem!

Jim podniósł głowę. W pokoju nagle zrobiło się cicho, słychać było jedynie szloch Bethany. Spojrzał na nią – była taka młoda i taka piękna, i tak podobna do swojej matki. Już raz umarła, ale teraz miała całe życie przed sobą. Jednak nie mógł już dłużej ignorować tego, że życie Bethany, podobnie jak jego ojca, Ricky'ego i Santany, zostało złożone w ofierze najbardziej złowrogiej istocie na ziemi.

Do dnia swojej powtórnej śmierci zawsze będą dłużnikami Pana Kłamstw i Anioła Śmierci. Będą zawdzięczać swoje istnienie masakrze tysięcy... i co to będzie za życie?

– Nie – wyszeptał walebny Silence. – Nie.

– Niech moje oczy zamkną się na świat duchów na wieki – powtórzył Jim.

Przez kilka sekund nic się nie działo, chociaż walebny Silence wpatrywał się w Jima przerażony. Jego rozwidlony język wysuwał się nieustannie, ale on już nic nie mówił, a może nie mógł. Jim nigdy nie widział, żeby ktoś wyglądał na tak przerażonego, czy był żywy, czy martwy, czy był demonem, nigdy.

Nagle walebny Silence zaczął się zmieniać. Jego demoniczne rysy złagodniały, dokonywała się przemiana – szybciej i szybciej, jak przyspieszony film puszczony od tyłu. Skóra się zaczerwieniła, oczy rozszerzyły. Po raz kolejny pojawił się w przebraniu, które przyjął, by móc zapisać Simona do szkoły. Musiał skraść ten wygląd jakiemuś człowiekowi, a teraz ta ludzka postać była wszystkim, co Jim mógł zobaczyć.

Jego uczniowie kręcili się dookoła i przepychali zdezorientowani. Summer stała pośrodku pokoju, nadal z folią na włosach, przyciskając paznokcie do ust, mrugając w oszołomieniu. Szukał Bethany, ale nie widział jej nigdzie. Nie widział też swojego ojca, Ricky'ego ani Santany. Chwycił się oparcia krzesła obok i dźwignął boleśnie na nogi. Walebny Silence wciąż wpatrywał się w niego, ale gdy Jim wstał, powoli się cofnął.

– Czy wiesz, co zrobiłeś? – powiedział. – Wiesz, co zrobiłeś?!

Jim nie zwracał na niego uwagi.

– Bethany! – zawołał, ale wtedy całym mieszkaniem wstrząsnęła grmiąca eksplozja. Uczniowie krzyknęli, gdy sufit w salonie się na nich zawalił. Ogromne bryły płyt gipsowych runęły na podłogę, a po nich drzazgi z drewnianych krokwi i deszcz rozbitych zielonych płytek. W ciągu kilku sekund całe mieszkanie wypełnił dławiący pył.

Twarz Silence'a była podobna do maski klauna, z oczami czarnymi jak smoła i ustami wygiętymi ku dołowi. Spojrzał w górę na rozdarty sufit

i zajęczał przeciągle z rozpacz, a jęk stopniowo przechodził w krzyk.

Jim nie rozpoznał, co pojawiło się na suficie i pochwyciło wielebnego Silence'a. Widział tylko, że został uniesiony cały i wciągnięty przez rozerwane krokwie ku wieczornemu niebu i wciąż krzyczał.

Jego krzyki rozbrzmiewały jeszcze długo po tym, jak został zabrany, aż w końcu zapadła cisza.

Jim rozejrzał się po salonie i po wszystkich twarzach i ubraniach pokrytych pyłem. Bez słowa wdrapał się na połamane kawałki płyt gipsowych i ruszył do drzwi. Otworzył je i wyszedł na schody.

Briarcliff Road opustoszała. Zniknęły wszystkie postacie w białych szatach. Pożary wciąż ogarniały całe miasto, ale kiedy się wsłuchał, nie dobiegły do niego żadne krzyki ani brzęk tłuczonego szkła.

Po kilku minutach usłyszał syreny i odgłos helikoptera.

Summer podeszła i go objęła. Koszulę na ramionach miał poplamioną krwią. Zasycał z bólu.

– Chcę ci coś powiedzieć, Jim.

– Co takiego, Summer?

– Myślę, że naprawdę jesteś niesamowity, Jimmy. Naprawdę.

– Nie wiem dlaczego.

Summer skinęła głową z poważnym wyrazem twarzy.

– Ja też nie wiem dlaczego. Nic z tego nie rozumiem. Kim był ten facet z tymi wszystkimi fajerwerkami? Skąd on się wziął? I dlaczego był tak wkurzony?

– To naprawdę nie ma znaczenia. To już minęło, obiecuję. Przynajmniej mam nadzieję, że tak jest.

– Ale sufit się zawalił! I gdzie się podział ten facet? Chyba poleciał!

– On nie poleciał, Summer – odparł Jim. – Coś rozbiło sufit i go zabrało. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Tak się dzieje, kiedy zawiedziemy demony. Są trochę jak mafia. Nie bardzo wyrozumiałe.

– Demon go porwał? Demon, to znaczy diabeł? Nie widziałam żadnego demona.

Jim uśmiechnął się do niej gorzko.

– Wiesz co? Ani ja.

•••

Kiedy jeszcze tam stali, usłyszeli, jak ktoś mozolnie wchodzi po schodach.

– Jezu – jęknął Jim.

Pojawił się Ricky, który wyglądał, jakby właśnie się obudził.

– Ricky – powiedział Jim. – Wciąż jesteś z nami!

Ricky zbliżył się do nich, kręcąc głową, jak gdyby złapał go skurcz szyi.

– Chyba musiałem spać w przeciagu.

Zajrzał do środka mieszkania Jima. W powietrzu było jeszcze gęsto od pyłu, a cała klasa wspinała się po gruzie w salonie, starając się ściągnąć go na bok.

– Co się stało? Wygląda, jakby się zawalił sufit.

Jim był szczęśliwy. Przycisnął dłoń do ust, a w oczach miał łzy.

– Co się z tobą dzieje, człowieku? Nie musisz zaraz się mazać. Znam dobrego tynkarza, naprawi to po kosztach.

– Dzięki, Ricky. To świetnie.

Ricky pociągnął nosem i spytał:

– Widziałeś Nadine? Jest tu z wami? Muszę jej przypomnieć, żeby wzięła insulinę.

Jim popatrzył na niego.

– W ogóle nic nie pamiętasz?

– Co masz na myśli? Co niby mam pamiętać? Znasz mnie. Zapomniałbym własnego tyłka, gdyby nie był przykręcony.

– Nic takiego, Ricky. To nie ma znaczenia. Ale chyba ktoś dał mi nagrodę, na którą tak naprawdę nie zasługuję.

– Och, tak? Kto to taki? Co ci dał?

Jim pomyślał o twarzy, którą widział na płótnie Ricky'ego w tym ułamku sekundy, kiedy obraz księdza Michaela się rozplywał. Nigdy nie będzie pewien. Może to było tylko złudzenie optyczne, efekt świetlny i myślenie życzeniowe. Ale położył rękę na ramieniu Ricky'ego i on był

prawdziwy i materialny, żywy i pachniał terpentyną oraz peruwiańską trawką, i Jim nigdy w życiu nie czuł takiej wdzięczności.

Poszedł z powrotem do swojego mieszkania, wysoko podnosząc nogi w gruzie. Gdy to zrobił, Rebecca Teitelbaum podniosła komórkę i pomachała nią.

– Sygnał wrócił! – powiedziała. – Dzwonię do dziadków!

– Hej, też mam sygnał! – wrzasnął DaJon Johnson. – Mogę zadzwonić do mojej laski i sprawdzić, czy jest jeszcze w jednym kawałku!

Cała klasa wyciągnęła komórki i zaczęła wściekle w nie stukać. Jim obserwował ich częściowo rozbawiony, ale przede wszystkim w głębokim bólu. Bethany nie było wśród nich i nie było też jego ojca, ani Santany.

Kiedy jednak tak stał, jego komórka zaczęła grać początkowe nuty *V Symfonii* Beethovena – da-da-da dam!

Wyszarpnął ją z kieszeni spodni i powiedział:

– Jim Rook, słucham.

– Jim? Tu Jane... Jane Seabrook.

– Jane! Wszystko w porządku?

– Czuję się dobrze, Jim. Widzieliśmy te zamieszki w oddali, ale nie dotarły tu do nas do Stone Canyon.

– Jane...

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Jim. Ale wydarzył się cud.

Jim nie potrafił wydobyć głosu, ponieważ domyślał się, co Jane chciała mu powiedzieć. Dzięki Ci, Boże, powtarzał w duchu. Dzięki Ci, Boże. Dziękuję.

– To Bethany. Ona żyje. Jakies dziesięć minut temu ktoś zapukał do drzwi i to była ona, po prostu tam stała.

Jane potrzebowała kilku chwil, aby dojść do siebie.

– Ona żyje, Jim – powiedziała. – Widziałam ją martwą, leżącą w kostnicy, ale ona znowu żyje i to naprawdę jest ona. Nie wiem, jak to się stało, i nie zamierzam tego kwestionować.

– Jane...

– Zanim coś powiesz, Jim... Jedną z pierwszych rzeczy, jakie powiedziała Bethany, było to, że nie chce się z tobą widzieć.

– Nie chce mnie widzieć? Myślałem, że dlatego zapisała się do klasy specjalnej.

– Nie powiedziała mi dlaczego, Jim. Ale jest nieugięta. Nie chce cię widzieć ani z tobą rozmawiać, ani w ogóle mieć z tobą nic wspólnego.

Jim nie mógł na to nic odpowiedzieć. Był gotów poświęcić drugie życie Bethany, aby dzieci Lilith w białych szatach zostały odesłane z powrotem do grobu, i nieważne, jak wiele tysięcy istnień mógł uratować, ona sprzeciwiała się temu, co oczywiste i zrozumiałe.

– W porządku, Jane. Powiedz jej, że ją kocham, dobrze? I mam nadzieję, że może kiedyś nadejdzie taki dzień, że wybaczy mi w głębi serca.

– Wybaczy ci... co, Jim? Przecież nigdy jej nie poznałeś.

– Uważaj na siebie, Jane.

Zamknął komórkę i wepchnął z powrotem do kieszeni. Wszyscy uczniowie wokół niego albo rozmawiali z rodzicami lub z przyjaciółmi, albo desperacko starali się dodzwonić do ludzi, którzy nie odbierali.

– Chyba muszę zaczerpnąć trochę powietrza – powiedział.

– Pójdę z tobą – odezwała się Summer. – Cały ten pył wchodzi mi w cycki.

Zeszli razem po schodach na ulicę, a Summer balansowała w sandałach na wysokim koturnie, więc Jim trzymał ją mocno za rękę, aby nie upadła.

Kiedy doszli na parking przed blokiem, zobaczyli Santanę brnącego Briarcliff Road w ogrodniczkach z krótkimi nogawkami.

– Santana.

– *Hola, señor Rook! Olvide mi coche! Cómo podria olvidar mi coche?**

– Zapomniałeś samochodu?

Jim podszedł do niego, uściśnął mu rękę i poklepał po plecach.

– Miło cię widzieć, Santana. Naprawdę. *Una vida y feliz larga.* Długiego i szczęśliwego życia.

Summer odwróciła głowę i uniosła brwi, gdy poszedł otworzyć swój samochód.

– Mogłabym przysiąc, że był z nami wcześniej na górze. Jak dostał się aż tutaj? Chyba mi odbija.

– Nie martw się, kochanie. To jedna z tych nocy.

– *Jedna z tych nocy... jedna z tych szalonych nocy* – zaśpiewała Summer, gdy szli ręką w rękę w dół stromym zakrętem do Foothill Drive. – *Znajdziemy ładną mamusię, która cię rozпали...*

Dotarli do Foothill Drive, a przed nimi była North Van Ness, długa i prosta, i całkowicie opustoszała, z wyjątkiem sześciu czy siedmiu zaparkowanych samochodów, wszystkich spalonych. Wieczorne powietrze było ostre od dymu, a zawroźnienie syren robiło się coraz głośniejsze.

– *Masz swoje demony, masz pragnienia* – nuciła cicho Summer. – *Cóż, mam kilka własnych.*

Zupełnie bez powodu zaczęli iść środkiem North Van Ness donikąd, wciąż trzymając się za ręce. Jim spojrzał na dym dryfujący na południowy zachód po niebie. Świecił rogal księżycy, ale czasami zasłaniał go dym.

Nie uszli daleko, kiedy Jimowi wydało się, że dojrzał ciemniejszy słup dymu. Przepływał znacznie wolniej przez księżyc. Przez długą chwilę on i Summer szli w całkowitej ciemności.

Nic już nie widzę, Baalu, pomyślał Jim. Nie widzę ani ciebie, ani innych demonów. Nie widzę i nie słyszę, jeśli mówisz do mnie. Twoje dni minęły i nigdy nie wrócą, bo nie ma już nikogo, kto by ci pomógł.

Snop dymu rozwiął się, a światło księżycy rozbłysło ponownie.

Summer objęła Jima wokół talii i pocałowała w policzek.

– Zupełnie jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na całym świecie, nie, Jimmy? Tylko ty i ja. Jesteśmy jak Adam i Ewa, nie sądzisz? Adam i Ewa w raju.

* Zapomniałem o samochodzie. Jak mogłem zapomnieć samochodu? (hiszp.)